

PODGLĄD



Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok IV • Nr 3 (14)

2018

J. Andrzejczak

K. Beśka

J. Binkowski

T. Bołdak-Janowska

K. Boruń-Jagodzińska

E. Bryll

A. Chąciński

K. Choiński

P. Dakowicz

J. Drzewucki

C.A. Duffy

P. Dunin-Wąsowicz

A. Dutka-Mańkowska

A. Frajlich

S. Gibaszek

R. Grzybowska

J. Jagiełło

A. Janowski

M. Jentys-Borełowska

W. Kaliszewski

S. Kányádi

A.T. Kijowski

J.A. Kobierski

K. Kotowska

K. Kuczkowski

J. Kulmowa

M. Kuncewiczowa

G. Kurylewicz

R. Lasota

A. Lizakowski

J. Marciniak

D. Matuła

P. Müldner-Nieckowski

A. Nasifowska

W. Oramus

J. Pankiewicz

A. Patey-Grabowska

M.J. Piasecka

M.K. Piekarska

M. Proust

Baśka eR.

K. Rodowska

K.S. Schreyer

J. Seipp

D. Sękalska

J. Snopek

K. Sutarski

A. Szymańska

J. Śleszyński

K. Świegocki

B. Wachowicz

B. Wildstein

Z. Zbikowski



Wanda Chotomska



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa
<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753
Rok IV Nr 3 (14) 2018

Adres Redakcji
<http://podglad.com.pl>
e-mail: redakcja@podglad.com.pl
00-079 Warszawa
ul. Krakowskie Przedmieście 87/89
tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89
Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,
Michał Dąbrowski, Manula Kalicka,
Małgorzata Strękowska-Zaremba,
Zbigniew Zbikowski

Korekta

Katarzyna Rurańska

Skład

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Jesień jest zawsze bogata 3

List do Redakcji 4

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Ryszarda Grzybowska (1930-2018) . . . 6

Sprostowanie 9

ks. Janusz Adam Kobierski

10. edycja Nagrody Literackiej
im. ks. Jana Twardowskiego 10

Anna Nasiłowska

Joanna Kulmowa (1928-2018) 12

Małgorzata Karolina Piekarska

Nasza Drużna Basia – Barbara
Wachowicz (1937–2018) 17

Orfeusz 15

Małgorzata Karolina Piekarska

Nasza Drużna Basia – Barbara
Wachowicz (1937–2018) 17

Katarzyna Kotowska

Jak to się robi we Wrocławiu,
ćwiczenia praktyczne
z dochodzenia praw autorskich 19

Pisarze Pod Sowami 29

11. edycja Nagrody Literackiej

m.st. Warszawy 2018 32

Danuta Sękalska

Maria i Witold.
Przymierze z synem 34

KRYTYKA

Wojciech Kaliszewski

Poezja, która nawraca (o Adrianie
Szymańskiej) 44

Przemysław Dakowicz

To, co jest, jest poezją (o Krzysztofie
Kuczkowskim) 47

Janusz Drzewucki

Warszawski Twórca: Ernest Bryll . . . 52

Paweł Dunin-Wąsowicz

Praski przewodnik literacki 55

Dominika Matuła

Upiory przeszłości
(o Krzysztofie Beśce) 64

Jerzy Binkowski

Widok z lotu Orła Białego
(o Bronisławie Wildsteinie) 66

Jerzy Binkowski

Joanna Kulmowa śpiewała czysto
i mocno 69

ESEJ

Barbara Rosiek Wywiad z Baską eR... 74

Kazimierz Świągocki

Gnothi seauton cz. 3 76

POEZJA

Janusz Andrzejczak i Jerzy Binkowski

Niepodległa 84

Anna Dutka-Mańkowska

Przywrzeć do błękitu, Otwarcie
Galerii Ojca w Zawierciu, i in. 87

Sylvia Gibaszek

Pod wodospadem w leszczynach... 90

Joanna Jagiełło

Przezroczyście, Małe światy, Głód,
Pasja, Znowu umarł ktoś znajomy,
Nie wiem, jak pisać wiersze 94

Andrzej Tadeusz Kijowski

Dom rodzinny 100

Gabriela Kurylewicz Żeby, Fraszka

o duszy, Mój zegarek 104

Piotr Müldner-Nieckowski

Nierówny zarost pana Waldka,
Nikt nie wie, Przeciw wszelkiej...,
Legenda dramatu ożywa. 106

Wiesława Oramus Ciurkiem. 109

Alicja Patey-Grabowska

Tu i Teraz, Pigmalion i Galatea... 112

Maria Jolanta Piasecka Haiku 114

Krystyna Rodowska

Trzy przywołania Macedonii. 115

Baśka eR. Kłęska, Po pogrzebie, ***,

Przegapiłam wiosnę, 26.05.2018,
Dzień Matki 117

Krzysztof Saturnin Schreyer Próba,

W irlandzkim barze,
Pożar, Śnieżycy. 120

Jerzy Seipp Tryptyk bolesny 123

Jerzy Śleszyński Pamięć, Smartbóg. . 128

Kazimierz Świągocki

Zbuntowane żurawie, Aryman,
Nicość 130

Zbigniew Zbikowski Melancholia . . 133

DRAMAT - SCENARIUSZ

Jerzy Marciniak

Córka wilczyca. 135

Małgorzata Karolina Piekarska

Kuzyn. 143

DLA DZIECI - MŁODZIEŻY

Rafał Lasota Wiosenne dzwonki,

Mój ukochany piesek. 158

PROZA

Janusz Andrzejczak

Lekcja. 160

Krzysztof Beśka

Konsul 164

Tamara Bołdak-Janowska

i Antoni Janowski

Marcepan na kredyt 170

Andrzej Chaćniński

Zwyczajny dzień. 175

Krzysztof Choiński

1916: Legionowe oświadczyńny. 181

Anna Frajlich

Kult jednostki. 187

Maria Jentys-Borełowska

Z wyroku cara 190

Adam Lizakowski

Poeta, tylko głowa nie ta. 194

Jacek Pankiewicz

Egzemplarze boskie raczej,
niż przykrólewskie. 204

Alicja Patey-Grabowska

Starówka w ogniu. 211

Krzysztof Saturnin Schreyer

Maraton. 213

PRZEKŁADY

Joanna Jagiełło

Carol Ann Duffy 216

Krystyna Rodowska

Marcel Proust 225

Konrad Sutarski

Sándor Kányádi 235



Małgorzata Karolina Piekarska

Jesień jest zawsze bogata

Trzeci tegoroczny, a czternasty w ogóle numer jest niezwykle bogaty. Myślę, że to dlatego, że jesień z natury zawsze jest bogata. Na wsiach trwają tradycyjne dożynki, a w literaturze... dopisywanki i doczytywanki. Jest rzecz jasna w bieżącym numerze sporo smutku związanego z tym, że żegnamy bliskie nam osoby – Barbarę Wachowicz, Joanną Kulmową i Ryszardę Grzybowską, które odeszły do Niebieskiego Oddziału. Na szczęście ich ziemski twórczość została z nami. Tak, jak z nami została twórczość Marii Kuncewiczowej, której szlak otwierano uroczyście w Kazimierzu Dolnym, czemu towarzyszył odczyt Danuty Sękalskiej, o czym piszemy w Podglądzie.

To numer bogaty także gatunkowo, bo czego tu nie ma? Jest i poezja, i proza, i esej, i krytyka, i wspomnienie, i literatura dla dzieci, dzięki której nasz kwartalnik jest prawdziwym pismem rodzinnym i wielopokoleniowym.

Jest wreszcie wstrząsający tekst Katarzyny Kotowskiej, która opisała swoją batalię o prawo autorskie. Tekst, który pokazuje, jak sytuacja z ochroną podstawowych praw twórcy wygląda w Polsce. Dlatego w imieniu swoim i całej redakcji oraz wszystkich autorów – zapraszam do lektury!

List do Redakcji

Szanowna Pani
Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Droga Małgorzato,
przy całej do Ciebie sympatii i szacunku z uwagi na bezinteresownie i z poświęceniem wnoszony wkład w dzieło trwania i życia naszego Oddziału SPP, czuję się z ogromną przykrością zmuszony do wyrażenia sprzeciwu wobec treści zawartych w Twojej odpowiedzi, jakiej udzieliłaś w poprzednim numerze Podglądu (nr 2/2018) naszemu koledze, panu Krzysztofowi Rudzińskiemu, który zaprotestował przeciwko umieszczaniu wulgarnych i ksenofobicznych tekstów w naszym kwartalniku.

Piszesz, że w naszym kraju nie istnieje cenzura, a tym bardziej w naszym Stowarzyszeniu. Owszem, to prawda, ale tylko w odniesieniu do tekstów o charakterze politycznym. A w tym konkretnym wypadku nie o politykę przecież chodzi, tylko o kulturę słowa, która wchodzi w zakres szerszej pojętej sfery moralności. Cenzura moralna, choć nie zawsze pisana, istniała zawsze we wszystkich cywilizowanych społeczeństwach. Od początku też każdej wyższej cywilizacji istnieje zjawisko tzw. dobrego smaku, które polega na wybieraniu rzeczy godziwych estetycznie i obyczajowo, a eliminowaniu z przestrzeni społecznej rzeczy niegodziwych i rażących ów dobry smak. Czyżbyśmy o nim nagle zapomnieli? Artyści i pisarze od wieków i tysiąceci byli i do dziś być powinni twórcami i strażnikami tego, co piękne, mądre i godziwe – we wszelkim znaczeniu tego ostatniego słowa. A czyż godziwa jest mowa wulgarna i jej napastliwy ksenofobiczny ton? Tu pragnę poczynić uwagę, że „ksenofobia” – tak modny dziś termin ze słownika ideologii poprawności politycznej – nie może dotyczyć tylko rasy, nietypowej orientacji seksualnej i tym podobnych zjawisk, lecz przede wszystkim wszelkich wartości, które nasza cywilizacja uznała za wysokie. A do nich należą wartości religijne i moralne, a także estetyczne, które zbiorczo nazywamy pięknem. Kto wulgarnymi słowami znieważa bezpośrednio bądź pośrednio religię, ten stawia się nie w sytuacji sceptyka, co byłoby całkowicie dopuszczalne, lecz w sytuacji prostaka moralnego i estetycznego. Urąga zarówno poczuciu moralnemu, jak i elementarnemu poczuciu smaku estetycznego. Niestety w piśmie naszego Oddziału SPP – Podgląd zaczęły

się w ostatnich numerach pojawiać teksty, które słusznie kolega Krzysztof Rudziński określa jako „brudnopisarstwo skatologiczne”. (Mam na myśli teksty zamieszczone w następujących numerach: Nr 4/2017, s. 54; Nr 1/2018, s. 109-111; Nr 2/2018, s. 117-119).

Czytam w Twojej odpowiedzi, Małgorzato, że „założenia Kwartalnika są takie, że członkowie opłacający składki mają prawo do publikowania w nim swoich utworów”. Oczywiście, że mają takie prawo. Po to jest to pismo. Ale czy ich prawo do publikowania wyklucza prawo redakcji do selekcji proponowanych tekstów według kryteriów artystycznych, moralnych, obyczajowych itp., a nie według zapłaconych comiesięcznych składek? Brak cenzury nie może oznaczać wolności dla pustego i wulgarnego grafomanstwa. Nasze pismo nie może być sklepem z tandetą, w którym wymagany jest tylko bilet za 10 złotych miesięcznie, a poza tym wszystko w nim jest za darmo.

Bądźmy rozumni – wolność nie oznacza dowolności i nie powinna zamazywać różnicy między dobrem i złem, prawdą a fałszem, pięknem a brzydotą. Wolność bez odpowiedzialności prowadzi do największego zniewolenia. Tego uczy nas historia.

Treść tego listu kieruję również do całego zespołu redakcyjnego Podglądu pod rozważę. Boję się, że jeśli redakcja nie zrewiduje przyjętych dotychczas kryteriów przyjmowania tekstów do publikacji, to może dojść do rozłamu wśród piszących i publikujących. A w dalszej konsekwencji może to zaszkodzić spójności organizacyjnej naszego Stowarzyszenia. Mamy już tego początek co najmniej w decyzji kolegi Krzysztofa Rudzińskiego.

Z wyrazami szacunku

Kazimierz Świegocki

Odpowiedź

Temat wydaje mi się wyczerpany, gdyż jak już napisałam wcześniej – nie stosujemy cenzury, natomiast nie ma obowiązku czytania wszystkich tekstów publikowanych w Podglądzie. Kij ma dwa końce. Niektórym nie odpowiada nadmierna religijność lub zaangażowanie polityczne. Kryterium zaś powinna być literackość, a nie poglądy, z którymi ktoś się zgadza lub nie. To, co w liście jest proponowane, to cenzura przewencyjna.

Zachęcam do polemiki z autorami, a nie do zmuszania do nakładania nam kagańca.

Małgorzata Karolina Piekarska

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Ryszarda Grzybowska (1930-2018)

Z opóźnieniem dotarła do nas smutna wiadomość o śmierci świetnej tłumaczki i redaktorki Ryszardy Grzybowskiej, która odeszła 19 kwietnia 2018 roku i spoczęła 30 kwietnia na cmentarzu na Bródnie.

Ryszarda Grzybowska, z domu Dutkiewicz, urodziła się 20 stycznia 1930 roku w Warszawie. Talent literacki i językowy nie były jej jedynymi. W młodości jako skrzypaczka występowała w Młodzieżowej Orkiestrze Symfonicznej pod dyrekcją prof. Waława Niznera. W orkiestrze tej również grał na kontrabasie („bo był wysoki”, jak mówiła pani Ryszarda) jej późniejszy mąż, który został lekarzem weterynarii, Ryszard Grzybowski. Przeżyli ze sobą 65 lat. Podzieliła się za mną opowieścią z tego okresu muzycznej działalności:

Warunkiem członkostwa w orkiestrze było posiadanie własnego instrumentu. Niestety z powodów problemów rodzinnych skrzypce mojego ojca przepadły. Nie było też pieniędzy. Byłam wówczas w Częstochowie, gdzie mieszkał i działał ojciec, poszłam na Jasną Górę i przed obrazem Matki Boskiej zrozpaczona gorąco modliłam się o skrzypce. Stamtąd przyszłam do domu, a na stole leżały skrzypce. W tym czasie, gdy się modliłam, ojciec przypadkiem na bazarze napotkał jakiegoś staruszka, który sprzedał mu bardzo tanio dobry instrument.

Ukończyła studia filologiczne na Uniwersytecie Warszawskim. Dziwnym zrzędzeniem losu młoda absolwentka anglistyki jako tłumaczka Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru znalazła się na 10 miesięcy w Indochinach (1954-1955), co było w tamtych czasach dużym przeżyciem. Przez wiele lat (od 1952) pracowała na etacie redaktorki w wydawnictwie Czytelnik. W latach sześćdziesiątych ukończyła w Londynie kurs dla dziennikarzy i edytorów. Jednocześnie zajęła się tłumaczeniem literatury.

Zadebiutowała przekładem opowiadania Johna Steinbecka w 1957 roku. Sięgała często po utwory niełatwe, ale zawsze wartościowe (również, gdy chodziło o literaturę popularną, gatunkową, np. kryminały czy historyczne romanse). Należała do starej szkoły tłumaczy, którzy poruszając się w różnorodnej tematyce sprawdzają wątpliwości u źródeł i radzą się biegłych

(kontrolując miejsca, fakty i postaci), aby nie robić błędów, jakie dziś wielokrotnie popełniają tłumacze pracujący na wyścigi, a często zbiorowo przekładający bestsellery. Do jej najbardziej znanych przekładów, które do dziś cieszą się popularnością wśród czytelników, mimo że tylko niektóre są wznawiane, należą: *Posłaniec* L. P. Hartleya, *Nowele* Somerseta Maughama, *Biała przepiórka* – opowiadanie Johna Steinbecka, *Panna na nieboskłonie* Thomasa Duncana, *Kolor z przestworzy*, *Zew Cthuhu* i inne zbiory opowiadań Howarda Phillipsa Lovecrafta, *Lampa w mroku* Frances Murray, *Odmieniec* Freda Bodswortha, *Spadkobiercy* Williama Goldinga, *Pani Widmo* W. Irisha (Cornella Woolricha), *Wiosną owego roku* Susan Hill, *Kochana córka* Erica Malpassa, *Los szczęścia* Eustace Edwarda Ricardo Braithwaite *Dorosłe życie Emilki* i *Emilka z Księżycowego Nowiu* Lucy Maud Montgomery, *Moja Antonia* Willi Cather, *Żebrak* Fereidouna M. Esfandiary.



Ryszarda Grzybowska

Fot. z archiwum rodzinnego

O *Odmieńcu* Bodswortha nawet dziś znajdujemy w internecie opinie, że jest to książka mogąca odmienić czyjeś życie (niestety nie zdążyłam przekazać tłumaczce wydrukowanej tej opinii czytelników). Ryszarda Grzybowska przy tłumaczeniu *Odmieńca* korzystała z pomocy ornitologa, gdyż bohaterami powieści są nie tylko ludzie – Indianie i biali Kanadyjczycy, ale i gęsi.

Niewiele osób pamięta, że to właśnie Ryszarda Grzybowska w latach osiemdziesiątych XX w. przetłumaczyła opowiadania Howarda Phillipsa Lovecrafta, którego książki zrobiły ogromną karierę nie tylko jako powieści czy filmy, ale i jako gry planszowe, fabularne i komputerowe. Nie miało to jednak żadnego wpływu na sytuację schorowanej pani Ryszardy, która nawet o tych sukcesach i popularności jej szeroko wykorzystywanego (zwykle po piracku) przekładu nie wiedziała.

Pisał Mateusz Kopacz:

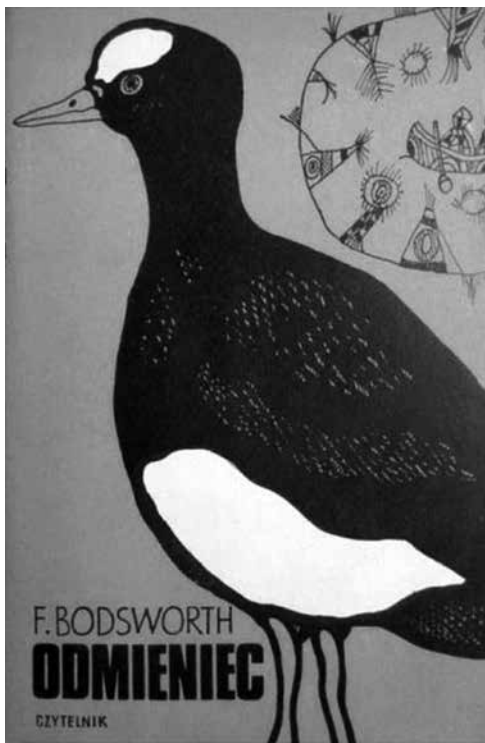
Pierwszą poważną tłumaczką Lovecrafta w Polsce była Ryszarda Grzybowska – jej przekłady wznawia się do dziś. (...) Jest tłumaczką wszechstronną, o czym świadczy fakt, że prócz Lovecrafta tłumaczyła książki m.in. Williama Goldinga, a nawet... Lucy Maud Montgomery („Czas Fantastyki” nr 2/2010).

Sama tłumaczka wspominała na łamach Podglądu:

Przedwcześnie zmarły Marek Wydmuch – pisarz, tłumacz, krytyk i redaktor w Czytelniku – był naszym przyjacielem i wielbicielem moich przekładów (mówił, że Pannę na nieboskłonie Thomasa Duncana zna na pamięć). Przyszedł i powiedział, że jest taki wspaniały pisarz – Lovecraft i zaproponował, żebym to ja go tłumaczyła. Dokonał wyboru najlepszych opowiadań i napisał wstęp.

W swojej pracy zawsze przeżywałam każdy przekład, dbano wtedy, aby wiernie oddać myśl i styl autora a jednocześnie, aby tłumaczenie było dobrą literaturą polską. Często tłumaczyłam książki nocami, w dzień pracowałam na etacie w Czytelniku a w domu miałam, jako żona i matka, normalne obowiązki. Opowiadanie Kolor z przestworzy Lovecrafta przeżywałam w sposób szczególny, bo szalenie mnie denerwowało, że opisywani ludzie zachowują

się biernie, dotknięci postępującym zniszczeniem z powodu upadku tajemniczego meteorytu, nie uciekają, nie opuszczają swoich siedzib. Opowiadanie to według mnie jest bardzo wizjonerskie, zrobiło na mnie największe wrażenie. Odbierałam je z dziecięcą naiwnością, byłam dużo młodsza. Lovecrafta też tłumaczyłam po nocach i w dodatku w tragicznych okolicznościach, kiedy umierała moja mama.



Najwyżej ceniła swój przekład *Spadkobierców* Goldinga:

Ta powieść, mniej znana niż Władca much, to chyba najtrudniejsza i najbardziej satysfakcjonujące moje zadanie przekładowe – powiedziała Ryszarda Grzybowska – warto tę książkę przypomnieć. Są w niej sceny i dramatyczne, i wzruszające. Wiele postaci i wiele imion, więc praca wymagała szczególnej uwagi.

Pomimo swoich wielu chorób i dolegliwości pani Ryszarda zachowywała pogodę ducha. Nawet po stracie swojego ukochanego męża mówiła, że w życiu spotkało ją wiele dobrego, a długie lata z nim przeżyte były darem. A życie miała ciekawe, lecz trudne (były okresy w młodości, gdy żyła w ubóstwie, w ekstremalnych warunkach mieszkaniowych, opiekowała się schorowanymi z rodzicami). Żałuję, że nie zdążyliśmy nagrać jej wspomnień i ciekawych opowieści o przodkach. Były też plany zamieszczenia w Podglądzie fragmentów wybranych przez panią Ryszardę kolejnych przełożonych książek, niestety druk na razie nie doszedł do skutku z powodu niejasności i obaw co do zagranicznych praw autorskich.

Była bardzo ciepłą i miłą osobą. Pozostawiła dwóch synów i grono wnuków. Należała do Związku Literatów Polskich od 1979 roku, a potem do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich niemal od początku jego istnienia. Związana była też z Duszpasterstwem Środowisk Twórczych. Odznaczona m. in. Złotym Krzyżem Zasługi i odznaką Zasłużony Działacz Kultury.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Sprostowanie

W nr 13 (2) 2018 Podglądu w dziale *Poezja* na stronach 122-123 znajdują się wiersze niemieckiego poety Manfreda Schwaba. Błędnie podano, że ich autorem jest Ryszard Sobieszkański, który w rzeczywistości był ich tłumaczem z języka niemieckiego. Przepraszamy. *Redakcja*

Dziesiąta edycja Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego

Nagrodzeni:

Adriana Szymańska i Krzysztof Kuczkowski

Dnia 21 marca 2018 r. odbyło się posiedzenie Kapituły Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego, podczas którego wyłoniony został laureat nagrody za najlepszy tomik poetycki wydany w roku 2017.

W obradach jury uczestniczyli:

Wojciech Kaliszewski – poeta, krytyk literacki, nauczyciel akademicki, pracownik PAN;

Piotr Szewc – poeta, krytyk literacki, red. działu poezji miesięcznika „Nowe Książki”;

Przemysław Dakowicz – poeta, krytyk literacki, nauczyciel akademicki;

Grzegorz Zegadło – dyrektor Książnicy Pruszkowskiej;

Jan Rodzim – wydawca poezji ks. Jana Twardowskiego;

Stanisław Grabowski – sekretarz Kapituły, poeta, krytyk literacki;

ks. Janusz Adam Kobierski – przewodniczący Kapituły, poeta, krytyk literacki.

Jurorzy zwrócili szczególną uwagę na następujące książki:

1. Zbigniew Chojnowski, *Widny kres*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2017;
2. **Łukasz** Jarosz, *Stopień pokrewieństwa*, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2017;
3. Bogusław Kierc, *Jatentamten*, wyd. „Forma”, Szczecin 2017;
4. Krzysztof Kuczkowski, *Ruchome święta*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2017;
5. Joanna Kulmowa, *37*, wyd. „Iskry”, Warszawa 2017;
6. Piotr Mitzner, *Ulica tablic*, tCHu doM wYdawniczy, Warszawa 2017;
7. ks. Jan Sochoń, *Strzałka czasu*, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2017.

Po dyskusji laureatem Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego został Krzysztof Kuczkowski, Autor książki *Ruchome święta* (Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2017).

Ponadto Medal im. ks. Jana Twardowskiego za całokształt twórczości przyznany został Adrianie Szymańskiej.

Gratulujemy Laureatom!

Uroczystość wręczenia nagród odbyła się 3 czerwca br. (niedziela) o godz. 17. 00 w Pałacyku Sokoła w Pruszkowie, ul. Kościuszki 41.

Podczas finału Konkursu zaprezentowany został program poetycko-muzyczny pt. „Nie płacz w liście”, oparty na twórczości ks. Jana Twardowskiego.

ks. Janusz Adam Kobierski
przewodniczący Kapituły
Nagrody Literackiej
im. ks. Jana Twardowskiego

Laudacje wygłoszone przez Wojciecha Kaliszewskiego na cześć Adrianie Szymańskiej oraz Przemysława Dakowicza o Krzysztofie Kuczkowskim zamieszczamy w dziale „Krytyka” niniejszego numeru, (*red.*)

Anna Nasiłowska

Joanna Kulmowa (1928-2018)

Joanna Kulmowa należała do pokolenia, które mocno naznaczyła tragedia II wojny światowej. Do 1939 Joanna Cichocka (matka z domu Landsberg) wychowywała się w zasobnym i kulturalnym domu w wielokulturowej Łodzi. Już w 1939 rodzina musiała opuścić Łódź. Podczas wojny mieszkała w Warszawie i Milanówku, po powstaniu warszawskim znalazła się z matką w Podkowie Leśnej, gdzie schronienia udzielił im Jarosław Iwaszkiewicz.

Debiutowała kilkakrotnie, już w 1945 roku pismo „Przyjaciel Dzieci” zamieściło utwór Joanny Cichockiej *Historyjka cała jak muszka w polewce pływała*. Po uzyskaniu matury i roku studiów na historii sztuki, zdała do szkoły aktorskiej. Ukończyła ją, ale trema i wysoki wzrost nie wróżyły dobrze jej karierze scenicznej, za to żywa inteligencja i doskonale wyczucie literackie sprawiły, że zaczęła reżyserować, najpierw w teatrach w Łodzi, następnie, w trakcie elitarnych studiów reżyserskich w Warszawie, w różnych teatrach w Polsce. W 1952 roku poślubiła Jana Kulmę, pianistę, reżysera spektakli muzycznych. Byli szczęśliwym małżeństwem, które stawiało sobie cele artystyczne i potrafiło wspierać się i działać wspólnie.

W 1954 roku „Nowa Kultura” w numerze poświęconym młodym na pierwszej stronie zamieściła *Notatnik zakopiański* Joanny Kulmowej. Jej twórczość literacka od tej pory rozwijała się w kilku nurtach. Pierwszym to wiersze dla dzieci; utwory Joanny Kulmowej, poetyckie i prozatorskie, należą do ścisłego kanonu. Poza tym – twórczość satyryczna, tłumaczenia, w tym tłumaczenia librett operowych, wymagające idealnego zgrania z muzyką oraz tomy poetyckie, adresowane do wyrobionych odbiorców poezji. Dla tych odrębnych nurtów wspólne jest przywiązanie do muzyczności wiersza. Bliska jej była tradycja Tuwima, Gałczyńskiego, Iłłakowiczówny i poezji ludowej, do których odwołania są czytelne w jej twórczości. W poezji polskiej po II wojnie, a zwłaszcza po 1956 roku, najsilniej reprezentowana była forma wiersza wolnego, sprozaizowanego, post-awangardowa i związana z wpływem Tadeusza Różewicza. Zaprzeczenie „tańca poetyckiego” wiązało się z pamięcią o II wojnie. Twórczość Joanny Kulmowej znalazła się więc w opozycji wobec dominującej postawy artystycznej.

W jej poezji temat tragedii wojennej ma jednak ogromne znaczenie. Piotr Matywiecki w przekrojowym szkicu w tomie *Literatura polska*

wobec *Zagłady* (1939-1968) sporo miejsca poświęcił twórczości poetyckiej Kulmowej. W wierszach poetka pokazywała ludobójstwo jako dramat, wymagający konfrontacji ze tradycją chrześcijańską, która mówi o cierpieniu jako drodze do oczyszczenia i chwały. U ocalonych trauma pozostaje nieodłącznym elementem życia, także u dzieci, które bawią się w wojnę i zabijanie. Poza tym poetka – podobnie jej wielu innych twórców polskich po II wojnie – konfrontuje współczesność i świat mitów śródziemnomorskich.

W 1962 roku Joanna i Jan Kulmowie zamieszkali we wsi Strumiany pod Stargardem Szczecińskim, w różowym domku, do którego został sprowadzony fortepian, prawdziwy Bechstein. Mieszkali tam, traktując to miejsce jako wybór na zawsze, póki w latach 90. powstała tuż obok ferma zwierząt futerkowych nie zmusiła ich do porzucenia swojej Arkadii. W Strumianach Kulmowie zajmowali się twórczością, Jan Kulma reżyserował przedstawienia muzyczne, Joanna – pisała kolejne książki, tłumaczyła. Oboje wraz ze Stefanem Sutkowskim przyczynili się do założenia w Warszawie kameralnej sceny operowej, która dała początek znakomitej Warszawskiej Operze Kameralnej. Przyjmowali w Strumianach znakomitych gości, bywała tu Kazimiera Hłakowiczówna czy Aleksander Bardini. Powoli wrastali też w środowisko lokalne, udzielając wsparcia zwłaszcza młodym ludziom w nauce i wyborze drogi życiowej, rozwijaniu zainteresowań kulturalnych i pasji artystycznych. Ich wychowankowie, zwani też „siostrzeńcami”, to bardzo liczne grono, wśród których są aktorzy, śpiewacy, ale także i osoby, które wybrały życie konsekrowane.

W latach 80. Joanna Kulmowa, początkowo uznająca się za ateistkę, zbliżyła się do Kościoła. Jan Kulma został organistą, wspólnie prowadzili chóry, organizowali pielgrzymki. Życie kulturalne w tym czasie toczyło się inaczej, w podziemiu lub korzystało z opieki Kościoła. W latach 80. Kulmowa pisała wiersze, które były potem publikowane w czasopiśmie poza cenzurą. Zbiera je tom *Kłamstwo gołębie*, opublikowany w 1987 roku w Berlinie „nakładem przyjaciół”. Joanna Kulmowa korzysta w tych wierszach ze swojej głębokiej erudycji, aby wyrazić współczesne idee. Na przykład wiersz *Ona jest więzieniem*:

*Tak to prawda: ona jest więzieniem
Hamlet
miał rację. Były szczury za obiciem.
Bo gdzie loch, tam ścierwo. Tam i szczur czyściciel
władzom raporty skamle.*

*Jest więzieniem. Tam gdzie się poczyna od zbrodni
a na emisariuszach Fortynbrasa kończy.
Tylko
nieokreślony przez żaden list gończy
nocą duch się pojawia.
Swobodny.*

W 1989 roku Joanna Kulmowa znalazła się wśród członków – założycieli Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Po powrocie ze Strumian do Warszawy włączyła się w prace stowarzyszenia, była Prezesem Oddziału Warszawskiego, współorganizowała imprezy dla dzieci.

Zajęła się też twórczością o charakterze autobiograficznym, choć swój portret umieszczała na tle innych. W 1995 roku w znakomitej książce *Ciułanie siebie* przedstawiła ludzi teatru i literatury, z którymi się spotkała. Jej własna sylwetka jej samej rysowała się wyraźnie we wczesnej młodości, gdy rysowała swoje odbicie, potem – odwracając najczęstsze ujęcie dojrzenia – tworzyli ją inni. To właśnie idea „ciułania siebie” czyli składania swojej osobowości. Prozę wspomnieniową Joanny Kulmowej charakteryzuje dopracowanie anegdoty i dozowanie napięcia a także humor, który przenika zresztą całą jej twórczość. W jednym z wierszy określiła się jako „na przekór Joanna”. Była wielką osobowością, damą przekorną i niepokorną, wspaniałą postacią polskiej literatury.

Anna Nasitowska
Prezes ZG SPP

Nagroda im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego Orfeusz

Nagrodzeni:

Joanna Kulmowa
Michał Książek
Krzysztof Kuczkowski

Joanna Kulmowa otrzymała pośmiertnie Nagrodę im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego Orfeusz dla najlepszego tomu poetyckiego roku 2017 za zbiorek pt. 37, który nam także bardzo się podobał i o którym już w Podglądzie wspominaliśmy. Laureatami nagrody zostali także: Michał Książek i Krzysztof Kuczkowski.

Orfeusza Mazurskiego za najlepszy tom wydany w Polsce północno-wschodniej (Warmia, Mazury, Podlasie) otrzymał Michał Książek za tomik *Północny wschód*. Po raz drugi w historii nagrody przyznano także Orfeusza Honorowego (pierwszym jego laureatem był w 2015 r. Feliks Netz). Otrzymał go Krzysztof Kuczkowski za tomik *Ruchome święta*.

Nagrodę przyznało jury w składzie: prof. Jarosław Ławski (przewodniczący), Janusz Drzewucki, Antoni Libera, Bronisław Maj i Teresa Tomsia.

W laudacji na cześć laureatki juror Antoni Libera napisał m.in.:

Kruchość ludzkiej percepcji. Jej zagadkowy sens. Ulotność samego istnienia. Nieuchwytność wszystkiego – czasu, przestrzeni, siebie. Te wszystkie tematy i kwestie kojarzą Joannę Kulmową z uniwersum Leśmiana. Ale jej poetyka jest inna – zwiewna, aforystyczna, kreślona cienką kreską. Te wiersze to epifanie z granicy jawy i snu, istnienia i niebycia, z przedsiönka nieistnienia. Niezwykle osiągnięcie: uchwycić to wszystko w słowa. I nadać im jeszcze powab melancholijnej piosenki. Doprawdy, mistrzowski tom.

O tomiku *Północny wschód* Janusz Drzewucki powiedział m.in.:

Liryka Michała Książka [...] to wyraz wiary w niezmierną, bo magiczną moc słowa. Zapewne dlatego obywa się ona bez efektownych obrazów i śmiałych metafor. W jasnych i prostych, a przy tym krystalicznie czystych wersach Michał Książek przypomina nam, że ten – w tej samej chwili

arkadyjski i apokaliptyczny – świat, to przecież nasz świat; i że my – władając nim – jesteśmy zaledwie jego częścią.

O laureacie Orfeusza Honorowego przewodniczący jury Jarosław Ławski napisał m.in.:

W samym centrum poetyckiego świata Krzysztofa Kuczkowskiego jest Ktoś Inny. Ktoś będący poza naturą, poza kulturą, Ktoś spoza tego, co ludzkie. W Ruchomych świętach to On jest miarą, rymem i metrum świata; miarką, która odmierza dobre i złe, słuszne i niesłuszne, piękne i brzydkie.

Była to siódma edycja Nagrody im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego Orfeusz, której laureatami w poprzednich latach byli Krzysztof Karasek, Jan Polkowski, Przemysław Dakowicz, Janusz Szuber, Jarosław Marek Rymkiewicz i Małgorzata Lebda.

Organizatorami nagrody są Muzeum Gałczyńskiego w Praniu i Stowarzyszenie Leśniczówka Pranie.

(źródło: inf. własna, PAP, Niezależna.pl)

Małgorzata Karolina Piekarska

Nasza Druhna Basia

Barbara Wachowicz (1937–2018)

Byłam w Opolu, gdy dopadła mnie wiadomość o śmierci Barbary Wachowicz. Zadzwoniło Polskie Radio i dziennikarka poprosiła o wypowiedź przez telefon. Z głowy, czyli z niczego, powiedziałam tyle, ile mogłam z siebie wykrzesać w tym momencie. Z reguły gdy odchodzi ktoś, kogo znałam i szanowałam, w głowie mam pustkę. Olśnienie przychodzi później. Dlatego dopiero potem, gdy przeglądałam książki, które od niej dostałam, i te, które sama kupiłam, wspominając wszystkie z nią spotkania, zaczęło mi się przypominać więcej i jeszcze więcej rzeczy. Pierwsze nasze spotkanie miało miejsce, gdy jeszcze chodziłam do liceum. Przyszła do mojej szkoły, by mówić o Litwie Mickiewicza.

Pokazywała rudy, zasuszony liść klonu i mówiła, że i u nas, i tam, za granicami Polski rosną takie same klony, bo Polska jest i tu, i tam. Była pierwsza połowa lat 80. Potem poznałam ją osobiście dzięki mojemu Ojcu, który wielokrotnie spotykał się z nią na jej wystawach i przy okazji różnych harcerskich spraw. Następnie ja sama nagrywałam ją wielokrotnie podczas pracy w TVP Warszawa.

Gdy po jej śmierci zjrzałam do książek, stwierdziłam, że niemal wszystkie są z dedykacjami złożonymi równym piśmem, fioletowym flamastrem. Niektóre podpisała mnie – inne Ojcu. W tych pierwszych z podpisem



Barbara Wachowicz-Napiórkowska

Fot. arch. Podgląd

dla mnie pisała mi o łączącym nas harcerstwie, w ostatnich dziękowała za kierowanie Oddziałem Warszawskim Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i za Medal Gloria Artis, o który dla niej wystąpiłam. To była niezwykła osoba, piewca polskości, polskiej historii i patriotyzmu w formie nietandetnej, ponadczasowej, oczywistej. Dla niej Polska to nie był frazes. To była oczywistość i całe jej życie, w którym zajmowała się Słowackim, Mickiewiczem, Żeromskim, Kasprowiczem, a także polskimi harcerzami.

Pamiętam opowieść Jacka Moskwy, który spotkał ją w 2012 roku na ulicy, gdy szła wziąć kredyt na kolejną wystawę, którą chciała zrobić. Bo Basia większość wystaw robiła za własne pieniądze. Powiedział jej wtedy, że nie musi brać kredytu, bo przyznano jej nagrodę Totus. Ucieszyła się jak dziecko. Miała fundusze na wystawę. Nie dbała o pieniądze, ale o to, czy zdąży ze wszystkim.

Kochała harcerzy i harcerstwo. Do mnie mówiła czasem druhno, czasem Małgosiu, a ostatnio per „Pani Prezes”, choć przyznam, że najbardziej lubiłam, gdy mówiła druhno, bo prezesem się bywa, a druhem, zwłaszcza duchem, jest się na całe życie. Tak jak ona. Będzie nam tej druhny Basi bardzo brakowało.

Druhna Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes Oddziału Warszawskiego SPP

Katarzyna Kotowska

Jak to się robi we Wrocławiu

Ćwiczenia praktyczne z dochodzenia praw autorskich

W marcu 2011 roku Teatr Lalek we Wrocławiu zwrócił się do mnie z pytaniem, czy może wystawić adaptację mojej książki *Jeż*, dokonaną przez krakowską autorkę, Marię Spiss. *Jeż* to obsypana złotym deszczem nagród baśń o adopcji, napisana przed prawie dwudziestu laty dla mojego syna, przeniesiona zresztą już wcześniej na scenę przez białostocki Teatr K-3 oraz poznański Teatr Animacji. Mam świadomość, że spektakl nie może być tożsamy z książką, bo to dzieło już nie moje, a o jego ostatecznym kształcie decyduje pojmowanie, doświadczenie i wrażliwość kolejnych twórców. Jednak temat adopcji dla wielu osób jest kompletnie nieznanym, podejmowanie go na forum publicznym wymaga wiedzy, taktu, a może i pokory, społeczne znaczenie jest duże, zaś autorkę zareklamowano mi jako młodą i zdolną.

W kwestii zdolności lubię mieć własne zdanie, a młodości nie uważam za cnotę, toteż zażądałam przysłania tekstu adaptacji. Po przeczytaniu stwierdziłam, że jest absolutnie nie do przyjęcia, ujawnia całkowitą ignorancję nie tylko w zakresie adopcji, ale rodzicielstwa w ogóle, w chory sposób wypacza sens mojego przesłania, a w dodatku przekazuje społecznie szkodliwe treści. Odesłałam teatrowi długą listę uwag i od ich uwzględnienia uzależniłam swoją zgodę na wystawienie sztuki. Teatr poinformował mnie, że wobec tego rezygnuje z adaptacji *Jeża*, autorka napisze własne, oryginalne dzieło, a teatr zadba, by żadne odniesienia do mojego utworu, treści oraz mojej osoby nie były wykorzystane. W maju 2012 roku Maria Spiss sama zawiadomiła mnie, że premiera jej sztuki *Antyzwiastowanie*, powstałej w koprodukcji wrocławskiego teatru z krakowską Łażnią Nową, odbędzie się we Wrocławiu w Dzień Matki. Byłam ciekawa, co powstało, więc poszukałam recenzji ze spektaklu. Wynikało z nich jednoznacznie, że ostateczna wersja do złudzenia przypomina mój utwór oraz różni się minimalnie od przedstawionej mi adaptacji, z której teatr jakoby zrezygnował.

Krok pierwszy – ZAiKS i oba teatry

Obawiając się, czy emocje nie przesłaniają mi trzeźwego osądu, scenariusz otrzymany z wrocławskiego teatru wysłałam do prof. Uniwersytetu Warszawskiego, dr hab. Grzegorza Leszczyńskiego, z prośbą o wypowiedź, czy *Antyzwiastowanie* jest plagiatem *Jeża*. W sierpniu 2012 r. otrzymałam opinię pana profesora. Była jednoznaczna i kategoryczna: według niej Maria Spiss dopuściła się zarówno plagiatu jawnego, jak i ukrytego.

Wrocławski Teatr Lalek zadbał o moje prawa autorskie: mając świadomość, że „samodzielne” dzieło jest oprotestowaną przeze mnie adaptacją po zmianach zaledwie kosmetycznych, wielokrotnie przypominał autorce, żeby plagiat był jak najlepiej ukryty, a w szczególności, by zrezygnowała z postaci chłopca-jeża. Autorka zamieniła mojego bohatera na drewnianą kukłę, usunęła niektóre cytaty dosłowne i tak przerobione dzieło uznano za wystarczająco oryginalne. Ponieważ teatr już zapłacił za adaptację niebagatelną kwotę 10 000 zł, na podstawie tej samej umowy przyjął z prawem do wyłączności eksploatacji „oryginalne” *Antyzwiastowanie* i wystawił je na scenie. Za ten sam tekst (wraz z opracowaniem programu do spektaklu), zakupiony również na wyłączność, Łaźnia Nowa w osobie dyrektora a zarazem reżysera spektaklu, Bartosza Szydłowskiego, zapłaciła następnę 5 500 zł.

Zwróciłam się do ZAiKS-u, który – zgodnie z zawartą umową – podjął się ochrony moich praw jako autorki *Jeża*. Wiedząc, że *Antyzwiastowanie* także zgłoszono do objęcia ochroną, poinformowałam, że uważam je za plagiat i przesłałam opinię prof. Leszczyńskiego. ZAiKS pręźnie zajął się sprawą. Powiedziano mi, że zostanie powołana komisja, która rozstrzygnie kwestię plagiatu. Do dziś nie została powołana. Wezwano dyrektora wrocławskiego teatru do złożenia wyjaśnień. Dyrektor Janusz Jasiński zdołał przekonać ZAiKS, że wystawiona sztuka nieco różni się od scenariusza, bo aktorzy parę razy użyli innych słów, co zresztą nie przeszkodziło mu później okazać dokładnie ten sam scenariusz organom ścigania, i do czasu, aż sprawa przycichnie, zdjął spektakl z afisza i wycofał utwór Spiss z ZAiKS-u. Dyrektor Łaźni Nowej, Bartosz Szydłowski uznał, że w ogóle nie widzi powodu do pójścia w jego ślady i do końca sezonu 2012-2013 wystawiał spektakl. Kiedy zdecydowałam zawiadomić prokuraturę o popełnieniu przez Marię Spiss przestępstwa, polegającego na bezumownym wykorzystaniu mojego utworu i poprosiłam ZAiKS, by reprezentował moje interesy w postępowaniu, do czego statut i umowa ze mną go zobowiązuje,

usłyszałam – dość grzecznie – że chyba śnię, bo takie sprawy rozstrzygają wyłącznie sądy cywilne, a ja źle zrozumiałam informację, że w ramach ochrony ZAiKS reprezentuje autora, mogą mi oczywiście wskazać pełnomocnika, którego polecają w takich przypadkach, a ja – odpłatnie, rzecz jasna – mogę go sobie zatrudnić. Uwielbiam, gdy ktoś nie wykonuje jasno sformułowanej umowy i przekonuje, że jestem za głupia, by ją zrozumieć.

Zwracam uwagę, że w razie uznania *Antyzwiastowania* za plagiat *Jeża*, zgodnie z ustawą Prawo autorskie ZAiKS musiałby wyegzekwować dla mnie od obu teatrów dwukrotność sum, wypłaconych plagiatorce. Ile wyegzekwował, łatwo zgadnąć.

Krok drugi – postępowanie przygotowawcze

Zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez Marię Spiss wniosłam do prokuratury 5 października 2012 r. Wraz z nim przekazałam swoją książkę, tekst *Antyzwiastowania* i opinię prof. Leszczyńskiego. Ponieważ premiera sztuki odbyła się we Wrocławiu, zawiadomienie trafiło do Komendy Policji Wrocław Stare Miasto. Podkomisarz Jarosław Przeor przez trzy i pół miesiąca prowadził dochodzenie, choć zgodnie z prawem miał na to miesiąc. Przesłuchał tylko jedną osobę, dyrektora Jasińskiego, i – zgodnie z dokumentem uczynił to we wrześniu 2012 r., to jest przed wniesieniem przeze mnie sprawy. Jasnowidz czy „profesjonalista inaczej”? Nie wydał postanowienia o przedłużeniu dochodzenia ani o przyjęciu dowodów, nie podjął żadnych innych czynności wyjaśniających, więc jednak „profesjonalista”. Na jego prośbę przesłuchano mnie w grudniu, a Marię Spiss w lutym 2013 r., obie w komisariatach w miejscach zamieszkania. Ponieważ Spiss nie przyznała się do winy, podkomisarz wbrew opinii biegłego powołanego *ad hoc* umorzył dochodzenie i uznał, że ta decyzja nie wymaga uzasadnienia, a nadzorujący postępowanie prokurator Jacek Kowalewski zatwierdził to postanowienie.

Sąd Rejonowy dla Wrocławia-Śródmieście, do którego wniosłam zażalenie, w maju 2013 r. uchylił postanowienie o umorzeniu dochodzenia i nakazał kontynuowanie postępowania przygotowawczego, dokonał skrupulatnej analizy art. 115 i 116 Prawa autorskiego, zwrócił uwagę, że organy ścigania winny w pierwszej kolejności wyjaśnić, czy w sprawie doszło do plagiatu, czy też powstania utworu zainspirowanego moim dziełem. Nakazał przeprowadzenie dowodu z opinii biegłego sądowego z zakresu

praw autorskich, który właściwie porówna oba utwory w sferze fabularnej, konstrukcji postaci, konstrukcji wypowiedzi, przy uwzględnieniu specyfiki utworu. Nakazał też przesłuchanie Marii Spiss na okoliczności związane z pierwotnym zamiarem adaptacji dzieła. Jak widać Sąd Rejonowy całkowicie zakwestionował działania organów ścigania, zwracając uwagę na fakt, że sprawa została umorzona bez podjęcia podstawowych działań zmierzających do wykrycia sprawcy i ustalenia przebiegu czynu przestępnego.

Postępowanie przygotowawcze w formie dochodzenia zwykłego po raz kolejny zostało skierowane do rozpoznania przez Prokuraturę Rejonową dla Wrocławia-Stare Miasto. Warto wiedzieć, że dochodzenie powinno być ukończone w ciągu dwóch miesięcy, ewentualnie może być przedłużone do trzech.

W czerwcu 2013 r. prokurator Jacek Kowalewski powołał biegłego. Miał z tym kłopot, bo w Polsce nie ma ani jednego biegłego sądowego literaturoznawcy, toteż musiał sam znaleźć osobę posiadającą takie wiadomości specjalne. Mając do dyspozycji naukowców ze wszystkich ośrodków akademickich w Polsce, wybrał Uniwersytet Warszawski i prof. Grzegorza Leszczyńskiego, tego samego, którego kategorię opinii kilka miesięcy wcześniej nie dał wiary, po czym zawiesił postępowanie do czasu uzyskania tejże opinii. Otrzymał ją na początku sierpnia, co wznowiło dochodzenie.

Biegły w sposób kategorię stwierdził, że Maria Spiss poprzez napisanie sztuki *Antyzwiastowanie* wprowadziła w błąd co do autorstwa tego utworu, naruszając przez to moje prawa autorskie, ponieważ w swoim utworze przejęła i zamieściła całe fragmenty utworu *Jeż* oraz odwzorowała fragmenty przy użyciu innych wyrazów, oddających dokładnie tę samą treść i konstrukcję myślową, a przypisując sobie ich autorstwo, dokonała tzw. plagiatu jawnego i ukrytego, a następnie rozpowszechniła ten utwór.

Prokurator w końcu października 2013 r. wezwał Marię Spiss do osobistego stawienia we Wrocławiu. Potem wzywał ją jeszcze kilka razy, bo albo była zbyt zajęta, albo zmęczona, albo nie miała czasu i prosiła, by co najmniej przez dwa miesiące jej nie wzywał, więc, jak to zwykle czynią prokuratorzy, nie narzucał się podejrzanej i do przesłuchania doszło wreszcie po upływie prawie półtora roku, pod koniec lutego 2015 r. Oczywiście podejrzana nie przyznała się do winy.

Przez te półtora roku prokurator Kowalewski miał w mojej sprawie pełne ręce roboty, bo połowie 2014 r. przyjął i włączył do akt dwa pisma od osób niebędących ani stronami, ani świadkami, ani biegłymi w sprawie,

ale znajomymi Marii Spiss, powiązanimi z nią towarzysko, zawodowo i finansowo: Anny Burzyńskiej, filologa z Uniwersytetu Jagiellońskiego i Tomasza Kireńczuka, teatrologa. Oba te pisma kategorycznie stwierdzały, że Spiss stworzyła dzieło samodzielne, według Burzyńskiej, bo Spiss jest uznanym dramaturgiem, według Kireńczuka, bo wykorzystywanie cudzych pomysłów jest powszechną praktyką. Po przesłuchaniu podejrzanej wystosowali do prokuratora kolejne, tym razem wspólne pismo, także włączone do akt, a będące polemiką z opinią biegłego, czyli świadczące o dostępie tych postronnych osób do akt oraz o ich działaniu wspólnie i w porozumieniu, w którym wykazali, że nie mają pojęcia, na czym może polegać naruszenie cudzych praw autorskich, ale Spiss z całą pewnością ich nie naruszyła. Co ciekawe, obie te osoby były podówczas kierownikami literackimi w krakowskich teatrach i powoływały się na głęboką znajomość prawa autorskiego, jako jedną z podstawowych kwalifikacji, koniecznych do pracy na takim stanowisku. Prokurator natychmiast umorzył postępowanie, uznając, że dochodzenie nie potwierdziło zarzutów, stawianych podejrzanej. Jedyne dwa pisma, jakie do mnie skierował, to postanowienie o zawieszeniu postępowania wiosną 2013 r. oraz o umorzeniu dochodzenia dwa lata później.

Wobec dwukrotnego umorzenia nabyłam prawo do wniesienia prywatnego aktu oskarżenia.

Krok trzeci – Sąd Rejonowy

Akt oskarżenia wysłałam listem poleconym do Wrocławia 13 maja 2015 r., w przepisowym terminie, a miły pan na mojej poczcie szczególnie starannie przybił stempel, co później okazało się niezwykle ważne. Zatrudnienie pełnomocnika było dla mnie zbyt kosztowne, ale miałam swojego *consigliere*, poza tym w naiwności wielkiej wierzyłam w sprawiedliwość, myślałam, że sądy są dla ludzi, a nie dla prawników i skoro jestem pokrzywdzoną, to sąd przecież nie będzie mnie krzywdził, zwłaszcza, że w moim przekonaniu i w opinii biegłego plagiat był ewidentny. Wiedziałam, że muszę stawiać się na każdą rozprawę, bo moja nieusprawiedliwiona nieobecność oznacza, że wycofuję oskarżenie i sprawa jest umarzana, toteż czekają mnie męczące podróże do sądu, w obie strony mam do przejechania 900 km, czyli zależnie od połączeń 13 do 17 godzin. Miałam też świadomość, że występuję nie tylko przeciw Marii Spiss, ale *de facto* przeciw mnie są dwa teatry

finansowane przez dwa miasta, a także prokurator, ponieważ w razie mojej wygranej czeka go obowiązkowe postępowanie dyscyplinarne.

Nie jestem samobójcą, ale powszechna zgoda na plagiaty ma poważne skutki społeczne, co budzi mój zdecydowany sprzeciw. Dla nikogo przecież nie jest tajemnicą, że obecnie w Polsce najczęściej łamanym prawem jest właśnie prawo autorskie, a pobłażliwość dla sprawców jest niezmierna. Sprzyja temu ogólnospołeczna niezajomość prawa, ułatwiony przez Internet dostęp do wszystkich wytworów kultury, ciche przyzwolenie na dokonywanie plagiatów na każdym etapie nauczania, od szkoły podstawowej po dyplomy wyższych uczelni, narastająca pogarda dla wykształciuchów i wszechobecny kult pieniędzy, a także kompletne lekceważenie problemu i wręcz niechęć do prowadzenia spraw przez organy do tego powołane, zwłaszcza gdy wartość materialna chronionych dóbr jest stosunkowo niewielka, a właściciel praw autorskich nie jest koncertem ani celebrytą.

W rezultacie twórcy, dodatkowo wprowadzani w błąd przez organizacje takie jak ZAiKS, w ogóle rezygnują z dochodzenia swoich praw, czym utwierdzają łamiących je w poczuciu bezkarności, więc może warto „przebrać szlak” i pokazać im, że jest to osiągalne.

Zwracam też uwagę czytelników, że Maria Spiss nie jest nieświadomą prawa smarkulą z podstawówki, uważa się za twórcę i jest nauczycielem akademickim Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie oraz konsultantem artystycznym Teatru Fredry w Gnieźnie, a wrocławski i krakowski teatr zatrudniają za publiczne pieniądze dyrektorów i kierowników literackich także po to, by z należytą starannością przestrzegali prawa, a nie tylko interesów własnych i swoich znajomych. Sposób uprawiania kultury przez te osoby i instytucje, ujawniony na gruncie niniejszej sprawy, budzi moje obrzydzenie i nie może być akceptowany społecznie.

Sąd rozpoczął procedowanie i wyznaczył termin pierwszego posiedzenia na 30 października 2015 r. Akurat zostałam wypisana ze szpitala i w domu kontynuowałam leczenie zapalenia płuc, więc moja nieobecność została usprawiedliwiona. Po tym posiedzeniu sąd postanowił wezwać mnie do uzupełnienia braków formalnych, czyli wniesienia w ciągu 7 dni aktu oskarżenia sporządzonego przez adwokata lub radcę prawnego pod rygorem uznania już wniesionego aktu za bezskuteczny. Warto zauważyć, że 1 lipca 2015 r. zmienił się kodeks karny i od tej daty rzeczywiście taki wymóg obowiązuje. Ale prawo nigdy nie działa wstecz, a przepisy wyraźnie określały, że akty wniesione do sądu przed tą datą zachowują moc

na starych zasadach, czyli bez podpisu prawnika. Jak wiadomo, maj jest przed lipcem, ale sąd we Wrocławiu obowiązuje jego własne prawo.

Udało się znaleźć prawnika, który sporządził akt oskarżenia, wiedząc, że dalej nie będę korzystać z jego usług. Jestem bardzo wdzięczna tej osobie, ale nazwiska nie ujawniam, bo w tym środowisku zawodowym taka pomoc jest postrzegana jako niedopuszczalna wobec powszechnie obowiązującej zasady, że należy doić klienta bez litości. Nowy akt oskarżenia wniosłam w ustawowym terminie.

Sąd wezwał mnie na posiedzenie pojednawcze 22 grudnia 2015 r. Dobrze, że nie w Wigilię. Bardzo chętnie przystałabym na mediację, bo celem było załatwienie sprawy, a nie wyniszczająca walka. Spędziłam 15 godzin w podróży tylko po to, by dowiedzieć się, że o pojednaniu nie ma mowy, bo sąd, chociaż mógł, w ogóle nie zaproponował mediacji, a treść wezwania sformułowano błędnie oraz po to, by sąd w mojej obecności doręczył pełnomocnikowi oskarżonej mój akt oskarżenia, bo przez miesiąc (!) go w ogóle do niego nie wysłał. Pełnomocnik wniósł o wyznaczenie kolejnego terminu, by mógł pisemnie odpowiedzieć na zarzuty. Poprosiłam o przesłanie mi jego odpowiedzi, ale usłyszałam, że w tym sądzie tego się nie praktykuje, natomiast zapoznanie z aktami jest możliwe w czytelni, ale z wyłączeniem okresu 3 dni przed rozprawą i 3 dni po niej, więc mogę sobie przyjechać w dodatkowym terminie, z tym że i tak nie wiadomo kiedy, bo odpowiedź może być udzielona w dowolnym czasie. Sąd na pierwszym posiedzeniu powinien mi doręczyć pouczenie o moich prawach i obowiązkach jako oskarżyciela posiłkowego, ale nie dysponował wydrukowanym egzemplarzem.

Wiosną 2016 r. sprawa ruszyła z kopyta, przesłuchania wszystkich miały się odbyć w ciągu miesiąca. W protokole z moich zeznań zabrakło istotnego wątku, który zresztą wzbudził żywe zainteresowanie i dopytywanie sądu, że scena z Aniołem zwiastującym bezdzietność pojawiła się już w adaptacji *Jeża*, a według obrony teraz ta sama scena miała świadczyć o samodzielności wersji ostatecznej. Wezwany do sądu biegły, by zbytnio nie fatygować pana profesora, miał być zwolniony przez sąd ze składania przyrzeczenia, na szczęście wniosłam sprzeciw i przyrzeczenia zostało złożone. Warto wiedzieć, że bez tego pan profesor byłby w postępowaniu sądowym zwykłym świadkiem, a nie biegłym, a to duża różnica. Świadkowie obrony wnieśli o przesłuchania w trybie wideokonferencji i sąd przystał na ich wnioski. Wzywanie świadka Kireńczuka trwało prawie rok, kilka razy jeździłam do Wrocławia tylko po to, by na sali sądowej dowiedzieć

się, że świadek przysłał kolejne usprawiedliwienie, czyli spędzałam 5 minut na sali i 15 godzin w podróży. Wreszcie sąd zgodził się zwalniać mnie z obowiązku stawiennictwa, gdy wiadomo, że świadka nie będzie.

Świadkowie obrony byli świadkami nie wiadomo czego, bo nie uczestniczyli w powstawaniu dzieła Spiss ani nie oglądali spektaklu, za to zgodnie zeznali, że pozostawali ze sobą w stałym kontakcie, wspólnie sporządzili pismo do prokuratury, a mimo to sąd dopuścił ich zeznania jako dowód w sprawie. Wobec kodeksowego zakazu porozumiewania się świadków w ogóle nie powinien był dopuścić tego dowodu. Oboje stwierdzili, że *Antyzwiastowanie* może być co najwyżej inspirowane *Jeżem*, a nie jest jego opracowaniem, ale sąd nie dopuścił moich pytań, jaka jest wobec tego różnica między utworem inspirowanym a opracowaniem, bo zdaniem sądu świadkowie nie muszą tego wiedzieć. To ciekawa konstrukcja logiczna: świadkowie nie wiedzą, na czym polega przestępstwo, ale wiedzą, że oskarżona go nie popełniła. Świadek Burzyńska oświadczyła, że *Jeż* nie zawiera w ogóle żadnych elementów twórczych (!), więc oskarżona nie mogła ich przejąć, oraz że wszystkie historie adopcyjne są dokładnie takie same, co wie z telewizji, więc niczego innego na ten temat nie można wymyślić i wszystkie dzieła muszą być takie same jak moje. Zapytałam zatem, czy posiada jakieś wiadomości specjalne dotyczące adopcji, ale sąd uchylił pytanie. Właściwie powinnam się cieszyć, że obrona zgodnie twierdzi, że na temat adopcji nie da się wymyślić nic innego, oprócz *Jeża*, czyli uznaje mnie za klasyka, ale to argument bałamutny, da się, wymyśliłam i opublikowałam na ten temat inne utwory i sama siebie nie musiałam plagiatować, znam też teksty innych autorów i nie wysuwałam wobec nich żadnych roszczeń.

Po tych zeznaniach wiosną 2017 r. sąd postanowił powołać kolejnego biegłego. Wybór padł tym razem na jedyną biegłą sądową w zakresie językoznawstwa, dr Jolanę Piwowar. Jej opinia poparta obiektywnymi badaniami z wykorzystaniem zasobów Korpusu Języka Polskiego również była kategorierna i jednoznacznie potwierdzała winę oskarżonej. Podczas przesłuchania w trybie wideokonferencji rozczarowała pełnomocnika oskarżonej, bo na pytanie, czy Spiss mogła inspirować się szeregiem innych dzieł literatury światowej odmówiła odpowiedzi, bo pytanie wykraczało poza zakres pytań sądu.

Wobec pogarszającego się stanu zdrowia, zmęczona dojazdami, złożyłam wniosek o mój udział w rozprawie w formie wideokonferencji. Sąd pozostawił go bez rozpatrzenia, a gdy przypominałam, że dotyczy wszystkich

kolejnych rozpraw, odrzucił go. Bez rozpatrzenia w ogóle pozostawił też mój wniosek o ujawnienie umów oskarżonej z teatrami, a także o przesłuchanie kolejnego świadka, recenzentki teatralnej z Wrocławia, chociaż odmowa wezwania świadka wymaga pisemnego uzasadnienia sądu. O drobnych przyjemnościach, jak jawne okazywanie zniecierpliwienia, czy krzyczenie na mnie, gdy usiłowałam dopytać świadka, już nawet nie warto wspominać. Natomiast miłym przeciwieństwem było zachowanie pań z sekretariatu sądu. Zawsze uprzejme, wiedząc, że mieszkam pod Warszawą, okazywały wszelką możliwą pomoc, niezawodnie i błyskawicznie, a ich uśmiechy, szczerze, a nie urzędowe, dodawały mi otuchy.

Sąd odrzucił zarzuty obrony do opinii biegłej, bo nie miały podstaw, a w istocie były tylko nieuprawnioną polemiką z tą opinią, odrzucił wniosek o powołanie kolejnej opinii biegłego i przesłuchanie osoby, która jest członkiem rodziny oskarżonej i jakoby opowiedziała oskarżonej swoją historię, chociaż nie wiadomo dlaczego moimi słowami.

W listopadzie zapadł wyrok skazujący, będący zresztą popisem niechlujstwa: sztuka była i nie była wystawiona w Krakowie, prof. Grzegorz Leszczyński został przemianowany na Lewandowskiego (bo też na „L”?), przeliczenie grzywny na ilość dni aresztu wskazywało, że skazana, będąc reżyserem i nauczycielem akademickim, osiąga dochód miesięczny grubo poniżej poziomu nędzy, choć sama określiła go o wiele wyżej, a zasądzony na moją rzecz zwrot udokumentowanych kosztów poniesionych został zsumowany tak, że ledwo przekroczył połowę. No cóż, pani sędzia jest pracownikiem naukowym w stopniu dr hab. na Wydziale Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego.

Uznałam, że po przejechaniu prawie jedenastu tysięcy kilometrów, czyli ćwierci równika, mam dość i taki wyrok mogę zaakceptować, choć zadośćuczynienie zasądzono mniejsze od kwoty, jaką oskarżona otrzymała od obu teatrów. Obrona wniosła apelację.

Krok czwarty – Sąd Okręgowy

Na rozprawie apelacyjnej po raz pierwszy zobaczyłam prokuratora, który jakoby uczestniczył w postępowaniu przed sądem I instancji. Pełnomocniczka oskarżonej podtrzymała zarzuty i dodatkowo podniosła, że nieprawidłowo wniosłam akt oskarżenia do sądu rejonowego. Sąd zdziwił się, że nie mam pełnomocnika i z niejakim zainteresowaniem wysłuchał

mojej odpowiedzi na zarzuty obrony do wyroku I instancji, a prokurator nastawiał ostrość, gdy wykazałam brak profesjonalizmu pełnomocnika oskarżonej i jej świadków. Sąd następnie wyjaśnił, że nie może ustalić, czy wniosłam akt oskarżenia w terminie, ponieważ w aktach nie ma koperty, w której ten dokument wysłałam, a data wpływu do sądu jest o trzy dni spóźniona. Wobec tego mam mailem przesłać skan dowodu nadania tej przesyłki, a na następną rozprawę mam dostarczyć do sądu oryginał tego dowodu, a jeśli go nie mam, sprawa musi być umorzona, bo jedyną pewną datą jest spóźniona data wpływu. To oznacza, że ktoś wyjął dokument ze spiętych akt sądowych, pełnomocniczka omówiła z sądem tę kwestię pozaprocesowo, a sąd podczas rozprawy powiadomił strony o możliwości popełnienia przestępstwa. Sprawca liczył na to, że dowód nadania sprzed trzech lat dawno zgubiłam albo wyrzuciłam i domyślności czytających zostawiam rozważenie, kto skorzystałby z umorzenia sprawy.

Ale ja miałam dowód z bardzo wyraźnym stemplem daty. Wysłałam skany i stawiałam się na rozprawie. Tym razem na sali siedziała widownia, podobno aplikanci pana sędziego. Sąd zatroskał się, że zupełnie niepotrzebnie się fatygowałam (te 900 km), bo wszystko się znalazło, ale było zupełnie gdzie indziej. No cóż, zwykle ukradzione rzeczy gdzieś są, tyle, że gdzie indziej. Pełnomocniczka jeszcze spróbowała wymyślić uchybienia formalne, ale sąd wyraźnie zniecierpliwiony zrobił jej egzamin z kodeksu i zmusił, by sama wykazała, że nie ma racji. Prokurator był za odrzuceniem apelacji, ja oczywiście też i sąd swoim wyrokiem ją odrzucił. Po sześciu latach od premiery *Antyżwiastowania* wyrok skazujący Marię Spiss stał się prawomocny.

Odpowiedź na pytanie, kto przegrał, jest prosta – oskarżona. Kto wygrał, także – jej pełnomocnik. Oni zawsze wygrywają, tym więcej, im dłużej sprawa się ciągnie, a od rozstrzygnięcia sądu zależy tylko, kto im zapłaci: mocodawca, czy strona przeciwna. Sąd I instancji rzucił mi uwagę: *trzeba było sobie wziąć pełnomocnika*. Mam co do tego wątpliwość, bo na takiego „profesjonalistę”, jak pełnomocnik skazanej Marii Spiss, po prostu szkoda pieniędzy.

Mój osobisty rachunek zysków i strat nie będzie upubliczniony. Mam nadzieję, że relacja z moich 6-letnich doświadczeń jako, przypominam – pokrzywdzonej, w starciu z kolejnymi organami prowadzącymi postępowanie, komuś do czegokolwiek się przyda.

Czy warto dochodzić swoich praw?

A czy można się godzić na bezkarne ich łamanie?

Katarzyna Kotowska

Pisarze Pod Sowami

Wiosną 2018 r. OW SPP nawiązał kontakty z Miejscem Aktywności Lokalnej na warszawskim Żoliborzu. Zaprosiła nas Pani Anna Bojarska-Urbańska – aktorka i inicjatorka działań kulturalnych (córka członkini OW SPP, śp. Teresy Bojarskiej – powieściopisarki i poetki). Twórczyni (wraz z Ireną Jun i Markiem Urbańskim) Piwnicy Poetyckiej, której OW SPP patronuje od siedmiu lat.



Lata 50. XX w. Spotkanie na Saskiej Kępie kolegów z filozoficzno-literackiej grupy dyskusyjnej z okresu okupacji od lewej: Jerzy Ficowski, Jan Gałkowski, Adam Pawlikowski, Stanisław Peliwo, Krzysztof Boruń, brak Zbigniewa Manysia, który zginął w Rykach jako żołnierz oddziału „Orlika”.



Krzysztof Boruń z córką Kasią, w różnych czasach goście i organizatorzy literackich MAL-i.

Gościnna i atrakcyjnie urządzona Czytelnia pod Sowami przy ul. Gen. Józefa Zajączka 8, nieopodal cytadeli, „otworzyła swoje podwoje” także dla imprez literackich, których współorganizatorem lub patronem jest OW SPP. Miała tam miejsce prezentacja dwóch numerów „Podglądu”, czyli spotkanie z jego redakcją i autorami oraz wieczór Tria Poetyckiego w składzie: Katarzyna Boruń-Jagodzińska, Danuta Gałęcka-Krajewska i Piotr Müldner-Nieckowski.

Miejsca Aktywności Lokalnej (MAL)

MAL-e oprócz swojej codziennej działalności (np. jako dom kultury, biblioteka, klubokawiarnia) mają za zadanie wspieranie lokalnych pomysłów i działań społecznych mieszkańców. Sprzyjają realizowaniu pomysłów mieszkańców, nawiązywaniu sąsiedzkich relacji oraz aktywnemu spędzaniu czasu wolnego w najbliższym otoczeniu. Robią to m.in. udostępniając swoją przestrzeń na tzw. działania oddolne, na podejmowanie współpracy z mieszkańcami i aktywizowanie sąsiadów. MAL-e to odpowiedź na brak przestrzeni. Dzięki nim mieszkańcy mogą nieodpłatnie realizować swoje pomysły. Z MAL-i często korzystają całe rodziny i pokolenia literackie, takie jak familie Bojarskich czy Boruniów. Lokalne działania są wspierane przez te miejsca bezpłatnie.

Z Internetu

Z inicjatywy Anny Bojarskiej cykl spotkań poświęconych ojcom z okazji Dnia Ojca 20 czerwca 2018 r. zainaugurował wieczór wspomnień o Krzysztofie Boruniu – pisarzu science fiction, publicyście, popularyzatorze nauki (zwłaszcza astronautyki i cybernetyki), członku-założycielu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W tym roku przypada 95. rocznica urodzin i 18. rocznica jego śmierci. Miejsce było nieprzypadkowe, w budynku mieszkalnym, gdzie znajduje się także czytelnia, bohater wieczoru mieszkał z rodziną od początku istnienia domu (1954 lub 1955) aż do śmierci w 2000 roku. Na spotkaniu, które zaszczycili przyjaciele i krewni, niżej podpisana



Trio poetyckie (od lewej) Piotr Müldner-Nieckowski, Katarzyna Boruń-Jagodzińska, Danuta Gałęcka w żoliborskiej „Czytelni Pod Sowami”.

(czyli córka) wspierana przez wnuka Borunia pokazywała zdjęcia i, jak niektórzy wypominali, opowiadała więcej o atmosferze rodzinnej i przeszłości akowskiej i WiN-owskiej ojca niż o jego dokonaniach literackich i dziennikarskich. Wspomniano, owszem, o trylogii kosmicznej i spółce pisarskiej z Andrzejem Trepką, ale to już pewna szufladka, do której pisarza dawno temu wrzucono... Przeplatały się swobodna atmosfera rozmowy i elementy wizualne – reżyser Przemek Młyńczyk zaprezentował charakterystyczną migawkę z Boruniem ze swojego filmu dokumentalnego „Czarownica”, Piotr Müldner-Nieckowski mówił o cybernetyce, a Szymko Kuliński o eksperymentach parapsychologicznych, którymi zajmował się Boruń. Siostra cioteczna pisarza wspominała o psotach i pomysłach Krzysia. Oczywiście nie dało się pokazać i opowiedzieć nawet tylko tych najważniejszych rzeczy o niebanalnej postaci... Zainteresowanych „przekierowujemy” na stronę poświęconą Boruniowi na Facebooku.

(kbj)

**Biblioteka Publiczna w Dz. Żoliborz
m.st. Warszawy**

zaprasza na spotkanie
z grupą

Trio Poetyckie

z Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia
Pisarzy Polskich to znaczy z:

Katarzyną Boruń-Jagodzińską
Danutą Gałęcką-Krajewską
Piotrem Müldner-Nieckowskim,

którzy przedstawiają swoje wiersze
na dowód, że nie ma zgody
co do zgodności w poezji

24 maja 2018 (czwartek) godz. 18
Czytelnia Pod Sowami
Warszawa Żoliborz, ul. gen. J. Zajączka 8

OW SPP WARSZAWA
Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

POD
GLĄD
Kwartalnik literacki

bpzoliborz.pl

Plakat jednej z imprez
„Czytelni Pod Sowami”

Laureaci 11. edycji

Nagrody Literackiej m.st. Warszawy 2018

W dniu 6 czerwca 2018 r. podczas uroczystej gali w Teatrze Studio poznaliśmy nazwiska nominowanych 11. edycji Nagrody Literackiej m.st. Warszawy.

W kategorii „Proza”:

Andrzej Mencwel *Toast na progu*, Wydawnictwo Literackie

Adam Robiński *Hajstry. Krajobraz bocznych dróg*, Wydawnictwo Czarne

Jakub Żulczyk *Wzgórze psów*, Wydawnictwo Świat Książki

W kategorii „Poezja”

Anna Augustyniak *Dzięki bogu*, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu

Maria Bigoszewska *Wołam cię po imieniu*, Wydawnictwo Forma

Piotr Mitzner, *Ulica tablic*, Wydawnictwo tCHu

W kategorii „Literatura dziecięca – tekst i ilustracje”

Małgorzata Strękowska-Zaremba, il. Daniel de Latour *Dom nie z tej ziemi*, Wydawnictwo Nasza Księgarnia

Magdalena Tulli, il. Alicja Rosé *Ten i tamten las*, Wydawnictwo Wilk&Król Oficyna Wydawnicza

Adam Wajrak, il. Mariusz Andryszczyk *Lolek*, Wydawnictwo Agora

W kategorii „Edycja warszawska”

Anna Bikont *Sendlerowa. W ukryciu*, Wydawnictwo Czarne

Janusz Majcherek, Tomasz Mościcki *Kryptonim „Dziady”. Teatr Narodowy 1967-1968*, Wydawnictwo Bellona

Grzegorz Mika, *Od wielkich idei do wielkiej płyty. Burzliwe dzieje warszawskiej architektury*, Wydawnictwo Skarpa Warszawska

Po prezentacji kandydatów wręczono nagrody pisarzom wybranym przez jury w składzie: Janusz Drzewucki (przewodniczący), Grażyna Borkowska, Anna Maria Czernow, Karolina Głowacka, Krzysztof Masłoń, Anna Romaniuk, Rafał Skąpski.

Tytułem Warszawskiego Twórcy wyróżniono Ernesta Brylla – prozaika, poety, autora tekstów piosenek, tłumacza i dyplomaty.

Laureatami 11. edycji Nagrody Literackiej m.st. Warszawy zostali:

W kategorii „Proza”:

Jakub Żulczyk, *Wzgórze psów*, Wydawnictwo Świat Książki

W kategorii „Edycja warszawska”

Anna Bikont, *Sendlerowa. W ukryciu*, Wydawnictwo Czarne

W kategorii „Literatura dziecięca – tekst i ilustracje”

Magdalena Tulli, Alicja Rose, *Ten i tamten las*, Wilk & Król Oficyna Wydawnicza

W kategorii „Poezja”

Maria Bigoszevska, *Wołam cię po imieniu*, Wydawnictwo Forma

Nominowanym do nagrody i nagrodzonym serdecznie gratulujemy!

Na cześć Warszawskiego Twórcy – Ernesta Brylla laudację wygłosił przewodniczący jury Janusz Drzewucki. Publikujemy ją w dziale „Krytyka”.

(inf. własna)

Danuta Sękalska

Maria i Witold. Przymierze z synem¹

Na temat relacji Marii Kuncewiczowej z jej jedynym synem, Witoldem, narosło wiele mitów. Ciężą na tym banalne konfiguracje. Zawsze w takich sytuacjach narzuca się schemat: syn-mamusia. Owszem, była głęboka, mądra miłość matki przez całe życie, miłość i czułość syna, ale w tym układzie nie tylko to się liczyło, bo Maria i Witold byli niezwykłymi osobowościami i najbliższymi przyjaciółmi, oboje dokonywali niebanalnych wyborów. Tworzyli przymierze dwu niezależnych indywidualności. Stanowili dwa równoważne podmioty, z których każdy inaczej się spełniał, ale było żywe i ważne dla każdej ze stron, co ta druga robi. Maria nie byłaby do końca sobą, gdyby częścią jej świata nie był syn. Witold stanowił przeciwwagę dla męża Marii, Jerzego, pochłoniętego działalnością polityczno-społeczną. Maria zasięgała rady syna przy podejmowaniu ważnych decyzji życiowych, przysyłała mu do oceny swoje książki i prosiła o opinię, bo uważała, że Witold ma talent i dar obserwacji pisarza, tylko, jak się wyraziła, słowa nie przechodzą mu przez zaciśnięte gardło. Kiedy Witold urządził się w Ameryce i założył własne przedsiębiorstwo budowlane, wielokrotnie korzystała z jego pomocy finansowej, jak wtedy, gdy „przeżywała czas bardzo łaskawy” podczas pobytu u Appenzellerów na południu Francji, pracując jak dawniej w Polsce, w atmosferze przyjaźni intelektualnych, pisząc, notabene pierwszy raz po angielsku, *The Olive Grove* (*Gaj oliwny*).

Można by różnie spojrzeć na temat relacji Marii i Witolda, ale trzeba zacząć od tego, co pisała o synu matka. Witold Kuncewicz, bohaterski chłopak, który w czasie wojny światowej pływał na okrętach podwodnych Wilk i Jastrząb, brał udział w brawurowych akcjach – odznaczony Krzyżem Walecznych – jest bohaterem jej głośnej książki *Tristan 46* – bo właśnie wzorzec Tristana Maria wybrała dla syna – i adresatem ponad dwustu, obejmujących prawie pół wieku, listów pisarki. Z tymi listami, które na bogatym tle epoki przedstawiają panoramę losów rodziny i rzucają światło

1 W dn. 17-18 sierpnia 2018 r. w Kazimierzu Dolnym odbyły się uroczystości związane z otwarciem szlaku Kuncewiczów. Jednym z punktów programu był odczyt Danuty Sękalskiej poświęcony relacjom Marii Kuncewiczowej i jej jedynego syna Witolda.



Danuta Sękalska w Kazimierzu Dolnym, sierpień 2018

na postać syna, miałam okazję się zapoznać podczas dwukrotnych pobytów w Ameryce u pana Witolda Kuncewicza w roku dwutysięcznym i dwa tysiące szóstym. Pan Witold zaprosił wtedy mnie z mężem na swoją zieloną farmę wśród wzgórz, Old Kennels (Stare Psiarnie), gdzie prowadziliśmy niekończące się rozmowy o życiu jego rodziców i dalszej rodziny, o jego barwnych przygodach i niełatwej z początku egzystencji w tym kraju, porządkowaliśmy sterty papierów rodzinnych, dokumentów, tomów korespondencji, snuliśmy ambitne plany wydawnicze i pisarskie. Jednak zarówno przygotowany przeze mnie *Projekt listów Marii Kuncewiczowej do syna Witolda*, przyjęty przez wydawnictwo Czytelnik, jak i uzgodniony z panem Witoldem mój konspekt planowanej *Sagi rodziny Kuncewiczów i Szczepańskich*, zaakceptowany przez wydawnictwo WAB nie doczekały się realizacji, gdyż pan Witold nie zgodził się na zaproponowane przez te wydawnictwa warunki umowy. Ale skatalogowane przez mojego męża i mnie archiwum rodzinne z Old Kennels po śmierci pana Witolda jego żona Dorothy Kuncewicz przekazała bezpłatnie Ossolineum, dopełniając wcześniej ofiarowane przez Marię Kuncewiczową zbiory, a ja staram się

wypełnić powierzoną mi przez pana Witolda misję i pracuję nad książką pod tytułem *Cudzoziemka czy dama Rzeczypospolitej. Moje bliższe i dalsze spotkania z Marią Kuncewiczową*.

Maria urodziła syna szesnastego września 1922 roku w warszawskiej klinice na Marszałkowskiej. Chłopiec przyszedł na świat zdrowy, ale matce pękły żyłki w oczach i lekarz orzekł, że położnica nie tylko żyła, ale i serce ma słabe. Wtedy Jerzy zawyrokował „nigdy więcej”. Witold został więc jedynakiem. *Przymierze z dzieckiem*, nowela o profetycznym tytule, którą Maria napisała pod wpływem głęboko przeżytego doświadczenia, jakim było urodzenia syna, wywołało burzę, nieledwie skandal, było to bowiem naturalistyczne ujęcie tego tematu, prekursorskie w skali Europy, a może i świata. A oto jak (odmiennie niż w autobiograficznej noweli) wspominała Kuncewiczowa po latach to wydarzenie:

Drogi, kochany – pisała synowi w liście z Anglii 9 września 1954 roku – niedługo już rocznica tego dnia, kiedy wyjrzałeś na ten świat w słonecznej jesiennej Warszawie i leżałeś ze ściśniętymi piąstkami, dość nachmurzony i napoleoński, z ciemnym czubem i dużymi oczami w twarzy nie wiadomo jakim słońcem już opalonej, z czaszką długą i wąską jak u Egipcjanina – a naokoło krzątały się życzliwe, wzruszone osoby. Twój ojciec wtenczas chudy i nerwowy z wielką wiechą kwiatów dla zbolełej małżonki, skądinąd wielce dumnej, Babcia i Dziadzio z krzyżykiem złotym, pani Babcia z jakąś pajęczką koszulką, różne prawdziwe i nieprawdziwe ciotki i przyjaciółki z darami (...) Zaraz później przyjechał Olek i uchwaliliśmy wszyscy, że będziesz Witoldem.

Wychowanie, które syn ode mnie odebrał – konstatuje w Fantomach Kuncewiczowa – opierało się nie na zasadach, tylko na uczuciach. Witold, otoczony matczyną miłością, właściwie rósł bez ojca. Szkolny kolega Witolda, pan Zbigniew Dardziński, który jako młody chłopak często gościł w domu państwa Kuncewiczów w Warszawie, mówił mi, że niewiele może powiedzieć o Jerzym – rzadko go widywał, prawie go nie było w domu; był politykiem i działaczem, zajęтым innymi sprawami niż codzienność, końmi... Interweniował, biegał, załatwiał. A Witek? Był znacznie dojrzalszy od swojego kolegi, doroślejszy i miał inne zainteresowania. Pan Zbigniew od dziecka interesował się sportem, Witek, jak mówił – dziewczynami. Pan Witold potwierdził opinie kolegi o ojcu: widywał go rzadko, właściwie tylko w czasie obiadu. Zawsze zaaferowany, pochłonięty sprawami dnia, roku, epoki. Odnosił się do ludzi z większym dystansem niż matka, był arystokratą w każdym calu, trochę abnegatem. Nie miał żadnych

uprzedzeń rasowych czy religijnych. Natomiast matka rozpieszczała małego Witolda; jeszcze po latach pamiętał, że kupiła mu wymarzony rower na balonach. Poprzez rozmowy, towarzystwo, podsuwanie lektur, dbała o jego rozwój intelektualny. Przyznał, że nauczyła go tolerancji. Pozornie surowa, jakby trochę oddalona od rzeczywistości, w gruncie rzeczy była ciepła i troskliwa.

We wrześniu 1939 roku Witold Kuncewicz przekroczył granicę polsko-rumuńską w swoje siedemnaste urodziny. Jak inni młodzi Polacy marzył, że wstąpi do armii polskiej, która w Rumunii się uzbroi i wróci do kraju walczyć. W Czerniowcach o drugiej w nocy usłyszał głośny huk: tojechały na południe ciężarówki z polskim wojskiem. Od żołnierzy Witold się dowiedział, że Rosjanie wkroczyli do Polski. Kiedy rano z kolegą w Bukareszcie zajechał przed hotel i wpadł tam, szukając łazienki, żeby się odświeżyć po pełnej niebezpiecznych przygód podróży, niespodziewanie spotkał się z rodzicami.

Na własną rękę opuścił Rumunię i ponownie spotkał się z rodzicami we Francji. Tuż przed jej upadkiem w czerwcu 1940 roku zdążył wraz z grupką polskiej młodzieży zdać maturę w Liceum Norwida w Paryżu, zasnutym dymem z pobliskich, podpalonych przez Niemców rafinerii. W porcie La Rochelle zamustrował się jako marynarz na polski statek rybacki Korab Czwarty. W Anglii zaciągnął się do Polskiej Marynarki Wojennej pod operacyjnym dowództwem brytyjskim, do służby na okrętach podwodnych. I kiedy Maria na uchodźstwie walczyła o obecność Polski w świecie, poświęcając siły, talent i wyobraźnię, jej mąż działał w polskim rządzie emigracyjnym, syn walczył z nazizmem, pływając na okrętach podwodnych.

W kwietniu 1942 roku Witold donosi rodzicom: *Okręt, na którym jestem, w porównaniu do staruszka Wilka jest nadzwyczaj komfortowy i wygodny. Bazę mamy przy dużym handlowym statku, po którego rozległych, pustych pomieszczeniach snują się masy Hindusów, a ja przypominam sobie różne filmy i książki przeczytane w dzieciństwie i odstawiam za coś w rodzaju Lawrence'a.*

Okręt nazywał się Jastrząb i wkrótce wyszedł w morze jako osłona konwoju z transportem broni i żywności dla Rosji. Kiedy nastąpiła awaria steru głębinowego i okręt szedł kursem na zatracenie w głąb morza, Witold zgłosił się na ochotnika i przy akompaniamencie warkotu motorów nadlatującego myśliwca niemieckiego, wyplątał stalówkę i uwolnił ster, ryzykując życie. Niestety, przy fatalnej widoczności *Jastrząb* został pomyłkowo zaatakowany przez brytyjski trałowiec i norweski niszczyciel i zatonął. Uratowaną

część załogi przewieziono do Murmańska, skąd zabrał ją potem do Anglii kontrtorpedowiec Garland. Na szczęście ekspres wrzucony w Szkocji przez kolegę Witolda z brytyjskiego niszczyciela z wiadomością, że Witold żyje, oszczędził Marii udręki, gdyż poprzedził depeszę z Londynu, która przyszła tego samego dnia po południu z informacją, że *Jastrząb* zatonął, uratowała się część załogi, lista nazwisk później...

Kochani moi – pisał Witold 8 maja 1942 roku z Wajengi w Rosji – jutro właśnie odjeżdża do Anglii pierwszy transport rozbitków (...), do których i my się zaliczamy. Ja powinienem się zjawić za parę tygodni, poczym zaraz dostanę dłuższy urlop. Okręt nasz zatonął, ale załoga cała uratowana z wyjątkiem kilku zabitych i kilku rannych, z których tylko dwóch „miało prawo” być zabitych, zresztą przez zbyt ni pośpiech w ratowaniu życia. Dowódca, który wiecie, jaką miał o mnie opinię, że łzami w oczach dziękował mi i gratulował, za to, że jako jedyny człowiek na okręcie (Witold był sygnalistą – d. s.), który znał prawdziwą groźbę sytuacji, do ostatniej sekundy zachowałem najzimniejszą krew i dałem maksimum fachowych informacji, jakie ktokolwiek mógłby dać. Uprzednio jeszcze w czasie patrolu zeszedłem na pokład w czasie sztormowej pogody, aby rozplątać linki od steru. (...) (Prosi rodziców, żeby nikomu o tym nie mówić z wyjątkiem Feliksa Topolskiego, którego od dzieciństwa w Kazimierzu aż do późnych lat uważał za wzór do naśladowania). *Jedno Wam mogę powiedzieć, że w ciągu całych tych tragicznych wydarzeń byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie... Teraz rozkoszuję się rosyjskimi śniegami, gadam z komisarzami i podziwiam szczerze naprawdę duże osiągnięcia tego kraju, jak i sytuację wewnętrzną tutejszą, która jest zarówno prawdziwa, jak i z prawdziwego zdarzenia.*

Nic nie wspominał o fatalnych warunkach w szpitalu, o powszechnym głodzie, ani o odkryciu na okręcie rosyjskiego malca, który chciał się przeschmuglować do Anglii, żeby się nareszcie porządnie najeść.

Po inwazji aliantów na wybrzeże francuskie w 1944 roku Witold został zaangażowany przez Ministerstwo Transportu Wojennego do służby przybrzeżnej w Afryce Zachodniej. Pływał na statku S/S Lida, utrzymującym komunikację wzdłuż Zachodniego Wybrzeża Afryki od Konga po Dakar.

Mam w swoim archiwum kilka wczesnych listów Witolda do rodziców, pisanych podczas służby na Lidzie. Oto fragment listu do matki z Port Gentil z 22 listopada 1944 roku, wart zacytowania, gdyż oddaje atmosferę czasu i temperaturę uczuć syna do matki:

Mamusi kochana, jeszcze przeszło dwa tygodnie do Twych imienin, z takiej godforsaken hole (zapomnianej przez Boga i ludzi zapadłej dziury

– przyp. D.S.) jednak list nawet par avion iść będzie pewno miesiącami. Od dwóch tygodni nie mam od Was wiadomości, gdyż jesteście w podróży, objając się po małych dziurach francuskiego Imperium Kolonialnego, skacząc jak pchła w poprzek równika to tu to tam (...) Jest we mnie właściwie tylko jedno pragnienie, przywiązanie: zawsze być jednym z wami, widzieć Was szczęśliwych, przyczynić się czymś chociaż do Waszego szczęścia (...) Co do prezentu, to choć poczekać nań będziesz musiała aż do mego powrotu, będzie on najokazalszym z tych, które miałem kiedykolwiek okazję ci dać – chyba będzie to złota bransoletka – something jednak original.

Maria w liście do Jerzego z 13 lutego 1945 roku dzieli się z mężem radosną nowiną, że w tym dniu zjawił się u Grace człowieczek z jakimś gospodarskim interesem i nagle się okazało, że to marynarz, który wrócił na urlop aeroplanem, ale przed dwoma tygodniami stał w porcie burta z burtą z Lidą. Często ją odwiedzał, chwalił, że to piękna łajba, wesoła załoga, ale z Witoldem się nie zetknął. Niedługo będzie wracał i zabierze list. *Ogromnie byłam tą rozmową poruszona* – zwierza się mężowi Maria.

Wracając z Afryki po odbyciu służby na Lidzie, Witold obsypał matkę prezentami. Zacytuję fragment mojej rozmowy z panem Witoldem z 2006 roku: Pytam: *Jakimi prezentami?*, Odpowiedź: *Najróżniejsze srebrne pudła, pudełka, wielkie srebrne arabskie sudańskie bransolety, z kości słoniowej pudełka i Bóg wie co.* Pytam: *Czy pan kupował to na tych rynkach?* Odpowiedź: *Na różne sposoby. Dwie takie wielkie bransolety, jedną dała Reni, która od razu to sprzedała. To bardzo trudne do włożenia, chyba na nogi, waży z pół kilo srebra. Jak wróciłem z Afryki następnym razem, przywiozłem też małpę, bardzo miłą, małą sympatyczną małpę. W jakim języku rozmawialiście? A w takim małpioangielskim. Ale jak tylko żeśmy przyjechali do portu w Anglii, to uciekła. Chyba sobie kogoś znalazła, kto ją przygarnął.*

W liście z 16 marca 1945 roku Witold z entuzjazmem kwituje otrzymane pocztą, wydane w 1944 roku angielskie tłumaczenie *Cudzoziemki – The Stranger: Kochani, dostałem Cudzoziemkę, bardzo się śpieszę, powiem tylko, jakże Mamo bogaci przez Ciebie jesteście. Mamy to wszystko co było nam drogie i częścią nas integralną i mamy w lepszym nawet wydaniu. Przez Ciebie, dzięki Tobie. Dopiero teraz (...) czytam to naprawdę i nie wiem jak wyrazić, że to jest superb.* I dodaje: *Nie mogłem dostać nic mi miłszego jak Stranger.*

W tym samym liście Witold snuje plany pracy w tropikach lub wyjazdu z kolegą Kopciem do Ameryki Południowej. Już wtedy, po konferencji

jaltańskiej w lutym 1945 roku, było wiadomo, że na powrót do kraju nie ma co liczyć i Witold, jak wielu młodych Polaków, musi od zera zaczynać życie na obczyźnie. Ale upłynęło jeszcze kilka lat, zanim Witold zdecydował się opuścić Anglię i wyjechać do Ameryki, ale Północnej.

Po roku na statku Lida zakończył karierę w Polskiej Marynarce Handlowej jako drugi oficer na M/S Oksywie. Jeszcze w Afryce Zachodniej zorganizował własną linię pasażerską dla tubylców. Po powrocie z Afryki, na wiosnę 1946 roku, dowiedział się od ojca, że rząd polski w Londynie chciałby uruchomić antykomunistyczną stację radiową. Tak się zaczęła kolejna morska przygoda Witolda. Jako pierwszy oficer pływał na Morzu Śródziemnym na jachcie Maria, z którego przez zainstalowaną tam przez Anglików (Secret Service) radiostację *pan Giertych wygłaszał swoje przemówienia*.

Poszukując nowej szansy w Nowym Świecie, Witold Kuncewicz w 1952 roku odpłynął do Ameryki „greckim emigranckim statkiem”, jak 3 kwietnia tego roku ze wzruszeniem zapisze Maria. Ten piękny, matczyzny list zapoczątkuje obfitą (liczącą blisko siedemdziesiąt listów między marcem 1952 a lipcem 1956) korespondencję Marii Kuncewiczowej, mieszkającej z mężem w Anglii, z synem, który pojechał za morze w poszukiwaniu swojego miejsca w życiu. Na pożegnanie dostał plik nieprzydatnych, jak się okazało, listów polecających do osobistości ze świata kultury i błogosławieństwo matki.

Upominany przez zawiedzioną jego pierwszą relacją z Ameryki matkę w liście z 16 kwietnia 1952 roku, *żeby nie startował na fałszywych pozorach, nie swoich zasługach, pożyczonych pieniądzech i dziecinnych nadziejach*, zmuszony do porzucenia ambitnych, ale jak się przekonał utopijnych planów utworzenia działającego na wielką skalę przedsiębiorstwa produkcji skór rybich dla celów galanteryjnych, zaczyna od nisko płatnej, ciężkiej pracy fizycznej, żeby po czterech latach pobytu w Ameryce stworzyć wielkie przedsiębiorstwo budowlane, podobno o obrocie rocznym dwóch milionów dolarów. Sprowadza do Stanów kolejno matkę i ojca, a Eileen, pierwszej żonie, wybitnej aktorce angielskiej, kupuje nowego Rolls Royce'a. Jak powie z żalem Feliks Topolski, uważający się za ojca duchowego Witolda, *ten nigdyś z krwi i kości Polak-marynarz-intelektualista, teraz hodujący konie przemysłowiec, rozprawiający o kreatywności w biznesie, perspektywach, osiągnięciach, wyzbyty dawnych żalów, to teraz świeżo upieczony Amerykanin*. Ale trzeba powiedzieć, że Witold nie wyrzekł się polskości i liczne inicjatywy,

jakie podejmował na rzecz kraju, a nawet sam wystrój jego amerykańskiego domu pełen historycznych polskich pamiątek, o tym świadczy.

Okres amerykański to dla Marii czas bogaty twórczo: książki już od kilku lat ukazują się w Polsce i cieszą się wielką popularnością, pisarka opracowuje antologię utworów współczesnych pisarzy polskich *The Modern Polish Mind*, wydaną w Stanach Zjednoczonych wraz z *The Olive Grove* w 1962 roku, rozpoczyna kilkuletni cykl wykładów z literatury polskiej na Uniwersytecie Chicagowskim. Na początku lat sześćdziesiątych Kuncewiczowa odzyskuje dom w Kazimierzu, a z podróży po Europie pisze synowi: *Europa to jednak jest dom, wszystkie zapachy i światła znam na pamięć*. Ale dopiero w Kazimierzu nad Wisłą, w odzyskanym domu, skąd pisze do syna w kwietniu 1968 roku, czuje się *na swoim miejscu, chociaż to miejsce leży na wulkanie*. W innym, długim liście-podsumowaniu z 11 kwietnia 1968 roku pisze, że kariery jako pisarka za granicą nie zrobiła i tłumaczy, dlaczego nie może przyjąć oferty syna wspólnego życia w Wirginii i postanawia wrócić do Polski: *Pisałeś i depeszowałeś, żeby przyjechać do Ciebie i Twoja gotowość dzielenia się z nami własnym życiem zawsze mnie wzrusza i przejmuje wdzięcznością, jako odruch miłości i dobrej serca. Ale... jest wiele tych „ale”*. Wymienia je i dodaje: *Ten dom – dla nas – nie jest naturalny. Dom gdzie się nie mówi po polsku, gdzie panią jest osoba zupełnie polskich spraw nieciekawa, a nawet właściwie im niechętna, musi nas do pewnego stopnia paraliżować*. Na zakończenie wyznaje: *Poza tym chcę choć raz jeszcze zobaczyć jak wiśnia kwitnie pod moim domem*.

Jak się jednak okazało *przeźrenie między fermą w stanie Virginia a miasteczkiem Kazimierz nie okazała się przepastna dla miłości*.

Korespondencja obejmująca lata siedemdziesiąte, sięgająca kwietnia 1984 roku, na początku skąpa, z czasem staje się obfita i regularna. Listy Marii to relacje o życiu i twórczości, listy-impresje, niezwykle ciekawe listy historyczne o wydarzeniach w kraju na początku lat osiemdziesiątych. W odpowiedzi przychodzą pełne troski i czułości listy Witolda, a po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego kolejne zaproszenie rodziców do Ameryki. Jednak Kuncewiczowie wracają z Włoch do Polski.

W 1984 roku choruje Jerzy, Witold wiernie towarzyszy ojcu w trudnych chwilach. Jerzy umiera. Maria rozpacza, czuje się samotna, pisze *Listy do Jerzego*, nawiązując więź duchową z mężem. Powoli wraca do życia. Wreszcie konstatuje: *Świat naokoło kwitnie, złoci się i zieleni i zaczynam to zauważać*.

Syn, kiedy tylko może, przylatuje z Ameryki, przyfruwają listy z Old Kennels. Maria wyznaje: *patrzeć na Ciebie i słyszeć Twój głos to dla mnie wielkie szczęście, teraz największe. Jesteś jedynym jasnym punktem na moim horyzoncie, wszystko inne – głupstwo i marność, jeżeli nie rozpacz nad bezmyślną ludzkością... bardzo Ciebie kocham* (list z 25 stycznia 1985).

Dnia 18 kwietnia 1985 roku Maria pisze:

Witoldzie najukochańszy, wczoraj dostałam Twój list z 23 marca, który mnie głęboko poruszył i cała nasza wspólna przeszłość odżyła na różnych swoich etapach i jak to wszystko złożyło się na obecny stan naszego stosunku. 'Zbliżenie, zrozumienie' na skutek dystansu, ja to także odczuwam wobec Jerzego i chciałabym, żebyś Ty także rozumiał go teraz lepiej i cieplej. Jerzy bardzo Ciebie kochał i nadal kocha, czego Ty nie chciałeś uznać, bo Ty co innego nazywałeś miłością. On miał zupełnie inny model życia, Ty od dziecka jego model odrzucałeś, co później sprawiło, że wasze drogi się rozeszły. Ale nie całkiem. Poczucie nierozzerwalnego związku zostało i trwa nadal. A ja? Wolałeś mnie, bo ja raczej szłam na rękę logice serca, a nie rozumu i charakteru. Teraz to sobie wyrzucam, nie doceniałam powagi życia, żyłam jak konik polny ćwierkający, bez pamięci o zimie. Zimę załatwił Jerzy.

Marię, która w *Kluczach* pisała: *Nasza miłość nie zdążyła rozwinąć się w przyjaźń, teraz dręczy poczucie winy, że była synowi bardziej przyjaciółką niż matką. Ciągle sobie wymawiam, że nie dość się Tobie poświęcałam, kiedy byłam młoda* (28 stycznia 1985).

Po śmierci Jerzego jeszcze mocniej zacieśniły się więzy syna z matką. Świadczy o tym ponad siedemdziesiąt listów i kilkanaście telegramów Witolda wysłanych do matki w okresie między lipcem 1984 a lipcem 1989 r. Te listy to szczegółowe relacje z codziennego życia na farmie, opowieści o wydarzeniach rodzinnych i częste zapowiedzi kolejnych, choćby na krótko, wizyt Witolda u matki w Kazimierzu. Witold kierował wtedy wielką firmą, był dyrektorem naczelnym Ross Industries Inc. w Midland w Wirginii i mógł sobie pozwolić tylko na krótkie, choć częste wypady z Ameryki. Ale kontakt syna z matką był bliski i niezwykle czuły.

Mamusi, Najmilsza Kochana – pisze Witold 25 lipca 1988 – Jutro po południu będzie już 2 tygodnie od czasu naszego rozstania, a mnie stale się zdaje, że dalej siedzimy z Tobą w cieniu tego bzu koło tarasu. To były cudowne godziny. Nie wiem, czy wypowiedzieliśmy jakieś wielkie mądrości w tych rozmowach, ale wiem, jak dobrze mi było! A 10 lutego 1989 r. zapowiada, że planuje dwa przyjazdy do matki. Pierwszy w maju na kilka dni, a drugi w sierpniu na dłużej.

Ostatnie listy do syna Maria dyktowała Anuli, ukochanej bratanicy, która pisała je na maszynie. Mam w swoim archiwum duplikat odręcznego listu Marii z 6 listopada 1988 r. – rozlane, prawie nieczytelne pismo, dramatyczne pożegnanie matki z synem.

I jeszcze dwa listy Witolda, który spędził z matką w Kazimierzu dzień ostatnich dni jej życia: ten z 14 lipca, w przeddzień śmierci Marii, do Tadeusza Roguskiego, zaczynający się od słów *Drogi, z ciężkim sercem wyjeżdżam...* z ostatnimi poleceniami dla tego przybranego brata i list z 7 sierpnia do pierwszej żony, Eileen, zawiadamiający ją o śmierci Marii. *Ona zawsze Cię kochała i myślała o Tobie, nawet kiedy było jej trudno wyrazić te myśli słowami.* I tak śmierć matki w końcu duchowo połączyła Witolda i Eileen, bohaterów płomiennego romansu, wpisanego przez Marię w prastary celtycki mit.

Danuta Sękalska

Wojciech Kaliszewski

Poezja, która nawraca¹

Adriana Szymańska jest poetką wybitną, ale przy tym niezwykle skromną, codzienną. Paradoksalność, sprzeczność i nieomal oksymoroniczność tego stwierdzenia podkreśla tylko wyjątkowy własny i niepowtarzalny trop jej twórczości. Poetka od pół wieku nieprzerwanie „szkoli zmysły by pojąć tajemnicę istnienia”. Debiutowała tomem *Nieba codzienności* w roku 1968, wiedząc, że ryzykuje, że zanurza się w słownej nieskończoności i że w tej nieskończoności – aby być – musi odnaleźć własną dykcję. Co więcej, od samego początku wiedziała, że ta bezgraniczna wspólnota poetyckich języków została jakby powierzona jej pieczy, że ma swoim słowem troszczyć się o słowa inne i innych, że ma je oświecać, że poezja to nie jest igraszka, ale – nie tracąc nic z lekkości, powabu zmysłów i harmonii współbrzmień – to zadanie naprawdę ważne i twórcze, kształtujące postać świata.

Pół wieku to *sub specie aeternitatis* niewiele, lecz z punktu widzenia człowieka to nieomal wieczność. Ale Adriana Szymańska stała się mimo to jej władczynią, umiała nad jej nieskończonością zapanować, odsłonić jej tajemnice, wydobyć ukryte w niej kształty i – co najważniejsze – zawsze umiała rozpoznawać całe bogactwo zmieniającego się czasie świata, wierząc mocno w nieśmiertelność ludzkiej duszy i metafizyczny sens poezji. Sama ujęła to kiedyś niezwykle trafnie mówiąc, że w pisaniu chodzi jej o to „...by z ‘z niczego’, co jest niepisaniem, chaosem, powszedniością, tworzyć budowlę sensu, wewnętrznej siły, kochania.” Jej poezja wznosi się więc na fundamencie wiary i nadziei, umacniana jakby nieustannie przekonaniem, że poetyka jest funkcją etyki. Ale – podkreślić trzeba to mocno: etyki pełnej miłości, zrozumienia i otwartości wobec całej rzeczywistości. Bo kochać świat i ludzi to chcieć, aby ten świat stawał się dobry i celowy. Dlatego poezja musi także – tu znowu przywołam słowa samej poetki – „być siekierą, która rani nie po to, aby ranić, lecz aby uobecnić opór wobec zła”. A ono – wytrwałe i cierpliwe – we współczesnym świecie działa wielorako, na przykład poprzez odwracanie znaczeń, burzenie porządku tradycji, czy

1 Laudacja wygłoszona 6 czerwca 2018 podczas wręczania Adrianie Szymańskiej Medalu im. księdza Jana Twardowskiego za całokształt dokonań twórczych.

rozsadzanie struktury języka. Tak mocna i zdecydowana postawa aksjologiczna – ocalająca, ratująca i broniąca prawa do miłości, współczucia, żalu, łez, ale także do prostej radości, śmiechu i zabawy – sprawia, że wiersze Adriany Szymańskiej tworzą wciąż poszerzany żywy zbiór zachwycający autentycznością i jasno wyrażaną prawdą. Poetka czerpie ze źródeł niekłamanych przeżyć, z tego, co jest rzeczywistym tworzywem wypełniającym formę autobiograficzną. W jej wierszach goszczą więc na przykład – na prawach wrażliwych świadków ludzkich przygód – drobiazgi podręczne, rzeczy, przedmioty pospolite, osobiste. Ich obecność wiąże świat uczuć i doznań z konkretnym wymiarem, z tym, co dokonuje się tutaj i teraz. Tę niezwykłość doznań, spotkań i olśnień udało się Szymańskiej uchwycić w przepięknym wierszu o muzycznym tytule *Aria na strunie G*:

*Nie szukaj cudów ponad ziemią
bo one blisko są: na dłoni
twojej siada właśnie Anioł nagły
strojny w ulotność swych przeznaczeń.*

Wiersze powstają w chwilach wyjątkowego napięcia i skupienia wszystkich wewnętrznych sił ludzkich. W chwilach niezwykłych, w takich, w których człowiek zostaje oświecony światłem wiary. W tym sensie wiara i poezja są sobie bliskie, otwierają bowiem człowieka na inny – niż doczesny – wymiar istnienia, umacniają go w trwaniu i ostatecznie pozwalają wyśpiewać pieśń radości:

*Wierzyć u progu snu w nieśmiertelność światu
i wejść – z zamkniętymi oczami – w światło
nowego poranka. Iść, ciągle wierząc, po strunie
wszechświata tak małej, że niewymierzalnej.
Nie będąc już – być bijącym wciąż tętnem
pracowitego zachwytu.*

Ten wiersz nazywa się *Metanoia*. Nawrócenie. Takich „nawróceń”, takich „metanoicznych” zapisów jest w poezji Adriany Szymańskiej bardzo dużo. Tworzą one układ niezwykłych stopni, prowadzących człowieka w porządku wertykalnym ku eschatologii, ku horyzontowi, z którego może spoglądać na świat w perspektywie nieprzemijającej radości. Psalmiczne, modlitewne i hymniczne kształty jej wierszy otwierają się na całość

istnienia, na to co przed „linią śmierci” i to, co poza nią. Na widziane i przeczuwane. Na Nieskończoność. Na Boga.

Szymańska ma rzadki dar chwywania rzeczywistości w stanie dynamicznym. W jej wierszach świat cały czas „staje się”, rozwija, zmienia, szuka formy. Dlatego jej poetyckie tonacje – raz pełne smutku, elegijne, to znowu radosne, słoneczne nieustannie się uzupełniają, dopełniają, dialogują, składając się na kanon jej wierszy. Na poetycko przeczuwaną całość.

Adriana Szymańska jest – powtórzę – poetką wybitną, ale jest także niezwykle ciekawą eseistką, autorką wnikliwych sądów krytycznoliterackich, pisuje dla dzieci. Jest pisarką z wielką pasją poznawczą, z wielką energią twórczą i zarazem z wielką pokorą wobec świata i ludzi. Wobec wszelkiego istnienia.

Wojciech Kaliszewski

Przemysław Dakowicz

To, co jest, jest poezją¹

Czy widziałeś nowe niebo i nową ziemię?

Bom – bym – bo

Bom – bym – bo

Czy widziałeś niebo i ziemię nową?

Krzysztof Kuczkowski

Krzysztof Kuczkowski jest jednym z najbardziej zadziwiających poetów naszej współczesności. W jego wierszach skażona świadomość i zmiażdżona wyobraźnia współczesnego człowieka prowadzą fascynujący dialog z przeszłością – z wizją świata sprzed katastrofy, sprzed oddzielenia się fizyki od metafizyki, sprzed momentu, w którym rozum począł dowodzić swojej wyższości nad innymi władzami poznawczymi człowieka, a racjonalistyczny światopogląd postponować wiarę, która stanowiła rękojmię sensu i dawała poczucie zakorzenienia w świecie.

Słowem – Kuczkowski, autor *Ruchomych świat*, to zarazem poeta świata sprzed katastrofy i świata po katastrofie, reprezentant umysłu i jego najzagorzalszy przeciwnik, obrońca sensu i ktoś, kto formuły przeszłości poddaje wielokierunkowej semantycznej weryfikacji, majster ironii i groteski, to znaczy: twórca, który odrobił zarówno lekcję Norwida, najbardziej chrześcijańskiego z naszych dziewiętnastowiecznych poetów, jak i dwudziestowieczną lekcję Leśmiana i Schulza. Uczeń klasyków i znawca awangardy – bezgranicznie oddany słowu i najbardziej wobec słowa nieufny. Wszystkie te doświadczenia kultury ostatnich dwóch wieków Kuczkowski uwewnętrznił, przetrawił i uczynił składnikami własnego lirycznego wyśłowienia.

Jeden z najbardziej zadziwiających wierszy tomu *Ruchome święta*, uhonorowanego Nagrodą Literacką im. ks. Jana Twardowskiego, brzmi następująco:

¹ Laudacja wygłoszona 6 czerwca 2018 z okazji przyznania Krzysztofowi Kuczkowskiemu Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego za tom wierszy *Ruchome święta*.

Adamek vs Kliczko

*Tęcza? Sznur do bielizny okręcony
wokół Sopotu. Tęcza dobrze naciągnięta
brzęczy jak bąk beczy jak baranek
w krzaku berberysu.*

*Usłyszałem śpiew tęczy i uwierzyłem w
tryumf Adamka. Wieczorem został zbity
jak pies. Na zboczu Łysej Góry sińce światła
czarny bez błędzące alikwoty.*

*Pięściami okładałem Łysą Górę za walki
skończone przed czasem miłosne klęski
przebrane bitwy z potworami.*

*Góra stękała jak krowa kołysała się jak na
haku trup. Od wschodu do zachodu nic tylko
to ścierwo. Tęcza. Grób.*

Co znajdujemy w rzeczonym wierszu? Specyficzną wizyjność, w której świat dostępny zmysłom poddany zostaje swoistej refiguracji. Tęcza przemienia się w sznur do bielizny, następnie zaś w buczonego bąka, który natychmiast przedziera się w baranka zaplątanego w krzak berberysu. Bo Kuczkowski pisze własną księgę *Metamorfoz*, w której bokserski pojedynek Tomasza Adamka z Witalijem Kliczką może stać się figurą błogosławionej winy, *felix culpa*, obrazem ludzkiego upadku i niepojętej Bożej dobroci, która grzesznika ponosi z największego upadku i z najczarniejszej rozpacz. Śmierć przemienia się w życie, grób odsyła do kołyski, a klęska staje się – trudnym do pojęcia, ale jakże rzeczywistym – synonimem zwycięstwa. Jak w jednym ze starszych wierszy autora *Ruchomych świąt*, opatrzonym tytułem *Anioł Jeffa Buckley'a*, w którego zakończeniu czytamy:

*miłość nie jest marszem
zwycięstwa, ale niekończącym się
szeregiem klęsk, po których
– wciąż wyżej i wyżej – wspina się
twoje Alleluja.*

Dlaczego Krzysztof Kuczkowski pisze? Jedną z najbardziej zasadniczych racji uzasadniających jego twórczość przynosi motto *Ruchomych*

świąt, zaczerpnięte z *Traktatu teologicznego* Czesława Miłozza: „Oby do naszej mowy wróciła rzeczywistość, / to znaczy sens, niemożliwy bez absolutnego punktu odniesienia”. Kuczkowski pisze z głodu, z głodu rzeczywistości, z tęsknoty za tym, co jest, co istnieje i nie podlega kwestionowaniu, a także za Tym, Który Jest.

Poeta dobrze jednak wie, że o sprawach najpierwszych nie sposób dziś mówić tak, jak mówiło się sto, dwieście lat temu. Że naszą percepcję, percepcję ludzi współczesnych, odbiorców (i współtwórców) kultury multimedialnej, nieustannie coś zakłóca. Odzywa się jeden głos, lecz zanim zdąży w pełni rozbrzmieć, jakiś inny głos przejmuje nad nim kontrolę – i mówią naraz, przemawiają równocześnie, dwa-trzy głosy, nawzajem się znoszące, unieważniające, podające się w wątpliwość. Kuczkowski jest poetą – by tak rzec – multimedialnym, ma bowiem głęboką świadomość kulturowego, cywilizacyjnego kontekstu.

W rozmowie z Wojciechem Kassem powiada:

No więc lubię intelektualną przewrotność, ironicznego dystans, stawianie trudnych pytań. Lubię utrudniać życie rozmaitym interpretatorom i księgowym literatury, i tak np. staram się nie ulegać naporowi popkultury, jednocześnie nie zamykam się na to, co w niej dobre; nie pędzę za modą, jednocześnie chcę zaznaczyć, że to, co na czasie, nie jest mi zupełnie obce; [...] lubię mówienie poważne i odpowiedzialne, zwłaszcza w sferze wartości, ale wiem, że powaga pozbawiona poczucia humoru może być śmiertelnie nudna itd.²

Autor *Ruchomych świąt* rozumie i najgłębiej pojmuje języki nowoczesności, przemawia tymi językami, ale – niespostrzeżenie – jego wiersz występuje przeciw nim. Przeczytajmy *Tryb powtarzania*, jeden z najważniejszych utworów książki nagrodzonej laurem im. ks. Jana Twardowskiego. Przytaczanie tu wszystkich bez wyjątku wersów zajęłoby zbyt wiele czasu, wyjmijmy więc tylko te najbardziej istotne:

Nie wiem, czy to coś znaczy. Prawda nie jest ruchoma. Świat krąży wokół prawdy, ale prawdy znać nie chce. Z samego obracania się nic nie wynika.

2 „Chodzi o jak największy zamach...”. Z Krzysztofem Kuczkowskim, poetą, eselistą, redaktorem naczelnym dwumiesięcznika literackiego „Topos” rozmawia Wojciech Kass, „Nowa Okolica Poetów” 2008, nr 3, s. 50.

To stwierdzenie rzeczy pierwszych, zakreślenie granic świadomości, granic nieprzekraczalnych. Bo prawdy się nie negocjuje. Ona jest lub jej nie ma.

Następnie – ironiczny, bez wątpienia – portret współczesności, w której wszyscy poruszamy się i jesteśmy:

Jak się nazywasz? Nie wiem. Skąd jesteś? Nie wiem.

[..]

*Im mniej widzę tym więcej rozumiem ale
nie zapamiętuję tego co zrozumiałem. Żeby widzieć
nie musisz patrzeć. Obserwuj obserwowanego. Jesteś
wystarczająco stary żeby być dobrym trupicielem.
Umarli śledzą umarłych. Umarli podglądają się
nawzajem kłócą się o lepsze miejsca na cmentarzach
z satysfakcją czytają nekrologi dawnych przyjaciół
nad trumnami poetów recytują ich wiersze. Za późno.*

W owo cmentarzysko kultury (kultury niegdyś zakorzenionej w sprawach ducha, która odeszła od własnych źródeł), wstępuje pochod pierwszokomunijnych dzieci:

*Z kosza kościoła wysypują się dziewczynki. Mają białe
trzewiczki białe rękawiczki białe modlitewniki
białe wianki. Dziewczynki idą pośród umarłych.*

„Tutaj wszystko jest ciemne” – mówi podmiot wiersza, a za nim powtarza Kuczkowski. Jego słowo jest próbą objaśnienia, zrozumienia, współczującego opatrzenia wszystkich bolesnych miejsc współczesności, wszystkich jątrzących się zranień postchrześcijańskiej kultury.

Powiada poeta w rozmowie z Wojciechem Kassem:

Obrazy to tylko narzędzia nazywania i przekazywania poetyckiego komunikatu. Wiem, że według ewangelii postmodernistycznej prawda jest ruchoma i niepochwytna, ale ja mam gdzieś to, co głoszą „pości”. Gdzieś przecież jest ten „tajemniczy punkt oparcia, wokół którego można budować życie” [...] Warto przedzierać się i przez życie, i przez słowa, żeby uchwycić to coś, co daje nadzieję. Warto przebiegać labirynty, kopać artezyjskie

*studnie, schodzić w głąb ziemi i szybować myślą w niebo, odrzucać to co zewnętrzne i powierzchowne, żeby dotrzeć do tego co JEST.*³

Poezja wyrastająca z pragnienia, by dotrzeć do tego co JEST, by pojąć i opisać to, co pojmowaniu i opisaniu się wymyka, poezja w przedziwny, paradoksalny sposób realizująca owo pragnienie – zasługuje na najwyższe laury.

Przemysław Dakowicz

³ *Op. cit.*, s. 62.

Janusz Drzewucki

Warszawski Twórca: ERNEST BRYLL¹

Nagroda Literacka m.st. Warszawy jest przyznawana po raz jedenasty. Przez osiem lat werdykt o przyznaniu nagrody w kategorii Warszawski Twórca ogłaszał pan profesor Andrzej Zdzisław Makowiecki, który nie może być dzisiaj z nami i którego teraz w dwójnasób pozdrawiam w imieniu naszego jury i swoim własnym, rzecz jasna.

Ogłaszając nazwisko Warszawskiego Twórcy w ostatnich latach, odkąd mam zaszczyt być przewodniczącym jury Nagrody Literackiej m. st. Warszawy, pozwalałem sobie na osobiste wyznania, teraz też nie potrafię się oprzeć. Pisarz ten – bo nie pisarka – zadebiutował w roku, w którym się urodziłem i jest rówieśnikiem mojej mamy. Gdy przeczytałem po raz pierwszy jego utwory, uczyłem się w liceum. Wiedziałem, że autor tych wierszy żyje w Polsce, ale sądziłem, że to jednak inna planeta, że nigdy nie będzie mi dane spotkać się z nim osobiście. Osobiście poznałem go tuż przed tą uroczystością. Teraz wiem, że on i ja żyjemy jednak na tej samej planecie i w tym samym kraju.

Gdy podejmowaliśmy tę decyzję, to – my członkowie jury – uzmysłowiliśmy sobie, że czytamy go od zawsze, chociaż należymy do różnych generacji i każde z nas ma swoje upodobania literackie. Ano właśnie, czytamy go od zawsze... cokolwiek to znaczy...

W tym roku jego wiersze ukazały się w pierwszym numerze nowo powstałego w Krakowie kwartalnika „Czas Literatury”, ale także w najnowszym czerwcowym numerze miesięcznika „Twórczość”, dla odmiany najstarszego polskiego czasopisma literackiego, powstałego w roku 1945. Taki to poeta. bo to poeta...

Ale, ale... Przyznając tę nagrodę, ten tytuł właśnie jemu, nie mieliśmy wątpliwości, że należy mu się ta nagroda, ten tytuł, jak rzadko komu i proszę mi wierzyć, że kiedy podejmowaliśmy tę decyzję nie wiedzieliśmy jeszcze, że jednym z tematów maturalnych z języka polskiego będzie w tym roku jego wiersz *Bądźmy dla siebie bliscy, bo nas rozdzielają*.

1 Rozszerzona wersja laudacji wygłoszonej w Teatrze Studio w Warszawie dnia 6 czerwca 2018 roku w czasie wręczania Nagród Literackich m.st. Warszawy 2018.

Warszawski Twórca 2018: pan Ernest Bryll.

Jest poetą, ale nie tylko poetą, bo przecież także prozaikiem i dramaturgiem, autorem musicali, oratoriów, telewizyjnych widowisk i filmowych scenariuszy, współtwórcą gatunku estradowego określanego mianem „śpiewogra”, a na dodatek jeszcze autorem piosenek, które wykonywali: Maryla Rodowicz i Daniel Olbrychski, Łucja Prus, Halina Frąckowiak i Krystyna Prońko, mało tego: Jerzy Połomski, Czesław Niemen i Marek Grechuta, a także zespoły: Skaldowie, 2 plus 1 oraz Myslowitz. A przecież to także jemu zawdzięczamy przekłady utworów: Otara Ioselianiego, Ludwika Aszkenzego, Vítězslava Nezvala, Szymona An-skiego, Anthony’ego Cronina, wreszcie kilka zbiorów poezji irlandzkiej. z których najgłośniejsze to przygotowane (gwoli ścisłości) wraz z panią Małgorzatą Goraj, antologie *Miodopój*, *Irlandzki tancerz* oraz *Eire, wiersze irlandzkie*.

Ale nade wszystko jest poetą. I to nie byle jakim poetą w kraju, który wydaje się być ojczyzną poetów. I jako taki przemawia zarówno w swoim imieniu, a tym samym w imieniu pojedynczego człowieka i obywatela, jak i w imieniu społeczeństwa, a bywa, że i w imieniu narodu.

Tak, Ernest Bryll nigdy nie bał się i nie boi się do dzisiaj akcentować tego – zdawałoby się oczywistego faktu – że mówi do nas z polskiej perspektywy, z perspektywy Polaka przełomu XX i XXI wieku. Nawet jeśli zabrzmi to górnolotnie, muszą to powiedzieć: jako pisarz towarzyszył swojemu narodowi i swojemu krajowi – w takich utworach scenicznych, jak: *Na szkle malowane*, *Wołaniem wołam cię*, *Zagrajcie nam dzisiaj wszystkie srebrne dzwony*, *Kolęda Nocka*, *Wieczernik*, a nadto: *A kto się odda w radość* oraz *Wołał nas Pan*, w dramatach *Rzecz listopadowa* czy *Kurdesz*, w opowiadaniach i powieściach ogłoszonych w książkach *Ojciec*, *Gorzko, gorzko*, *Drugi niedzielny autobus*, wreszcie w poezji, poczynając od debiutanckiego zbioru *Wigilie wariata* z roku 1958, przez *Sztukę stosowaną* i *Mazowsze*, przez *Rok polski* i *Pustą noc*, po *Golgotę Jasnogórską* i *Pod więzłą zakochanych*. Wymieniając te tytuły, dodaję: tylko niektóre tytuły jego książek, myślę sobie, że najlepszą laudacją poświęconą temu pisarzowi mogłaby być po prostu odczytana głośna bibliografia jego utworów, jego dzieł.

Zastanawiając się nad miejscem Ernesta Brylla w panoramie literatury polskiej, trzeba pamiętać, że jest on przedstawicielem tzw. pokolenia „Współczesności”, które zadebiutowało na fali przemian, jakie dokonały się po październiku 1956 roku, a do którego to pokolenia zaliczamy m.in. Stanisława Grochowiaka, Jerzego Harasymowicza i Andrzeja Bursę, Marka

Hłasę, Marka Nowakowskiego i Mirona Białoszewskiego. Jego miejsce w hierarchii polskiej literatury jest między nimi. Przyznając Nagrodę Literacką m. st. Warszawy w kategorii Warszawski Twórca, mamy świadomość, że nagradzamy oto pisarza, który ma swoje niezaprzeczalne miejsce w historii naszego piśmiennictwa artystycznego, a jednocześnie cieszymy się, że żyje między nami (a my obok niego), że ciągle pisze, że możemy go czytać, co tu wiele gadać – zachwycać się jego wierszami, wersami, obrazami, metaforami.

Będąc poetą polskim, tworząc w języku polskim, a zatem, warto przypomnieć, w języku Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza, Jana Kasprowicza, autor *Gołębia pocztowego* nie pisze wcale tego, co chcielibyśmy usłyszeć, tego mianowicie, że jako społeczeństwo, jako naród jesteśmy niezłomni i niezwyciężeni, krótko mówiąc najlepsi. Mówi nie tylko to, co chcielibyśmy usłyszeć, ale także to, czego jako Polacy nie chcemy słyszeć. Mówi nam prosto w oczy, że nie jesteśmy najlepsi, a jeśli nawet, to tylko niekiedy, to czasami i przez chwilę. Ten poeta ma odwagę mówić nam prawdę nieprzyjemną, prawdę niewygodną, prawdę wstydliwą czy też zawstydzającą, ale jednak prawdę. To od nas samych zależy, czy zechcemy tę prawdę usłyszeć, zrozumieć, zaakceptować. Inaczej mówiąc: zastanawiając się i definiując w swojej twórczości co to znaczy być Polakiem, Ernest Bryll zastanawia się jednocześnie, ile jest w Polaku... człowieka.

Oto on: poeta z powołania, poeta z krwi i kości, poeta z bożej łaski – pan Ernest Bryll.

Janusz Drzewucki

Paweł Dunin-Wąsowicz

Praski przewodnik literacki

(fragmenty¹)

Białołęka

Kiedy w miejscu wiejskich osad na przedmieściach powstają osiedla, urbanizacja odbija się także w języku – tak się dzieje w przypadku Białołęki i kolejno poszczególnych jej części – formalnie przyłączonych do miasta w 1951 r., a w północno-wschodniej części ćwierć wieku później. Nie mówi się wtedy już „w Białołęce, Tarchominie”, ale „na Białołęce, Tarchominie”.

Młoda malarka, narratorka powieści Haliny Popławskiej *Klawikord i róża* [1969] rekonwalescencję po wypadku motocyklowym odbywa jeszcze w Białołęce u swej przyjaciółki Gieni. Choć w domu (pięciopokojowym) jest gosposia, narzekając, że „w Białołęce z aprowizacją nie najlepiej. Moc rzeczy trzeba taszczyć z Warszawy”. Jej narzeczony, filmowiec Cyryl, nie znosi wsi – tak określa Białołękę. Bliskości Warszawy zazdrości za to mieszkającemu w Białołęce pasierbowi Gieni, Julianowi, jego dziewczyna – uczennica technikum wieczorowego, pochodząca ze Śląska i mieszkająca w internacie.

Jednak już Kasia Żurek, z którą nawiązuje romans komisarz Adam Nowak w pierwszym tomie cyklu kryminałów Tomasza Konatkowskiego *Przystanek Śmierć* [2007], mieszka na Białołęce. Policjant składa jej tam wizytę w sporym mieszkaniu z tarasem przy ul. Hanki Ordonówny – „Między Modlińską i Wisłą powstał spory kawałek miasta, w którym deweloperzy budowali nowe osiedla, korzystając z niskich cen działek, co przekładało się na nieco niższe niż w innych rejonach stolicy ceny za metr” – to Nowodwory i Tarchomin, na którym bloki budowano zresztą już od 1979 r. Ceną za to było słabe skomunikowanie z centrum.

W drugim tomie *Wilcza wyspa* [2008] Nowak mieszka już u Kasi. „Większość mieszkańców miała najwyżej trzydzieści, trzydzieści pięć

1 Książka „Praski przewodnik literacki” ukaże się w 2019 r. nakładem Fundacji Hereditas przy dofinansowaniu Biura Kultury m.st. Warszawy.

lat – znacznie więcej niż budynki, w których żyli. Peryferie miały jednak swoją historię, deweloperzy nie stawiali bloków na ziemni niczyjej. Jakieś drewniane płoty, stare chałupy jeszcze tu i ówdzie można znaleźć, choćby na Mehoffera. Opuszczone pasieki, szklarnie i fabryczki. Krzyż wotywny z 1906 roku. A niedaleko cmentarz. Nowak uczył się tych ulic, miejsc, oswajał je, poznawał, niekiedy odkrywał. (...) Wyczytał na przykład co nieco o drewnianym dworze i o pałacu, w którym teraz mieściło się seminarium duchowne” – Konatkowski nie wspomina jednak o sąsiadującym z tymi ostatnimi w Tarchominie najstarszej świątyni zachowanej w całości w granicach współczesnej Warszawy – kościele św. Jakuba.

W piątej książce cyklu *Pięć czaszek* [2017] Nowak dojeżdża z centrum metrem do Młocin, gdzie ma dogodną przesiadkę w tramwaj kursujący na Tarchomin nowym mostem Marii Curie-Skłodowskiej. Wsiadając przy Mehoffera, Nowak odkrywa, że jest śledzony przez mężczyznę, którego widział pod kinem Muranów. Ma to związek z prowadzonym przez niego śledztwem w sprawie zwęglonych ciał w spalonym furgonie na Powązkach. Na Tarchominie w samochodzie Kasi, odbierającej z przedszkola synka, zostaje wybite cegłą okno (patrz też BRÓDNO); aby chronić żonę i dziecko, Adam wywozi ich do teścia na Olszynkę.

Na Nowodworach rozgrywa się natomiast akcja opowiadania Justyny Bargielskiej *Klamkowicze* z antologii *20 rzeczy o Warszawie* [2017]. Jego bohaterowie, dowiedziawszy się o złodziejach wpadających na Białołęce do niezamkniętych mieszkań, idąc ich tropem tak samo naciskają na kolejne klamki w obcych blokach, ostrzegając dzieci, aby zamykały się, kiedy są same. Aby dojechać na Nowodwory, także korzystają z nowej linii tramwajowej.

Nie mają jak na razie szczęścia do literatury nowe osiedla we wschodniej części Białołęki jak np. Derby, będące skądinąd symbolem dzikiej urbanizacji łanowej (opisuje ją Joanna Kusiak w monografii *Chaos Warszawa* z 2017 r.), tylko w thrillerze Remigiusza Mroza *Hashtag* [2018] bohaterka mieszka na Lewandowie, brak tam jednak jakichkolwiek szczegółów poza nazwą ulicy Berensona.

Na południe od mostu Marii Curie-Skłodowskiej znajdują się tereny dawnej fabryki domów w Starych Świdrach. Rozgrywa się tam finał powieści Aleksandra Kościowa *Przepras* [2008], kiedy to Marta odnajduje poszukiwanego przez kilka dni synka w industrialnej scenerii opuszczonych zakładów: „Bliskie sąsiedztwo wieżowców i niewysokich domków tylko potęgowało straszne wrażenie. Para tęgich betonowych,

zwieńczonych brzoškami kominów, do których prowadziły kompletnie przerdzewiałe metalowe schody, trzydziestometrowe bloki, opasane różnej grubości wstęgami okien, w większości oślepionych, obok rozległych płaskich, na oko trzypiętrowych budynków, strzelające w niebo filary różnej wysokości, smukłe i szerokie, przedziwne wybebeszone konstrukcje z betonu i drutów (...) dalej jeszcze inne pomniki upadku, których zasięgu i posępnosci mogli się stąd tylko domyślać, wszędzie gruz, metal i szkło, dwumetrowe chwasty wśród ginących pod zwałami dykty szyn, a do tego dziki wiatr pustoszący wypróżnione hale i trzaskający gdzieś żelaznymi odrzwiami”.

Od 1960 roku nazwa Białółka kojarzy się także z więzieniem karno-śledczym, obecnie aresztem śledczym przy ul. Ciupagi. Szczególne znaczenie miała po 13 grudnia 1981 r., kiedy osadzono tam internowanych działaczy Solidarności (w tym przyszłego prezydenta RP Bronisława Komorowskiego). Odbiciem literackim jest książka mającego za sobą takie doświadczenie Janusza Andermana *Czarne serce* [2015], wcześniej Maria Nurowska opisywała w powieści *Kontredans* [1984] trudny dojazd swej bohaterki tramwajami i autobusami na Ciupagi na widzenie z internowanym partnerem. Ostatnio w kryminale Remigiusza Mroza *Kasacja* [2015] w areszcie tym spotyka się z klientem – oskarżonym o zabójstwo żony i córki, Cyganem – adwokat Joanna Chyłka. Ona również ma problemy komunikacyjne – na kilkaset metrów przed celem podróży policja stwierdza, że prawniczka prowadzi auto „po spożyciu alkoholu”.

Jeśli chodzi o słabo zurbanizowane peryferie dzielnicy Białółka, to część akcji horroru Mariusza Kaszyńskiego *Rytuał* [2008] ulokowana została w Płudach, skąd do pracy w stołecznej korporacji dojeżdża główny bohater i jego szefowa. Mistyfikacja związana z projektem edukacyjnym poświęconym pomocy Żydom w Choszczówce jest tematem powieści Pawła Beręsiewicza *Wszystkie lajki Marczuka* [2012]. Choszczówka pojawia się także w powieści Andrzeja Stasiuka *Dziwięć* [1999] – dociera tam w poszukiwaniu swego pryncypała Pawła ekspedientka Zosia; jest to skądinąd osada, w której autor spędził dzieciństwo i na starość zamieszkali znów jego rodzice, czego bogate wspomnienia zawarł w powieści *Wschód* [2015]. Niemożliwe natomiast jest zlokalizowanie zmyślonej ulicy Bocznej na północnopraskim odludziu, gdzie wytwórnia wyrobów z polistyrenu jest maską dla fabryczki narkotyków gangu niejakiego Bładego w kryminale Anny Kłodzińskiej *Za progiem mroku* [1988].

Bródno

Sierota Ryszard Wąwolnicki, któremu z powodu choroby oczu po ukończeniu korpusu kadetów w Połocku przepadła szansa podjęcia studiów inżynierii wojskowej w Petersburgu w powieści Romana Wolskiego *Dla ojczyzny* [1932], w końcu XIX wieku szuka w Warszawie pracy. Ma zabezpieczony bezpłatny nocleg („na twardym tapczanie, mając pod głowę własny łożek”) w kawalerskim mieszkaniu swego kuzyna pracującego na kolei nadwiślańskiej a zamieszkałego przy jej głównej stacji na Nowem-Bródnie – wówczas Praga-Nadwiślańska, dziś Warszawa-Praga. Przejada resztki oszczędności – „na złość kursy jakie odbywał Rysiek z Nowego-Bródna do Warszawy na piechotę i z powrotem, gdyż wówczas tam tramwaj nie dochodził, dezylowały mu strasznie obuwie, koszt którego dotkliwie odczuwał.” Choć także w zarządzie kolei nadwiślańskiej złożył podanie, brak dla niego etatu w biurze. Szczęśliwie po kilku tygodniach dowiaduje się od kuzyna, że zmienił się naczelnik ruchu, nowym został kolega brata jego macochy. Wykorzystując tę protekcję, zdobywa „miejsce konduktora 2 klasy z pracą w biurze naczelnika brygad konduktorskich”. Z radości „podążył na Zakroczymską na dworzec Nadwiślański i tym razem zafundował sobie bilet 3 klasy aż za 10 kopiejek na Pragę, gdyż już sprzykrzyło mu się chodzić piechotą”.

Dzieje Nowego Bródna związane są ściśle właśnie z koleją nadwiślańską, która w 1877 roku połączyła Mławę z Lublinem, Chełmem i Kowlem, budując swą główną stację na Pradze poza rogatkami, zaś pasażerów obsługując po lewej stronie Wisły z tzw. Dworca Kowelskiego, dziś znanego jako Gdański (ten przy Zakroczymskiej). Wokół Pragi-Nadwiślańskiej powstała osada kolejarzy, wokół nich sklepikarzy, rzemieślników i robotników.

Awansowany niebawem na nadkonduktora 1 klasy Rysiek był na najlepszej drodze do kariery, jednak wskutek awantury wywołanej w knajpie przez carskich oficerów, którym przeciwstawili się kolejarze, szybką decyzją zwierzchnika został przeniesiony na prowincję, aby zejść z widoku mściwym Rosjanom. Wolski, który zaistniał jako autor nowel kolejowych już przed I wojną światową (...), wylicza, że nadwiślańczycy bawili się najchętniej na Nowym Mieście, terespolczycy w lepszych restauracjach na Pradze, zaś pracownicy petersburskiej drogi żelaznej jako elementy mocno zrusyfikowany – na ówczesnej Nowej Pradze. Pozwala to ustalić, że akcja toczy się przed 1896 rokiem, kiedy to połączone kolej nadwiślańską z terespolską w jedno przedsiębiorstwo.

W 1924 roku na przyłączone osiem lat wcześniej do Warszawy Nowe Bródno dotarł tramwaj, który docierał prosto Białołęcką i Wysockiego aż do dzisiejszej ul. Toruńskiej – na wysokości Pelcowizny po drugiej stronie torów kolejowych. W 1971 r. zmieniono jego trasę, kierując od cmentarza na wschód wzdłuż jego muru i dalej RembIELińską w stronę nowych osiedli powstających na polach starego Bródna. Aż do lat 60. zachowało ono charakter wsi. Taką wsią jawi się jeszcze w książce Zoi Kołos Szafrąńskiej *Preludium Warszawy* [1966] – edukacyjnej powieści o historii i prehistorii stolicy. Pretekstem akcji jest spotkanie w tramwaju narratorki Małgorzaty – studentki konserwatorium, która zgubiła nuty preludium Chopina – z młodym archeologiem Szymonem, który pracuje przy wykopaliskach, gdzie odkryto najstarszy na terenie warszawskim gród wczesnofeudalny z X wieku, tytułowe preludium stolicy: „Fragmenty wału drewnianoziemnego, bramę, domy, skrzynię do przechowywania zboża i liczne przedmioty, które opowiadają nam o zajęciach mieszkających tam ludzi. Wszystko leżało pod warstwą popiołów, która powstała wskutek jakiejś wielkiej katastrofy”. Szymon umawia się z Małgosią, by pokazać jej wykopaliska – na Bródno jadą tramwajem, potem autobusem, wreszcie idą pieszo: „Droga była piaszczysta. Z jednej strony wielkie ogrody napęczniałe kwiatami, z drugiej szara wąska ścieżka, otoczona wysokim spłowiałym zielskiem, wśród którego pięły się ku słońcu kwiaty (...) Zbliżyliśmy się do mostu, pod którym, pomalowana niebieskim niebem płynęła ujęta w kanał rzeczka Ząza. Przed nami rozciągała się szeroko zielona równina, a na niej rysował się jak gdyby pagórek. Kilkadziesiąt metrów na prawo widać było nasypy ziemi i poruszających się ludzi z łopatami.” Archeolodzy zrekonstruowali w pobliżu słowiańską wędzarnię, a ryby do wędzenia pozyskują od miejscowego rybaka – starego Łukasza, który wędkuje nad kanałkiem. „Szarą ścieżką doszliśmy do zabudowań wsi. Domek, w którym ekspedycja wynajęła pokój, był mały, niski. Od furtki prowadziła do niego wąska dróżka, gęsto otoczona kwiatami. Krzywy, drewniany, nagrany słońcem ganeczek.” Małgosia podziwia jabłka w ogrodzie, potem odnoszą uwędzone ryby Łukaszowi. „Najpierw przez łąkę, potem wąską ścieżką, przy której rosły wysokie krzaki ostu, sięgające nam niemal do ramion. (...) Weszliśmy na pole puste i szarofioletowe od wieczornego nieba. Łciate krowy zamasyżycie wachlując się ogonami przeszły obok nas. Zapachniało mlekiem” – oto jak wyglądało Bródno pół wieku temu.

Gdy już stanęły bloki, Miron Białoszewski zapisał: „To na Bródnie uświadomiłem sobie, że te nowe ulice, ustawienia, ciągi, wysokości kasują

możliwość niespodzianki. Dawniej się szło, luz na niebie, zakręt. I wyłania się coś niespodziewanego. Wystarczyło drzewo, krzaki, co zakrywa, aa. (...) Każda brzydota była sobą. Kusiła na własny rachunek. Szeregowy porządek jest odwrotnością wdzięku” (datowana na 1976 r. proza o nocnej łącedze po mieście, drukowana pośmiertnie pod tytułem *Pojechałem przed pierwszą w nocy na Dworzec Wschodni...* w zbiorze *Proza stojąca, proza lecąca* [2015]).

Prawdopodobnie na krótko zanim na nowe osiedla przekierowano tramwaj, na „główną ulicę” Nowego Bródna wychodzi w kryminale Barbary Nawrockiej *Zatrzymaj zegar o jedenastej* [1973] mężczyzna, który dziwi się leżącemu na niej asfoltowi, wspominając, że kiedyś całe było zabrukowane kocimi łbami:

„Skręcił w boczną ulicę. Szedł na pewniaka, chociaż szczegóły – to co można przyrównać do makijażu miasta, dzielnicy – i tutaj uległy zmianie, Skręcał tak kilka razy, aż znalazł się w wiekowym ślepych zaułku, Przykucnięte drewniaki nadal stały. Rozdzielone jedną kamienicą i mniejszym murowanym domkiem jeszcze trwały. (...) Najbiedniejszy drewniak w okolicy nie uprzedzał nikogo o niespodziance swego wnętrza”.

W tym pełnym zegarów dwuizbowym domku zamordowany zostaje zegarmistrz Kropiwnicki, zaś zabójca dokonujący zemsty, mającej swe korzenie w czasie II wojny, zatrzymuje wszystkie wskazówki, z trudem się wspinając po zaimprovizowanej konstrukcji.

W okolicach dawnej pętli przy Wysockiego znajduje się skansen tramwajowy – fragment torów w bruku, słupy i przystanek. Opowiadając historię warszawskich tramwajów, emerytowany motorniczy Jan Żurek pokazuje to miejsce komisarzowi Adamowi Nowakowi, prowadzącemu śledztwo w sprawie seryjnego mordercy zabijającego przy pętlach w kryminale Tomasza Konatkowskiego *Przystanek Śmierć* [2007]. „Nowak przyglądał się starym słupom trakcyjnym z odgromnikami w dziwnym kształcie. Na odtworzonym przystanku była tabliczka z informacją o utworzeniu skansenu. (...) Zatrzymali się jeszcze pod drzewem, by obejrzeć nieduży krzyż na postumencie. Jak głosił napis, pomnik postawiono w 1925 roku dla upamiętnienia «Cudu nad Wisłą»”. Nastrój potęguje stan domu sąsiadującego z przystankiem: „W ceglany budynku brakowało balkonów, choć zostały po nich ślady. Okna piwnic były zabite deskami, a wzdłuż rynny pięło się jakieś zielsko. Dumne szyldy wskazywały na zakład fryzjerski i sklep zoologiczny. Gdyby nie bloki i ruch samochodowy tuż obok, można by pomyśleć, że cofnęli się o czterdzieści, pięćdziesiąt lat”.

W poświęconym dzielnicy Targówek (sic!) opowiadaniu z tomu Małgorzaty Karoliny Piekarskiej „*Czucie i Wiara*” czyli warszawskie duchy [2015] – Targówek czyli... tajemnica przystanku tramwajowego detektywi ezoteryczni ojciec i syn Krosnowscy wysłuchują opowiadaną przez znajomego policjanta historię dziwnych zjawisk, do których dochodziło właśnie w tym samym miejscu. Każdego dwudziestego pierwszego dnia miesiąca o dwudziestej pierwszej na ślepych odcinku zabytkowych torów na Wysockiego z mgły wyjeżdżał stary tramwaj, z którego wysiadała kobieta w przedwojennym stroju. Ani widok, ani dźwięki z tym związane nie utrwały się jednak na żadnym rejestratorze. Kiedy w końcu policjant rzucił się pod wóz, ten przeniknął przez niego. Jednak zaczepiona kobieta odwróciła się i weszła w pobliskie krzaki. Śledztwo wykazuje, że to duch zamordowanej opodal młodej kobiety, pośpiesznie zakopanej przez zabójcę i dopominającej się uczciwego pochówku – pod krzakami policja odkopuje zwłoki sprzed 85 lat.

Tomasz Konatkowski powrócił na Wysockiego w piątej powieści swego cyklu *Pięć czaszek* [2017]. Nadkomisarz Nowak, prowadzący śledztwo w sprawie spalonych zwłok znalezionych na Forcie Bema, znajduje powiązania sprawy z grupą tzw. czyścicieli kamienic, przejmujących bezprawnie nieruchomości w ramach reprivatyzacji. Kontaktuje się z nim mieszkająca w zaniedbanej kamienicy pod numerem 32B działaczka ruchu obrony lokatorów, Barcikowska. Po pewnym czasie dzwoni ona do niego znów; w nocy – jest zastraszana petardami odpalanymi na klatce schodowej. Nowak przybywa niemal natychmiast i ściga autem rowerzystę uciekającego spod kamienicy Wysockiego, Bartniczą i Wyszogrodzką. Gdy wbiega w park Bródnowski, Nowak musi wysiąść z samochodu i gonić go pieszo. „Na pustej połaci pośrodku parku nie dostrzegł nikogo. Dotarł do niewielkiego pagórka, na którego szczycie stało sześć ceglanych liter tworzących napis BRÓDNO (...) Pośrodku owalnego jeziora, z którego spuszczone wodę na zimę, leżała na betonowej wysepce postać dziewczyny w zmysłowej pozie (...) Nowak przez chwilę miał wrażenie, że to kolejna spalona osoba, porzucona tym razem po tej stronie Wisły i zamieniona w makabryczne dzieło sztuki (...) Nieco dalej w żółtawym świetle parkowych latarni błyszczała złocista postać smukłego anioła z rozłożonymi skrzydłami. Kolejne dzieło sztuki. Anioł, anioł stróż, strażnik, który pilnował tego kawałka Warszawy” – Konatkowski opisuje artefakty tworzące w parku Bródnowskim Park Rzeźby, utworzony w 2009 r. z inicjatywy Pawła Althamera i Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

W październiku 2002 roku rozgrywa się akcja debiutanckiej powieści Zygmunta Miłoszewskiego *Domofon* [2005] – horroru autora, który zaślęnął później kryminałami o prokuratorze Szackim. W przeklętym bloku na Bródnie uwięzieni zostają jego zróżnicowani społecznie lokatorzy: przybyłe z Olecka małżeństwo „słoiaków”, dziennikarz alkoholik, licealista hipster z toksycznymi rodzicami, rozwyrziona singielka czy dewotka z matką. W miarę rozwoju akcji przypominane są wcześniejsze nieszczęścia – samobójstwa i wypadki w windzie, gdzie znaleziono ciało mężczyzny z obciętą głową. Wyjaśnienie klątwy związane jest z niedalekim cmentarzem i jego historią. Stosunkowo niewiele jednak znaleźć można odniesień do współczesnych realiów Bródna, jest raczej tak, jak na każdym blokowisku np. nieuprzejma sprzedawczyni w osiedlowym sklepie nie chce wydawać reszty z 50 zł.

Tytułowy domofon opisany został jako zadbane, zaś klatka „obłożona lastrykiem, wymalowana wszystkim, co tylko gnoje poznajdowały w kieszeniach”. Miłoszewski umieścił ten jednoklatkowy blok pod adresem Kondratowicza 41 – w rzeczywistości znajduje się pod nim blok wieloklatkowy. Punktem orientacyjnym jest Szpital Bródnowski naprzeciwko (skądinąd pojawiający się przelotnie w różnych powieściach, np. w *Świątyni* Jakuba Żulczyka z 2011 r.).

Dość przygnębiający obraz osiedlowego życia na Bródnie zawarła Sylwia Siedlecka w *Historii blokowej* z antologii *Mówi Warszawa* [2011]. Jej bohaterami są dwaj synowie emerytowanych kolejarzy Mariusz i Korki – młodzi bezrobotni, podejmujący się dorywczych prac, a spędzający czas na włóczeniu się po okolicy i popijaniu piwa. Wybierają się po nie do Biedronki: „Minęli zatkaną fontannę (...) Szli między blokami przy Wysockiego, mijali te z balkonami z falowanej blachy, zza których prawie nie było widać okien (...) Ze sklepu wychodzili starszankowie z torbami na kółkach, Mariusz rozpoznawał niektóre twarze. Niektórzy chodzili tu codziennie, przed południem, spędzali w sklepie po dwie godziny (...) nie kupując nic oprócz trzech kajerek i urządzenia do masażu stóp z kosa z promocjami”. Z nudów dołącza do nich także bezrobotna ciężarna sąsiadka Wiktoria, przesiadują razem w chaszczach na nasypie kolejowym i rzucają kamykami w przejeżdżające pociągi. Żeby przeżyć cokolwiek, próbują włamać się do odstawionej zardzewiałej lokomotywy, ale odpędzają ich strażnicy z psem.

Siedlecka konfrontuje zapamiętaną przez chłopaków akcję z sylwestra sprzed kilku lat, kiedy to „jakiś miejscowy artysta wymyślił wtedy,

żeby w bloku Mariusza, równo o północy, ułożyć z rozświetlonych okien znak «2000» [chodzi o Pawła Althamera i blok Krasnobrodzka 13 – przyp. P.D.W.] z zasłonięciem okien bloku wielkoformatową reklamą z Krzysztofem Ibiszem – dla lokatorów ekwiwalentem za kilka tygodni ciemności w mieszkaniu ma być po 300 zł na rodzinę. Przesłanie jest jednak optymistyczne – Mariusz budząc się następnego dnia po incydencie z lokomotywą otrzymuje SMS z załączoną fotografią: „Na zdjęciu był jego blok z reklamą szamponu, umocowaną na całej ścianie. W miejscu, gdzie powinno znajdować się oko aktora, wycięto otwór. To było okno Mariusza”.

Paweł Dunin-Wąsowicz

Dominika Matuła

Upiory przeszłości

Kiedy sięgałam po *Autoportret z samowarem*, pierwszy tom wojennej warszawskiej serii Krzysztofa Beśki, nie sądziłam, że przygoda z wykreowanym przez niego bohaterem – maturzystą o imieniu Antoni, będzie trwała tak długo i pochłonie mnie bez reszty. Dynamizm zdarzeń, tarapaty, w które notorycznie wpada Antek, by potem niczym kot o siedmiu życiach spadać na cztery łapy, realistycznie oddane czasy II wojny światowej – oto wyznaczniki tego cyklu, literackiego wehikułu czasu.

W najnowszej części serii, czyli *Przepustce do piekła* wydanej tradycyjnie nakładem Wydawnictwa Melanż, za sprawą dwójki harcerzy, którzy dokładnie 1 sierpnia pomagają pewnemu nieznanemu starszemu panu, przenosimy się do wykrwawiającej się podczas powstania 1944 roku Warszawy. Wraz z Antkiem i powstańcami przemierzamy zrujnowane ulice miasta, przemykamy ruinami i piwnicami głównych arterii stolicy, spoglądając trwożnie w niebo z perspektywy piwnicznych okienek i wypatrując nadlatujących bombowców.

Pierwszoosobowa narracja, której konsekwentnie trzyma się Beśka od pierwszej części przygód Antka, sprawia, że na wszystkie opisane w książce wypadki spoglądamy oczami głównego bohatera, co daje niesamowite poczucie uczestnictwa w dramatycznych wydarzeniach i gwarantuje pełne zaangażowanie w lekturę. Przedstawiona drobiazgowo w książce powstańcza Warszawa powinna zapłakać nad losem młodziutkich powstańców, idących na śmierć bez mrugnienia okiem, przekląć szabrowników i pospolitych złodziei, dorabiających się na nieszczęściu rodaków, wynieść na piedestał tych, którzy nieśli bezinteresowną pomoc cywilom, wyniszczonym złudnym oczekiwaniem na reakcję Zachodu czy Sowietów na krwawą pacyfikację wyzwolenczego zrywu.

W ten tydzień dynamicznych wypadków, które dla wielu są bolesnym świadectwem tego, że Bóg opuścił mieszkańców stolicy, wpada Antek, niesiony misją odnalezienia w zniszczonym mieście swojego ojca. Co i rusz będą mu to utrudniały upiory przeszłości – ludzie, którym Antek nadeptał na odcisk, łakący zemsty i wysłania naszego bohatera na tamten świat. Czy kolejny raz Antkowi dopisze szczęście i uda mu się wykaraskać

z zagrażających życiu sytuacji? Jak wielkie piętno odcisną na tym beztrojskim niegdyś chłopaku, teraz młodym mężczyźnie, seria okropieństw, których był świadkiem, i akty bezpardonowego niszczenia jego ukochanego miasta? Czy jest możliwe zmartwychwstanie, kiedy umarło się wewnętrznie? Na te pytania pozwala odpowiedzieć *Przepustka do piekła* – książka napisana barwnym językiem, z wartką fabułą, a przede wszystkim z frapująco zarysowanym tłem historycznym.

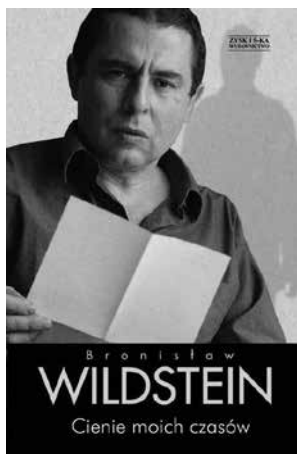
Czuję się patronką medialną całej serii z Antkiem bez nazwiska w roli głównej, bo uważam ją za wartą poświęconego jej czasu, pasjonującą lekcję historii z nietuzinkowym reprezentantem pokolenia spełnionej apokalipsy. Zwróćcie również uwagę na przepiękne obwoluty wszystkich tomów – to takie małe graficzne dzieła sztuki, które przepięknie prezentują się w biblioteczce czy na zdjęciach. Reasumując, fanom powieści przygodowych i historycznych, jak również podobnym do mnie okładkowym srokom, stworzony przez Krzysztofa Beśkę cykl powinien przypaść do gustu, także nie wahajcie się i dajcie się mu porwać.

Przepustka do piekła
Krzysztof Beśka
Wydawnictwo Melanż
Warszawa 2018
Stron 440



Jerzy Binkowski

Widok z lotu Orła Białego



Zanim Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył 3 maja 2016 r. Bronisławowi Wildsteinowi order Orła Białego, przysły Kawaler tej szczególnej nobilitacji doświadczył życia jakże bogatego: około 30 razy aresztowany za jednoznaczne opowiedzenie się po stronie wartości moralnych: troska o słabszych – SOLIDARNOŚĆ, uczciwość, rzetelność, lojalność wobec osobistego poczucia tożsamości narodowej.

W czasach studenckich stracił przyjaciela – Stanisława Pyjasa – zamordowanego w 1977 w Krakowie, przez morderców ze Służby Bezpieczeństwa PRL. Założył z kolegami „Studencki Komitet Solidarności”. Nigdy nie przestał walczyć o Polskę, której obraz zakorzenił w pamięci słowem SOLIDARNOŚĆ. Jest autorem tysięcy felietonów i setki esejów. Uczestniczył w dziesiątkach konferencji (także międzynarodowych). Prowadził w radiu i telewizji gorące polemiki polityczne i dyskusje filozoficzne. Napisał kilkanaście książek.

Cienie moich czasów – pod takim tytułem ukazała się pod koniec 2015 r. w wydawnictwie Zysk i S-ka w Poznaniu książka Bronisława Wildsteina.

Autor doprowadza swój literacki i w głównej mierze autobiograficzny collage do czasu politycznego przełomu oznakowanego wyborem Andrzeja Dudy na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Wzruszającym mnie, czytelnika, faktem jest dyskrecja i delikatność, z jaką odnotowuje autor obecność w swoim życiu małżonki – Iwony Galińskiej-Wildstein i synów, Dawida oraz Szymona. Szacunek wobec żony i wdzięczność za dar rodzicielstwa potwierdził autor kilkoma wspomnieniami, zachwycając się intuicją kobiecą, jakże pomocną w życiu także politycznym.

Zachwycałem się próbami opisywania miłości i przywiązania do ojca, który zmarł, gdy Broniek miał 16 lat. Był on lekarzem wojskowym po studiach

medycznych w Wiedniu. Niemcy w czasie wojny wymordowali całą jego żydowską rodzinę. Zmarł, ukończywszy 61 rok życia. Syn do ojca miał bezgraniczne zaufanie i podziw. Po wielu latach Broniek dowiedział się, że jest fizycznie lustrzanym podobieństwem ojca.

Z dziwną satysfakcją czytałem o meandrach moralnych ludzi „Tygodnika Powszechnego” Ciągłe nie potrafię pogodzić się z natrętną agresją publicystyki szanowanej kiedyś przeze mnie redakcji. Ciągłe nie przestaję wierzyć, że kiedyś zobaczą siłę nienawiści ziejącej z łamów swego katolickiego pisma. Siłę zarozumiałości i pogardy, która nie pozwala usłyszeć argumentów drugiej strony; stają się symbolem irracjonalnego „kacyzmu”, stosując argumenty *ad hominem*. Bronisław Wildstein rozpoznaje cienie tego środowiska dziennikarskiego i politycznego.

Jakże mi bliskie są opisy teatralnych wtajemniczeń i fascynacji teatrem „Laboratorium” Jerzego Grotowskiego. To był symbol wolności dla pokolenia, które uruchomiło w czasie swej młodości (początki lat siedemdziesiątych poprzedniego wieku) – kilkaset teatrów studenckich w Polsce (moim udziałem była grupa „Ubody” Teatru Akademickiego KUL).

Wspomnienia emigracyjnych doświadczeń z Paryża i całej Europy, a także ze Stanów Zjednoczonych (gdzie zbierał materiały-wywiady do książki *Profile wieku*), to fragmenty prezentujące powstawanie systemu uogólnień na temat współczesnego człowieka i sposobów funkcjonowania w społeczności, którą tworzy człowiek.

Jednak najbardziej poruszające, a niekiedy wstrząsające swoją logiką i bezwzględnością, tak – bezwzględnością, są przestrzenie i relacje polskiego pejzażu politycznego. Z bezwzględną jaskrawością kreśli sylwetki Adama Michnika, Jerzego Urbana, Jacka Kuronia, Waldemara Kuczyńskiego, Lecha Wałęsy, Donalda Tuska, Janusza Palikota, Batłomieja Sienkiewicza, Krzysztofa Michalskiego, Ryszarda Kapuścińskiego, Tomasza Wołka, Lesława Maleszki itd.

Wildstein nie tworzy argumentów *ad hominem*. Rozprawia się z tymi poglądami, w których brakuje miejsca na moralność. Brak poczucia tożsamości narodowej i pogarda dla kultury polskiej i religijności – stanowi praprzyczynę tych wielkich i dramatycznych cieni, których obecność sygnalizuje w tytule autor. Twierdzi, że wojna przeciw reformatorom z Prawa i Sprawiedliwości ma charakter absolutnie pustoszący polską scenę polityczną. Dzieje się to przy stężeniu nienawiści, z jaką nie mieliśmy wcześniej do czynienia. Odkrycie, że można stracić swoją pozycję i strach tym wywołany, eksplodowały nieustającą kampanią skrajnej wrogości i pogardy.

Autor przypomina, że prezentowane dotychczas dowody w sprawie katastrofy smoleńskiej uniemożliwiają inną niż zamach interpretację i są absolutną kompromitacją władzy PO oraz jej liderów i powinno to wszystko skończyć się co najmniej wyeliminowaniem ich ze sceny politycznej. Niektórych powinno się postawić przed sądem czy Trybunałem Stanu. *Nic dziwnego, że tak rozpaczliwie usiłują oni sprawę zakopać i unieważnić.*

Cienie moich czasów to książka, w której autor krzyczy do nas na granicy rozpacz:

Za dzisiejszą polityczną grą ukrywa się walka o los narodu!

Cienie nie istnieją bez światła. Bronisław Wildstein wskazuje nam źródło: niezmiennie zasady moralne. Wskazuje też ludzi, których wspomnianie stanowi oparcie i nadzieję (Herling-Grudziński). Wyraźnie akceptuje pracę osób z kręgu „Teologii Politycznej” (Cichocki, Gawin, Karłowicz, Merta).

Polecam lekturę książki. Jej 450 stron przeczytałem w mig, z rozgorączkowaną twarzą i bijącym sercem.

Jerzy Binkowski

Jerzy Binkowski

Joanna Kulmowa śpiewała czysto i mocno

Joanna Kulmowa uwielbiała śpiewać. Czyniła to czysto i mocno. Kochała muzykę. Wszystko w Niej było muzyką, a „ptaki” roznosiły muzykę po świecie na skrzydłach i w swoich dzióbkach. Jedną z „bajek skrzydlatych” zatytułowała *Jaskółka niepokoju*. Zatraskana jaskółka całą siebie poświęciła dla muzyki – nie wiedząc o tym, że to jest poświęcenie. W starych organach kościelnych pozaklejała wszystkie dziury, aby już „uzdrowione” organy mogły zabrzmieć wszystkimi swoimi możliwościami. Organy w kościele umieszczone są pomiędzy Niebem i Ziemią.

W niebieskich oczach Joanny Kulmowej mieściła się niecierpliwa mądrość i błyskotliwe skupienie. Szczególną lekturą jest *Ciulanie siebie*. Czyta się tę autobiograficzną książkę niczym powieść przygodową. Pełno w niej żywych postaci, skondensowanej myśli – refleksji nie lękającej się paradoksu, krótkich a wyrazistych ocen oraz oryginalnych wniosków. Jeśli kogoś lubimy, to dlatego, że przypomina nam o tych cechach, z którymi czujemy się dobrze. Im bardziej siebie zaakceptujemy, tym lepiej będzie się nam układało z ludźmi. Wszystkie nasze relacje międzysobowe są bezpośrednim odbiciem stosunku do siebie. To odbicie nie mówi nam niczego o innych. Mówi nam o nas samych. Dlatego uważnie przygląda się swoim odbiciom w ludziach. Dysponując precyzyjnym i ciętym językiem, Joanna niekiedy z czułością, a kiedy indziej z odważną sprawiedliwością dokonuje spojrzenia w przeszłość – czułość i sprawiedliwa surowość ocen dotyczy, oczywiście samej siebie:

Zmieniamy się we własnych oczach, i w oczach koni, które na nas patrzą: w oczach koni, kamieni, ziół i ludzi (...) świat rozrzuconego krajobrazu, rozerwanej harmonii i podeptanych słów. Nie mój świat. Ratuje go jak umiem. Po to został mi dany dar słowa (...) Ile rzeczy składało mnie ze swoich spojrzeń, ile domów mnie utraciło: ile przedmiotów musiało mnie pożegnać, ile słonecznych okien mnie kochało, ile ciemnych podwórek mnie nienawidziło.

Najbardziej porusza mnie i inspiruje odnajdowanie śladów budowania wiary w Boga, której cechą charakterystyczną stała się radość i żarliwość. Leśniczówka w Strumianach tętniła pracą literacką i troskliwym

wspieraniem „siostrzenic” i „siostrzeńców” oraz dookolnych sąsiadów. W pobliskim Myśliborzu nawiązała głębokie relacje – na śmierć i życie – z zakonnicami Zgromadzenia Jezusa Miłosiernego. Charyzmatem „Faustynek” – zgromadzenia zainicjowanego przez spowiednika siostry Faustyny w Wilnie, księdza Michała Sopocki, jest radość w posłudze potrzebującym. „Faustyński”, przepasane czerwonym *cingulum* na habicie opiekowały się Joanną Kulmową w najtrudniejszych chwilach Jej życia. I w chwili śmierci.

Twórczość Joanny Kulmowej fascynacje precyzją formy, bogactwem wyobraźni i dziwną, przejmującą atrakcyjnością języka polskiego. W książce *Topografia myślenia* stwarza własną formę opisywania czasów tragicznych. Odwołuje się do świadomości małej dziewczynki, która widzi, ale nie rozumie, która przeżywa bardzo różne uczucia, ale nie ma świadomości, że sama jest postacią z największego dramatu XX wieku.

Owo karkołomne przedsięwzięcie umożliwiło tej „dziecięcej” prozie, ominąć pokusę epatowania rozczulaniem się nad dramatem czy niedolą bohaterki. Nie ma tam jakichkolwiek słodkich sentymentalizmów. Lektura *Topografii myślenia* pozwala połączyć znaczące wydarzenia i osoby dramatu życia autorki w całość oglądaną i dźwiganą od najwcześniejszego dzieciństwa: kilkuletnia dziewczynka przeczuwa w żywiole historii swej rodziny „rdzeń niezniszczalności”.

Protoplaści Joanny Kulmowej przywędrowali do Polski z Hiszpanii, wraz z dworem królowej Bony Callahora – jakże często wspominała babcia Lonia to tajemniczo i szlachetnie brzmiące imię. Babcia Eleonora i dziadek Aleksander Landsberg. Z drugiej zaś strony babcia Róża i dziadek Władysław Polakiewiczowie. A później Wanda (primo voto) Landsberg i Alfred Polakiewicz – to rodzice Joasi, Dziecięcy podział na lewą stronę – szczęśliwą i przychylną oraz prawą stronę – mroczną, nieżyczliwą i brutalną, zdezaktualizował się dużo, długo później. Dopiero wtedy, kiedy Joasia stała się Joanną Dojrzałą, gotową pójść w głąb. Dramatyczna głębia koniunkcji: i lewa, i prawa, i do środka, i „gdzieś” – objawiła się w poezji, w teatrze i w... modlitwie. To poezja, teatr i muzyka stały się przestrzenią dla wędrówek „kota” – istoty o nieprawdopodobnej intuicji i do nikogo podobnej. Kota czyni kotem jego osobność, indywidualność, samotność. Kot nosi cicho w sobie tajemnicę. (Joanna, jako kilkunastoletnia dziewczynka podpisała się pod swym literacko-rysunkowym debiutem jako Cichocka).

W *Topografii myślenia* wstrząsająca jest cisza po tych, których zamordowano. Mała Joasia patrzy. Nie płacze. *Topografia myślenia* jest epitafium, hołdem złożonym „polskim dziewczynom fatalnego naznaczenia”, kiedy to „świat wykipiał z dzieży”. „Taka spokojna ballada” pisana przez osobkę „starszą od dorosłych” – „nie miała pięć lat, miała ich chyba ze sto”. „Fabrykancka Dziewczynka”, która rozpoznała, że „nie ma gorszej rzeczy niż niemiłość”, „w tej „przestrzeni nieubłagalnie wielostronnej”, że „w nocy znikają kolory”, a „u wylotu labiryntu zbawi ją światło”. „Jej żywiołem jest powietrze”. („Uj, jaka dobra powietrza! ”). Lęk zaczajony: „Dlaczego płakałam tak często”? „Nie jest parszywą żydówką – tylko Joasią i Polką”... „Dziewczynka naznaczona żółtą gwiazdą”. „Krzyczeńie nie wolno, więc bezgłośnie zalewam się łzami” pod ciężarem przeczuć... „I śmierci nie ma, nie, nie ma śmierci”... „Czerwone plamy na piasku”. „Rozerwane krawędzie”. „Zawsze nie istnieje”. „Realne jest niewidzialne”. „Dawne nie powraca nigdy”. „Las jest we mnie”. „Szept liści brzoźowych na dnie wąwozu i ścieżka obiecująca nieskończoność”, ... ścieżka marzeń w nieskończoność!

I przypominam sobie fragment poematu *Suplement mój*, który dedykowała Jankowi – do Jego filozoficznego suplementu:

I straciłabym wiarę w cudowność co się przedrze przez niecudowność naszą zszarganą i steraną – tyle mi smrodu błota kłamstwa pokazano ludzi ludziom tyle krwi i nieszczęść – gdyby nie odrastanie liści i wschody i zmierzchy gdyby nie śmiech znienacka gdyby nie dzwon na wieży gdyby nie słońce na skałach gdyby nie ciepły wiatr gdyby nie obietnica wschodzących na grobie traw.

Joanno, powiedziałaś o swym „niewypowiadalnym” bólu, żalu, krzywdzie, tłumionej agresji do ludzi, którzy mordują czułość. Do mnie to mówiłaś i do tych, którzy z lękiem myślą: „Więc brak szacunku do życia, brak szacunku do drugiego człowieka, który jest INNY, przybiera kształt mordu!”.

Dzięki *Topografii myślenia* odnalazłem wyrazistą ścieżkę czułości i tej wyobraźni, która łączy ludzi w jeden wspaniały nurt radości życia, pomimo obecności zranionego dziecka, przenikliwego, przenikającego do rdzenia niezniszczalności. Wspomnienia.

Joannę Kulmową porównam do wiolonczeli. Dźwięki wiolonczeli brzmiały tajemniczo. Drżenie twardych strun stwarza zarówno głębię, jak i moc. Drży w nieustannym bólu i lęku. Jaskółczy niepokój.

Wiolonczela jest bardzo pięknym i ważnym instrumentem solowym.

Suplement mój

Jankowi – do Jego filozoficznego suplementu

Życie jak płaszcz znoszony na mnie
 kiedy się ze starości przetrze
 to mniej się staje materialne
 i widać że jest od podszewki
 duchem podszyte jak powietrzem
 więc patrzę –
 choć nie wierzę jeszcze –
 i przez ten płaszczyk przenoszony
 chwytam przebłyski TAMTEJ STRONY
 co może jest (skoro są dziury
 zapożyczone od nicości
 lecz tchnieniem scerowane z bytem)
 Czy nigdy nie uwierzy w mity
 Kto wychowany od małości
 w tropieniu – właśnie – niespójności?
 Ten widząc PRÓŻNIĘ mówi LUSTRO
 nie wchodząc w nieskończoność pustą
 a przecież ona go nie minie
 jak mnie te dziury w pelerynie

i wtedy w korytarzach światła
 pobiegnę może na spotkanie
 pofrunę może czy popłynę
 na NIE ZMIENIONE i NIE INNE
 niż to co było TU Kochaniem:
 na zapach brzoź i szpacze pieśni
 na blaski piaski drózek leśnych
 na dom z tarasem w różach pnących
 na powóz siwki spacer z ojcem
 na pełnych jasnych cisz pokoje
 na konfitury w brzęku osim
 na bezpieczeństwo snów –
 na moje
 bezkresne niebo łagodności
 na którym świeci obietnica
 że dalej się nie kończy dalej
 ale dalej w dalsze dale
 w dziesiątych światłach i mgławicach
 że za tym lasem las i jeszcze
 las istna listność leśnym dreszczem
 w przecuciu czegoś co jest rdzeniem

NIEZNISZCZALOŚCI

jak wspomnienie.

(...)

Nie TU i TERAZ! TAM i PÓŹNIEJ!

Niech współczesności serce bluźni

wierząc że nie to świeci nam

co TU i TERAZ. Idźmy w TAM

w tam – gdzieś – dalekie – przyszłe mgliste.

Lećmy nad płaską rzeczywistość

do nieuchwytej przeszłości

a wtedy wiara da nam stery

(...)

Wiara. Zmieniona w szorstką deskę

Której się chwytasz płynąc crawlmem

przez grząskie DZIŚ

przez TUTAJ ziemskie.

Wiara w drobniutkie prawdy małe

że dwa i dwa że tlen i wodór

że dla przyczyny i z powodu

że to jest okno tamto patyk.

Wiara? Małeńki grosz wytarty.

A ma być wielki sen z którego

nie zbudzi nas codzienny jazgot

tramwajów gazet pensji cen

i dużych zdarzeń i drobniaków.

A ma być sen co życie zmienia

W marzenia (Boże zbaw marzenia)

Joanna Kulmowa

Dziw nad dziwy – podziw nad podziwy. Cud istnienia ponad czas.

Joannę Kulmową porównam do wiolonczeli. Dźwięki wiolonczeli brzmią tajemniczo. Drzenie twardych strun stwarza zarówno głębię, jak i moc. Wiolonczeli nie da się przytulić, jak można przytulić się do skrzygiec. Okiełznać trzeba wiolonczelę, gdyż drży w nieustannym bólu i lęku.

Wiolonczela jest bardzo pięknym i ważnym instrumentem solowym. Brzmi fascynująco w repertuarze muzyki kameralnej.

Jerzy Binkowski

Barbara Rosiek

Wywiad Barbary Rosiek z Bašką eR.

Barbara Rosiek – Kochają cię i nienawidzą za prozę, a ty twierdzisz, że przede wszystkim jesteś poetką. Czym jest dla ciebie proza?

Baška eR. – Jest odskocznią i swoistym zapisem rzeczywistości, która mnie otacza, a stale dzięki moim pacjentom stykam się z wszelką patologią i ją zapisuję, bo sama bym nie wymyśliła tych wszystkich historii. A poezja to moje intymne noce ze słowem, prawdziwa prawda o mnie.

BR – Prawie wszyscy myślą, że opisujesz swoje życie, swoje historie. Czasami się do tego przyznajesz, czasami to dementujesz nawet z nutką agresji. Jak to właściwie jest, gdzie leży prawda?

BeR. – Prawda jest w moich wierszach, tam działa podświadomość, często dialogi z moimi demonami, czy wizjami, które opisują stan mej duszy. Proza jest przemyślana, zaplanowana, okiełznana, mimo że często jest w niej pełno skrajnych emocji. I dlatego czasami się wkurzam, że w bibliotekach moje książki są w dziale biografii. Nawet profesorowie nauczają, że to moje życie. Ale już tego nie tłumaczę, nie odkręcam. To daje tylko odwrotny efekt. To już moja legenda, więc jak na spotkaniach autorskich pytają, a raczej stwierdzają fakt, potwierdzam, chociaż często nie wiem, co potwierdzam. Gdy czytam, że pisząc *Kokainę* musiałam być na permanentnym haju, bo żaden umysł tego by nie opisał na trzeźwo, też się zgadzam. Wtedy czytam *Kokainę* i tak sobie myślę, że pisząc, nigdy nie byłam tak trzeźwa, tak skupiona.

BR. – Czy kiedykolwiek dowiemy się, kim naprawdę jest Baška eR.?

BeR. – Chyba nie, mam wizję mojej legendy, i stwierdzam, że zabiorę tajemnicę do grobu. Ale także grożę, że napiszę autobiografię.

BR – Co wtedy by się wydarzyło?

BeR. – Myślę, że po jej napisaniu czytelnik miałby jeszcze większy mętlik w głowie, a i tak by wierzył w to, w co chce wierzyć.

BR – Co jest najbardziej autentycznego w Bašce eR.?

BeR. – To wiedzą jej przyjaciele i chyba pacjenci, chociaż relacje terapeutyczne są prowadzone wg pewnej gry. Myślę, że są nie do końca autentyczne. Tu trzeba być fachowcem, przy bliskich można pokazywać swoje słabości i uczucia. Terapia wymaga innych zasad.

BR – Co jest jeszcze grą w twoim życiu?

BeR. – Tak, jak wszystko w życiu innych ludzi, jestem zwykłym człowiekiem, muszę umieć się o**BR**onić i nie dać się zabić.

BR – Czy ktoś ci grozi, jacyś dziwni fani?

BeR. – Dostaję listy i telefony od normalnych, szalonych i tych naprawdę chorych, niektórzy grożą, że chcą mnie na wyłączność. Cóż, piszę o ludzkich słabościach, wręcz o chorobach psychicznych, co u niektórych wyzwała objawy chorobowe. Ale na to już nie mam wpływu, nie wyrzeknę się swego pisania.

BR – Nad czym teraz pracujesz?

BeR. – Miałam wypadek, złamałam kręgosłup, była operacja, dzięki której chodzę, rehabilitacja, walka o codzienność. Chcę to opisać.

BR – Nie boisz się, że znowu powiedzą: autobiografia?

BeR. – To będzie wspomnienie, ale z nutą kreacji i opisów innych ludzi.

BR – Dlatego twoje książki są takie prawdziwe?

BeR. – Są, bo opisuję ludzkie dramaty, walkę o siebie, walkę z różnymi nieszczęściami. Jednak moi bohaterowie dają radę, oprócz Anki Pióro, która musiała odejść, by inni się nauczyli, że z narkotykami nie wchodzi się w układy, to przeważnie śmierć.

BR – Dlaczego powróciłaś do tematyki narkomanii?

BeR. – Czasy się zmieniły, są nowe okoliczności ekonomiczne, społeczne, socjologiczne, tylko emocje towarzyszące uzależnieniom się nie zmieniają, tak samo boli odrzucenie, bezmiłość, brak akceptacji, lęk.

BR – Jesteś kojarzona z tematem narkotyków jak kiedyś Stanisław Mikulski z Hansem Klosem, nie drażni cię to?

BeR. – Już nie, czuję, że pomagam innym w tym zwariowanym świecie, gdzie coraz częściej sięga się po znieczulacze, dlatego cieszę się, że mogę pomóc. A ja sama po prostu jestem poetką.

Kazimierz Świągocki

Gnothi seauton

Rozmowa poety z samym sobą¹

A teraz przejdźmy do drugiego motto z *Listu do Rzymian*, którym poprzedzony został wiersz *Zbuntowane żurawie* z tego samego cyklu co i *Zwierzęta zodiakalne*.

I ten, podobnie jak poprzedni, ma charakter balladowy. I podobnie jak tamten jest balladą specyficzną, mianowicie metafizyczną. Motto zaś brzmi: „Bo któż poznał myśl Pana” (Rz 11, 34). Ale poprzedza je jeszcze inne – babilońskie, które brzmi podobnie: „Któż pojmie wolę bogów na nieba wyżynie”.

Właśnie podobieństwo obu tych teologicznych sądów, co prawda z podobnej przestrzeni cywilizacyjnej, ale oddalonych w czasie historycznym, a więc wzięte z różnych kultur i różnych religii pokazuje jedność metafizyczno-religijnego doświadczenia człowieka wobec rzeczywistości transcendentnej. Skutkiem tego doświadczenia jest myśl, że los człowieka zależy od łaski i niełaski sił, czy też siły nadprzyrodzonej, z którą człowiek nie może wchodzić w partnerski dialog, dochodzić prawa dla swojej własnej woli, gdyż nie jest władcą swojego losu. Jego los jest w ręku Boga lub bogów.

W wierszu istotami wchodzącymi w relacje ze Stwórcą nie są ludzie, lecz znowu zwierzęta, ale już nie zodiakalne, lecz ziemskie, ściślej mówiąc, są to ptaki – żurawie. To, że akurat żurawie wynika z przypadku. Zainspirowały mnie do tego dwa przeżycia. Jednego doznałem w muzeum sztuki, a drugiego w otwartej przestrzeni jesienną porą. Pierwsze było przeżyciem estetycznym o nie najwyższym zresztą nasileniu. Oglądałem obrazy Chełmońskiego i uwagę moją zwrócił obraz *Odlot żurawi*, zapamiętałem go wyraźnie. Drugie przeżycie miało miejsce dużo wcześniej, jeszcze w późnym dzieciństwie. Ogromne stado dużych ptaków (dziś zdaje mi się, że były to raczej kormorany niż żurawie) pojawiło się tuż przed wieczorem

1 Trzecia część tekstu stanowiącego rozdział gotowej do druku książki pt. *Egzystencja, metafizyka i kultura w pisarstwie Kazimierza Świągockiego*. W poprzednich dwóch odcinkach podany tytuł monografii *Słowo i egzystencja. O twórczości Kazimierza Świągockiego – studia, szkice, interpretacje i autointerpretacje* miał charakter roboczy. Interpretowane tu wiersze znajdują się w dziale „Poezja” niniejszego numeru Podglądu.

nad łąką i lasem blisko pastwiska, na którym pasły się moje krowy, których pilnowałem. Kiedy słońce rzucało już ostatnie promienie, ptaki rozsiadły się na gałęziach leśnych drzew stojących na samym brzegu lasu nad rzeczką, która go okalała. Widniały wyraźnie w świetle zachodniej zorzy. Patrzyłem na nie długo, aż do zmroku. Ten obraz wymalowany przez naturę zapamiętałem na długo i po latach pojawił się przed oczami wyobraźni, gdy coś mnie skłoniło do pisania wiersza, w którym mowa o żurawiach. Oczywiście te z wiersza przybrały natychmiast wymiar symboliczny, jak to z reguły u mnie bywa. Symbolizują one los człowieka. Tak się trochę dziwnie stało, że po napisaniu tego wiersza zacząłem go poprawiać i zmieniać tak gruntownie, że ostatecznie powstały z niego dwa odrębne utwory, pokrewne tematyką, ale każdy inny: *Zbuntowane żurawie* i *Opowieść o żurawiach*.

Oba mają, tak jak wcześniej tu omawiane, znowu charakter balladowo-epicki. Zwłaszcza *Opowieść o żurawiach*, która została poprzedzona mottem z kurpiowskiej pieśni ludowej, jednej z tych, do których Karol Szymanowski ułożył muzykę. Ten wiersz jest stylizowany na pieśń ludową, choć są w nim momenty wyraźnie filozoficzne – tam mianowicie, gdzie jest mowa o czasie i przestrzeni, o „rzeczach wszelakich”, pod prąd których nacierają żurawie „podobne do człowieka”. Wreszcie ostatnia strofa jest już wyraźnie filozoficzna, gdy mowa w niej o tym, że żuraw nie zginął, „tylko w mrok się przemienił” i w tej postaci trwać będzie na zawsze „jak cień trwalszy od rzeczy”. Nie jest trudno streszczać i opowiadać ten wiersz. Jego ludowość i balladowość na usługach myśli filozoficznej przypomina metodę Leśmiana.

Ale widzę, że odeszliśmy przez tę moją tyradę od *Zbuntowanych żurawi* naznaczonych mottem z *Listu do Rzymian* i drugim z mądrości babilońskiej. Stawiam więc pytanie, jak się przejawia w tym wierszu obraz stworzenia wobec Stwórcy?

Najbardziej uwyrażniony został w drugiej strofie, w której pojawia się Bóg w postaci chłodnego dreszczu. Kiedy żurawie go rozpoznają, zaczynają chłonąć ów dreszcz. Świadczy to o ich głodzie metafizycznym, głodzie Boga, z którym wiążą nadzieję ocalenia. Niestety, ów boski dreszcz, który w nadziei ptaków miał być ziarnem ocalającym od metafizycznego głodu, okazuje się być pokarmem śmiertelnym. Rodzi się zatem pytanie, na które nie ma jednoznacznej odpowiedzi: „więc czym Stwórca nakarmi swoje ptaki śmiertelne”. To tylko od Niego zależy, czy je przyjmie do swojego przybytku i „na ciszę je zetrze”. To ostatnie wyrażenie można zresztą rozumieć

na dwa sposoby: jako unicestwienie lub jako danie im – ptakom – wiecznego pokoju, czyli jakby dopuszczenie ich do szczęśliwości oglądania samego Siebie – Boga. A może zostawi je na pastwę ich własnego ślepego losu i przypadku. Tego nie wiemy.

Czwarta strofa zaczyna się dramatycznie: „Lot ogromniał od grozy, żuraw stapał się w locie”, i kończy się lamentem: „Spodem nieba szedł tylko dym i lament ptasi”. Ostatnia strofa przynosi obraz Stwórcy groźnego i jakby bezwzględnego, który „szumi nierozumnie i z gniewem”, nie gwarantując ptakom ocalenia, stwarza ich następne rzesze i pokolenia, nie wiadomo po co i dlaczego. Chyba tylko dlatego i po to, „by objawić moc swoją ponad ziemią i niebem”. Ale to jest zaledwie płochy domysł lamentującego stworzenia. Wola Boża jest nieodgadniona dla stworzeń. On je uczynił i On może je unicestwić. Stąd motto: „Bo któż poznał myśl Pana? ”. I drugie: „Któż pojmie wolę bogów na nieba wyżynie? ”. Daremny jest bunt i daremny lament stworzenia.

Myślę, że nie popełniłem wyraźnego nadużycia, biorąc te słowa za mota do wiersza *Zbuntowane żurawie*. Los tych ptaków symbolizuje przecież nasz ludzki los.

O nędzy stworzenia mowa również w wierszu *Aryman*. Nie ma w nim skargi na smutny los wznoszonej do Boga-Stwórcy. Za to mamy przedstawioną sytuację człowieka zagrożonego unicestwieniem ze strony Arymana, czyli Boga Zła. Stąd też zapewne motto z Zaratusztry, w nauce którego występują dwaj bogowie: Aryman (Angra Mainju) i Ormuzd (Ahura Mazda) – Bóg Zła i Bóg Dobra. Uwaga poety spoczęła w tym wierszu na Bogu Zła. Motto brzmi trochę podobnie do tych dwu, które poprzedzają *Zbuntowane żurawie*: „Daj mi poznać Pana, który uleczy istnienie”. Mówi więc ono, że samo istnienie jako takie jest chore. I mówi też to, że nie wiemy, dlaczego tak jest. A przecież bardzo byśmy chcieli znać istotę naszego losu, czyli naszego istnienia na tym świecie. Czy tak to można rozumieć?

Rzeczywiście, to, co stanowi dominantę treści tego wiersza, zawiera się w myśli, że samo istnienie jako takie jest bolesne. Chodzi tu oczywiście o istnienie istot stworzonych (bo czym innym jest istnienie Stwórcy!). Można by stąd wnioskować w logicznym domyśle, że lepsze byłoby dla wszelkiego stworzenia nieistnienie, niż istnienie takie, jakie mu jest teraz dane. Nie jest to bynajmniej wątek obcy myśleniu człowieka kultury śródziemnomorskiej. Znajdujemy go w *Księdze Koheleta* i w nieco mniejszym napięciu w *Księdze Hioba*. Tkwi on również, co prawda w formie

jakby intelektualnie zobiektywizowanej i czysto kognitywnej, w słynnym pytaniu metafizycznym G.W. Leibniza: „Dlaczego istnieje raczej coś, niż nic, przecież nic jest prostsze i łatwiejsze niż coś”. Mówiliśmy już o tym. Okazuje się, że stanowi ono jak gdyby uniwersalną ponadkulturową intuicję metafizyczną.

W wierszu *Aryman* chyba jednak nie ma pochwały nieistnienia. Raczej widzę w nim skargę na istnienie takie, jakie nam i wszelkim stworzeniom przypało. A jest ono niedoskonałe. Toczy je jakaś choroba. Ale przecież choroba to stan wymagający leczenia, a więc i możliwości do likwidacji lub przynajmniej do poprawy i ulgi. Nie widzę zatem w tym, jak i w samym motcie całkowitej, nieodwracalnej beznadziei. Widzę, owszem, metafizyczno-antropologiczny dramat.

Zgadzam się. Wiersz przedstawia tylko sytuację egzystencjalną człowieka, gdy w jego świadomości pojawi się mentalny obraz upersonifikowanego zła, przenikającego nie tylko przygodnie, lecz i fundamentalnie świat, w którym przyszło mu nie ze swojej woli bytować. Wtedy rodzą się myśli, które trudno ułożyć w jakąś spójną całość wyjaśniającą sens tak przez zło zdominowanej rzeczywistości. Autorefleksja prowadzi do przekonania, że zło tkwi w nas – ludziach, ale nie jako właściwa bytowi ludzkiemu immanentna substancja, lecz jako istotowo odeń różna. To tak jakby w nasz byt wdarło się coś, co rozbija jego spójność i jedność, a więc co zagraża jego tożsamości. Świadczą o tym słowa: „Aryman jest rzeczą wszystkich rzeczy / które we mnie są, / a które nie są światłem, / ani nie są solą, / ani nie są mną”. Druga strofa mówi, że Aryman jest współzasadą świata i bytuje „poza granicą mowy / i granicą milczenia / (...) gdzie koniec jest początkiem, / więc nie ma początku, / gdzie początek końcem, / więc i końca nie ma”. Tam, gdzie nie ma początku ani końca, jest „miejsce” dla mocy metafizycznych, które nie mogą być ani poznane w swej istocie, ani wrażliwe na głos rozpaczy człowieka wołającego o litość. Stąd ironiczne zakończenie wiersza: „on mnie pozdrawia grozą ziemi, / od której w proch się słowo sypie”. Słowo zapewne symbolizuje tu metafizyczny ład świata, a także rozum człowieka i jego wolę poznania rzeczywistości oraz pragnienie wyrażenia swej najgłębszej prawdy egzystencjalnej. Jeśli tak rozumiane słowo „sypie się”, to znaczy, że jesteśmy samotni we wszechświecie. Nikt i nic nie liczy się z nami. Nasze wołanie daremnie rozlega się w pustce świata.

Dalekie to od chrześcijańskiej wizji świata i losu człowieka.

Tak, to prawda. Ale chciałbym tu przypomnieć to, co mówiliśmy na samym początku naszej rozmowy medytacyjnej, że prawda zawarta

w wierszu nie musi pokrywać się z prawdą, jaką poeta jako autor wiersza wyznaje w życiu. Ukształtowany światopogląd jest w nas obecny stale, wiersze zaś i ich wewnętrzny świat pojawiają się od czasu do czasu i mogą zawierać nastroje tylko chwili lub nurtujące podświadomość autora obsesje, których chciałby się pozbyć i oczyścić z nich. Wiersz czasem bywa zapisem takich dramatycznych obsesji i jednocześnie aktem oczyszczenia z nich. Przy okazji warto też przypomnieć, że nawet wielcy święci i anachoreci miewali niekiedy wielkie i groźne chwile zwątpienia i nieobcy im był obraz złego boga – w tradycji chrześcijańskiej – szatana.

Zdaje się, że wiersz pt. *Nicość* zawiera podobną pesymistyczną wizję ludzkiego losu. Tutaj obraz Arymana został zastąpiony abstrakcyjną, bezosobową nicością, którą chyba należałoby pisać z wielkiej litery, bo to metafizyczna istność niepojęta, ale przepotężna i bezwzględna. W każdym razie dokonująca destrukcji człowieka – jego bytu i sensu. Jest tu polemika z Pascalem, który zdając sobie sprawę z przewagi wszechświata nad człowiekiem, twierdzi jednak, że człowiek jest „czymś szlachetniejszym niż to, co go zabija”, czyli wszechświat. A więc jak rozumieć twoją negację tego twierdzenia: „Bo nie prawda, jakoby to było siłą i wyższością”? Czy nie uważasz, że człowiek jest szlachetniejszy od wszechświata?

Czy szlachetniejszy? To słowo nie bardzo pasuje do całego wszechświata. Właściwego sensu nabiera ono, gdy mówić o świecie czysto ludzkim i o niektórych rzeczach, które stanowią jakby „podręczny świat człowieka”, to wszystko, z czym się styka on w kulturze. Kosmos może być piękny, ale czy szlachetny? Oczywiście można różnie to rozumieć. W sensie czysto estetycznym na pewno jest piękny, ale gdy pomyślimy o nim jako o naszym miejscu pobytu, to może nam się nasunąć myśl, że to miejsce jest raczej miejscem wygnania niż królestwa. Wiedział dobrze o tym Pascal. Pocieszenie, jakie nasunął, sięga do samych głębin tajemnicy istnienia. Mówi się bowiem o świadomości, którą obdarzony jest człowiek, a nie wszechświat. I tym samym człowiek jakoby górował nad wszechświatem, jako że świadomość jest czymś w planie metafizycznym szlachetniejszym od nawet najlepiej zorganizowanej materii, jaką stanowi wszechświat. Może i tak jest. Świadomość jest tym, co materialistów spycha do głębokiej defensywy światopoglądowej. Nauki przyrodnicze nie mają tu nic do powiedzenia. Może jest ona czymś w rodzaju innej strony rzeczywistości, jak to się wyraził Bolesław Leśmian w swym poemacie *Eliasz*, mówiąc o „innej jawie niż jawa istnienia”. Może to przez nią jesteśmy spokrewnieni

z Bogiem, a w każdym razie ze światem duchowym, transcendentnym wobec świata konkretnej zmysłowej natury. Można tak myśleć i oczywiście można w to jakoś wierzyć. No więc przypuśćmy, że tak jest. Jesteśmy „szlachetniejsi” od wszystkiego, co jest w zasięgu naszych zmysłów i naturalnego rozumu, a więc od całego wszechświata. Ale cóż nam z tego, skoro ta szlachetna i piękna świadomość odsłania nam perspektywę nicości, w którą wbrew naszej woli jesteśmy wpisani, czy wrzuceni. W tej perspektywie widzimy, że wszystko, co powstaje, a więc co ma początek, ma też i koniec. I skazani jesteśmy na patrzeć, jak to wszystko wokół nas zanika, a wraz z rzeczami, pośród których bytujemy, zanikamy i my sami. Rzeczom zapewne jest to obojętne, ale nam? Nam to obojętne nie jest. Szlachetniejsi czy nie szlachetniejsi od całego wszechświata, przecież zanikamy. I co najgorsze w tym, to to, że mamy tego świadomość. Nicość, która nas pochłania, „ta macocha istnienia”, jak to w wierszu powiedziane, może nic o nas nie wie, jest doskonale obojętna na nasz wewnętrzny świat wraz z naszą świadomością – tą ostoją naszej szlachetności. My o tej swojej nędzy wiemy i wznosimy lament do Nieznanego, który milczy. Może On jest tą właśnie Nicością, tym „Nic”, które „nie twierdzi”, „nie zaprzecza, trwa tylko i pochłania mnie”. A co mnie – człowiekowi – zostaje? – „A ja mu oddaję i oddaję swój niewiadomy lęk”. Okazuje się, że ta „szlachetniejsza” świadomość ma jedną, ale istotną fundamentalną słabość – przemieniona w lęk nie rozumie sama siebie. Można wręcz rzec, iż ostatecznie z człowieka pozostaje garstka lęku. Oto polemika z Pascalem, który ogarnięty lękiem na widok nieskończonego wszechświata, odsłoniętego przed jego oczami przez współczesną mu naukę, proponuje w ostateczności wiarę jako najlepszy lek na chorobę metafizycznego drżenia na widok tych „nieskończonych przestrzeni wszechświata”, które przerażały go.

W cytowanym jako motto fragmencie z jego pism nie ma mowy o wierze (o niej wiemy z innych jego pism), jest tylko słowo pocieszenia odwołujące się do szlachetności naszej świadomości. I z tym tylko fragmentem polemizuje wykreowany przeze mnie podmiot liryczny mojego wiersza.

Niezbyt też optymistyczny obraz sytuacji człowieka w świecie malujesz w wierszu *Apokalipsa*, do którego dałeś motto zaczerpnięte z *Naśladowania Chrystusa* Tomasza á Kempis: „Łaska przychodzi i odchodzi”. Jednak mowa tu o łasce, więc w domyśle mamy też przynajmniej jakiś zarys nadziei. Jak zatem ostatecznie rozumieć przesłanie tego wiersza?

Zgadzam się, że to przesłanie jest dość rozchwiane znaczeniowo. Ale po kolei przejdźmy do jego części, może uda nam się określić to, co się nam wymyka. Przede wszystkim najpierw zgódźmy się, że wiersz jako taki, to nie traktat filozoficzny czy teologiczny, więc nie wszystko w nim musi łączyć się ściśle według naukowej logiki prawdopodobieństwa. Mogą się zdarzać miejsca niedookreślone, tak zresztą jak i całość ma prawo do niedookreśloności. Co więcej, wartość poetycka całego wiersza może na tym zyskać estetycznie. To zależy już od sztuki słowa i od mistrzostwa we władaniu słowem tak, żeby tworzyło sytuację liryczną wtrącającą odbiorcę w taki rodzaj zachwyty, który nie wymaga ani nie zna swojej przyczyny, a więc w stan ponad- i pozaracjonalny. W mojej poezji czynniki pozaracjonalne (obrazy, metafory, symbole i mity) mimo widocznej bujności są jednak temperowane pewną logiczną supermiarą. Źle bym się czuł, gdybym nie rozumiał swego wiersza i widział w nim tylko układ „dziwiących się sobie słów”, jak to kiedyś określił Julian Przyboś. Spróbujmy więc i teraz przyłożyć do naszego wiersza tę „supermiarę”.

Pierwsza jego część, wstęp, stwierdza pewną sytuację kulturową: „Księgi mówią”. Co mówią Księgi? – To, że „łaska przychodzi i odchodzi” oraz to, że „Bóg nie zapomina o swoich synach”, czyli o ludziach, którzy zgodnie z wykładem religijnej wiary są Jego dziećmi. Już w tych trzech wersach pojawia się cień niepewności co do losu człowieka. Bowiem łaska z natury swojej nie jest dawana za zasługi, gdyż wtedy nie byłaby łaską, a człowiek czynami swoimi determinowałby zachowanie Boga, co jest nie do pomyślenia w chrześcijańskiej koncepcji relacji Bóg – człowiek. Tak czy inaczej, początek wiersza zaznacza wyraźny stan napięcia pomiędzy wiarą i zaufaniem w nieskończoną dobroć Boga, a rozdawaną przezeń łaską – niepewną. Niemniej są to słowa, w których, choć niełatwa, ale jednak realna zdaje się nadzieja.

Druga część wiersza zawiera wyraźną opozycję do idei pierwszej części, mimo iż została sformułowana w słowach i obrazach niejednoznacznych. Mamy tu obraz wiatru symbolizującego zmienność, więc też i niepewność. Jest on porównany do złego ptaka budzącego grozę w sercu człowieka – grozę, która kończy się ciszą. Ale śmiertelną ciszą.

Trzecia część przynosi obraz człowieka medytującego w samotności nad swoim losem w wymiarze jego metafizycznych przeznaczeń. Słyszysz głos „z tamtej strony Wielkiego Płomienia”. Cóż może symbolizować ów „Wielki Płomień”? Po prostu przestrzeń rozdzielającą doczesne życie, czyli życie aktualne zanurzone w czasie, od drugiej, tajemniczej,

niewidzialnej rzeczywistości, skąd słycać „głos posłańca”, głos zapowiadający Apokalipsę, a więc jak gdyby odsłonięcie ostatecznego wyroku, którego wykonanie na razie zostaje zawieszona. Ale wszystko wskazuje na to, że owa Apokalipsa już się zaczęła spełniać. Na zewnątrz widać czterech jeźdźców jeszcze słabo aktywnych, bo drzemających i działających tylko przez sen. Przed nami „ognisty wóz” – znak narzędzia, którym Bóg dokona unicestwienia bądź oczyszczenia i ocalenia ludzkiego świata. To zależy od Jego woli. Człowiek jej nie zna i dlatego pozostaje w niekończącym się na ziemi niepokoju.

Tak bym widział logos tego wiersza teraz, po czterdziestu latach od jego napisania. A pisząc go, rzecz jasna, nie myślałem wcale o tym, jakie myśli i idee ma zawierać. Zapisywałem tylko nasuwające mi się słowa i obrazy i dążyłem do stworzenia pewnej wizji, zaś nastrój rodził się niejako sam w trakcie powstawania wiersza.

Mogę dodać jeszcze pewien szczegół. Otóż obraz człowieka siedzącego i medytującego przy kominku nasunął mi się podświadomie z, o wiele wcześniejszej niż dzień pisania wiersza, lektury *Medytacji o pierwszej filozofii* René Descartes'a. Uświadomiłem sobie to już po napisaniu wiersza.

Kazimierz Świądecki

Janusz Andrzejczak

i

Jerzy Binkowski

Niepodległa

*Niech będzie drzewo
od pnia po koronę
za tych dwieście lat
niech będzie
błogosławione*

Całą ciebie zmieszczę w dłoni
Słowa czyste ponad kryształ
Gdzieś na płótnach lata szumią
W krajobrazach lat tych płyną

*Za szczelny dach
nad powstańczym
nad partyzanckim losem
za ściany nie do przebycia
ze świerków dębów i sosen*

W drzeniu słońca brzóz gałązki
Pną się w niebo coraz wyżej
Tętno serca w rytmie życia
W twych ramionach czekających

*Za kapliczkę za świątka na nim
co przez dwieście lat płakał
za kule w drewnianą pierś
oparty o nie karabin
i nieustanną pieśń
wolności wiatru i ptaka*

Werble grają obłądny taniec
 Białe skronie przerażone
 Dźwięki skrzydeł trzepoczących
 Gdy wzbija się orła błysk

*Biały Orzeł w koronie
 drzewa korona
 flaga na szczycie
 biało-czerwona*

Pamięć jak rozdarta rana
 Niech zachwyca resztę świata
 Dla naszej świętej miłości
 Tysiące schodów przed nami

*Kocham Cię
 śliczna moja
 wesola i smętna
 za to Cię kocham
 że oczu od Ciebie nie mogę oderwać
 moja piękna*

*Za Twoja niezłomność Cię kocham
 za to że jesteś w mych lasach
 na łąkach na polanach
 moja kochana*

*I za to Cię kocham
 że jesteś w świątyniach kapliczkach
 w ludziach i prochach
 za to wszystko
 i za o wiele wiele więcej
 Cię Polsko kocham*

Jakżem ja piękna kiedy patrzysz na mnie
 Weź mnie do domu z modrzewia i dębu
 Jarzęb przed nami w białych kwiatach
 I czerwień w zapachu gorzkich migdałów

W sierpniu barwne gladiole
Hortensje jak nasze szczęście
Malwy biało czerwone
Bukiety poświęcone

Polska Niepodległa – słowa dwa
Jesienny wiatr – niechciany strach
Głowa w koralach snów
Naszych marzeń garść

Janusz Andrzejczak i Jerzy Binkowski

Anna Dutka-Mańkowska

Przywrzeć do błękitu

* * *

Złotorude drzewa
coraz bardziej przejrzyste
rozmywają granicę między liśćmi a niebem

przywrzeć do błękitu na zawsze
oto cel.

* * *

*Porwana ku źródłom dnia
Wspnę się po śpiewie kosa*
Anne Perrier

Gdy nadejdzie pora
może przyjdzie się wspiąć po śpiewie kosa
wsiąknąć w piach
spłonąć jak zapałka
może skulić w kamyk

oddzielić się
zniknąć

może nie będzie bolało.

* * *

Gałąż jeszcze bez kwiatów
jeszcze bez liści
połyskuje w słońcu
milczy

i ja milczę.

* * *

Każde słowo jest jak niepotrzebna plama na ciszy i nicości.

Samuel Beckett

Milczeć
milczeć jak trylobit
albo jego cień

dojść do Himalajów
wtulić w skałę
pozostać.

Otwarcie Galerii Muzealnej Ojca w Zawierciu

Dziś wieczór stoisz o tam
obok Ciebie dziadkowie, brat Jaś
szkolny przyjaciel Marian Bobotek dotarł z Mauthausen
idą inni
Hanna Rudzka-Cybisowa, Jerzy Harasymowicz, Marian Ozimek,
[Jerzy Panek...
wchodźcie, wchodźcie...

Zbiory Twoich prac są hipertekstem
dotknięcie wzrokiem obrazu

muśnięcie ceramiki
prowadzi w głąb
w dal

otwiera się zielona dolina
tamtędy przejdziemy
Twoje trzy córki
Ania Agnieszka
i Marysia, już po drugiej stronie.

listopad 2014

Anna Dutka-Mańkowska

Sylwia Gibaszek

Pod wodospadem w leszczynach

Rafałowi Szymborskiemu

I

Przędzalnia

tkają jedwab w Leszczynach w takt obrotu koła obok młyna
sączy się grubym ścięciem wodnym nić śliska i przezroczysta
oplata kamienie i patyki na rżyskach
pianą haftuje złoto zieloną tafłę
zahacza o konary drzew i słoneczne stalle
jedwabny blask wije się
błyska jak nóż i gaśnie

tkają jedwab w Leszczynach
barwią przędzę na piaskowo rdzawo

płynie jedwab rzeką Wilgą
zatacza czułe kręgi
wilgotna przędza łagodzi obyczaje
wpuszcza ryby na swoje sukno
niech trze się
iskrzy słoneczni
ikra
jedwab powołuje ryby do życia
a prządka wyrównuje krosna
obcina za długie nitki
jak pępowiny położna

II

Przędka

syrena zmówiła nowy ogon z jedwabnej przędzy
 rybacy proszą prządkę o sieci i pończochy dla żon
 a ona tka w skupieniu

myśli o nowych kokonach jedwabników przy jej domu
 o dalekich podróżach egzotycznej kuchni
 bo jedwabniki przypominają tygrysie krewetki
 polane sokiem z cytryny

myśli o słodko mdlącym zapachu oleandrów
 o żółwiach z Zakynthos pływających w morskich karetach

przędka z Leszczyn jest samotna
 ucieka w myślach daleko daleko
 do hebanowego serca na kutrze rybackim z morza jońskiego
 tam gdzie jest zawsze bardzo ciepło

III

Noc

o czym śni prządka kiedy śpią jej krosna
 nocą w Leszczynach słycać bardzo głośno wodospad
 śpiew ptaków nad jego taflą

matowa woda uderza o turbiny młyna
 koło się nie kręci nakryte przez mrok szarą flanelą
 a woda płynie zawsze
 sny prządki przeciekają
 ryby mówią po północy
 złote drzazgi do wodospadu spadają
 jak łososie w górę rzeki

świt zabiera rybom głos
 a wodospad grzmi dalej

przędka wstaje gdy niebo się różowi
parzy kawę rozwija nici

czym nawilgła jej świadomość po nocnych ablucjach
kapią zimne krople na krosna

IV **Wiosna**

słońce coraz bliżej ziemi
wypala z przędzy rdzę
im bliżej lata tym grubsze nici
bardziej srebrzyste
pachną jaskółczym zieleń i czeremchą
jakby jedwab też przybierał na obfitości
niczym ziemski urodzaj

V **Lato**

łśni się szkło jedwabne
muchy na mokrych siadają kamieniach
kwiecą się brzegi Wilgi
z wodospadu zaróżowione muszle spadają
pasują do śliskiej przędzy
można je zatknąć pomiędzy opalizujące niteczki
bo przędka lubi fantazjować gdy słońce sięga w głąb wody
ciepło wędruje po gładkich narzutowych
pod jego wpływem spękana ziemia
swoją czaszę na oścież otwiera
i tajemnicę jak politurę z brązowo zielonej rzeki zdziera

VI

Ochłodzenie

plamy z kawy na jedwabiu
może wywabi je woda z wodospadu
plamy na jesiennym słońcu
na rękach

przędka starzeje się na przebarwienia na swojej twarzy
zerka
łuszcą się na krosna rdzawe liście i drzewna kora
samotna kobieta tka gobelin o swoim życiu nad rzeką
kot śpi jej na kolanach
kawa bulgocze w niebieskim termosie
marzenia senne płaczą się po włosach
może kiedyś ktoś pogłascze ją po skroniach
rozczesze czarne loki
zmieni bieg jedwabnej przędzy

Sylvia Gibaszek

Joanna Jagiełło

Przezroczyście

Kiedy przestali na mnie patrzeć? Niebieskie oko
prześlizguje się po moich ustach, szyi i piersiach. Dzieło sztuki
nie istnieje bez odbiorcy. Opuszczone waginy
tęchną jak drewniane domki na ogródkach działkowych.

Mężczyźni na Tinderze nie odsłaniają twarzy ani przyrodzenia.
Pokazują się na motorach i leżakach przecięci czarnymi okularami
z fallusami gór w tle. I zawsze w lewo. *Tinder. Tender.* Nie ma
pocieszenia. Kiedyś chcieli płacić, teraz ja musiałabym zapłacić.

Marzę o tym, by żyć wśród ludu Nama, który upodobał sobie
obwisłe wargi sromowe. Albo być bakterią i wymieniać
geny bez namysłu, w beczasie. Zazdroszczę kanapce odwijanej z głodu.
[Kupuję
na kredyt a w końcu ogłaszam upadłość miłosną.

A co jeśli rozbiorą mnie dopiero w kostnicy? Czyje ręce zdejmą
moją koronkową bieliznę, zmyją gąbką pozostałości życia? Pewnie
jakieś staruchy, albo młodzieńca, który pomyśli,
że dawno nie dzwonił do babki. W lustrze znajdzie odroczenie.

Liczba pojedyncza zawsze krótsza. Dumne 'Jesteśmy'. A 'Jestem' –
jak nazwa wyschniętego jeziora. W liczbie mnogiej demaskujące 'I'.
Dlatego przestałam opowiadać życie. Potem kupiłam psa. Poszliśmy
do parku i na kawę, spaliśmy razem, jedliśmy ze wspólnej miski.

Zakonnica odziana w sukna malowane ręką flamandzkiego mistrza
wręcza mi obrazek z matką Boską Różanostocką. Mogłaby powiedzieć:
kobietko, to ty zostałam oszukana. Zawierzyłaś mu, a on cię porzucił.
Lepiej było, jak ja, zaufać Bogu. Ale pyta tylko, jak często chodzę do kościoła.

A ja – czy gorzej ma ślepy od urodzenia, czy ten, który stracił wzrok
w wyniku strasznej choroby? Lata rosna jak rak. Wyciągnęłam

Czarnego Piotrusia pod sam koniec gry. Kościotrupa,
potwora, Murzyna. Rozgrywka się kończy. A ja wychodzę
z przyjęcia po angielsku, cicho zamykając drzwi.

Małe światy

Otwarcie sezonu w Barze Przyszań. Facet wyrywa drugiemu leżak, przestań,
usiądziemy na trawie, na naszym trawy kwadracie. Może coś się zwolni.
[Zwalnia.

Czas. Małe światy. Małe getta. Trawnik metr na metr lub siedzenie metra.
Przy stoliku staruszkowie. Każde ze swoją krzyżówką, zawieszeni

[w prostopadłościanach
szklanych domów. Nic nie jedzą, a piją z termosu. Może odlecieliby już. Obok
w chmurze dymu bez ognia dwie z policzkami jak przejrzałe renklody. Inne
[ściany.

Ogrodzenia. Płoty. Inne głosy. Jedne o teściowej, co tak strasznie się męczyła
zanim wreszcie nie umarła, drugie, że z tamtym to by nie poszła za żadne
[skarby.

„Weź, jemu to się ze Smoleńskiem myli Katyń”. Czarna słomka powoli się
[zanurza

w zawsze do połowy pustej szklance krwi. Siedzę dwadzieścia centymetrów
[od nich,

z takiej odległości twarze rozpoznaje nawet noworodek. Jakby na scenę tuż
przed aktorów wejść. Wsunąć bilet w szczelinę. Pojechać. Odjechać – z nimi
a bez nich. A kiedyś tak jechali na zsyłki, na śmierć, czy się wtedy bratał
ten open space? Jakby być na imprezie, setki gości i nikt z tobą nie gada.

[Ludzie
jak obrazy żywe, nowe, w Muzeum Narodowym. Jak u Dwurnika, albo
[w miasteczku

Mamoko. Znajdź postać i idź za nią. Patrz, co robi, jest wesoła czy smutna.
[Jak ta kobieta,

która płakała przed każdym pomnikiem rozstrzelanych. Mnie od płaczu
chronią soczewki, przynajmniej przy obieraniu cebuli. Jesteśmy jak homary,
albo raki. Zmieniamy kolor tylko we wrzątku. No bo jak inaczej? Jak w zoo
papuga, wilk i osioł, każde w swojej klatce, patrzymy na siebie w naszych
małych światach. Tamta mówiła zresztą, że nie je nic co ma oczy, więc rybne
[filety,

jeśli już. Do robotników machała siedzących w koparce, bo nazwa jej się
 [podobą –
 Manitou. Lubi ją personel i inni pacjenci. Ale się nie zbliżaj, każdego klepie
 [po pośladkach
 i plecach. Małe światy. Małe getta. Trawnik metr na metr lub siedzenie
 [metra.
 Niewspółczulne światy. Niedotknięte głosem. Tylko wzrokiem
 [rozpakowywane,
 rozgarniane, jak w paczce dezodoranty z trocin. To tam, to
 tu. Małe światy. Małe getta. Trawnik metr na metr lub siedzenie metra.

Głód

Nie mówimy o głodzie, choć głód
 wciąż w nas krzyczy. Zatykamy mu usta
 kaszą, mąką, batonami upychanymi po szafkach.
 Milczy głód zakopany pod jabłoniemi
 na podradomskich wsiach. Milczy głód niekochany
 bez nagrobka, bez imienia. I wypuszcza kiełki wątłe
 jak tamte dzieci.

Nie mówimy o głodzie, choć głód
 wciąż w nas krzyczy. Zatykamy mu usta
 belgijskimi czekoladkami i pasztetem z gęsich
 wątróbek. Milczy głód zakopany pod szkiełkiem
 razem z bratkiem i sercem z marcepanu. Czuć go
 tylko w czubkach palców, które tak bardzo chcą
 dotknąć mężczyzny. Tak bardzo dotknąć kobiety.

Nie mówimy o głodzie, choć głód
 wciąż w nas krzyczy. Zatykamy mu usta
 dłońmi udającymi dłonie filozofów. Zamyślenia,
 polityczne debaty i wiersze. Nasze życia krojone na talerzu,
 sztuce zawsze na krzyż. Milczy głód po trzech daniach,
 przystawce, deserze. Zjedliśmy wszystkie rozumy, lecz
 wciąż czujemy pustkę.

Mówimy więc o jedzeniu, choć głód
wciąż w nas krzyczy. O gładkich ciałach wędzonych
węgorzy, słodczy agrestu pękającego w zębach,
jaka najlepsza panierka do kotleta i ile nasolić mizerię,
by zmiękła. Milczy głód zapomniany,
milczy głód niekochany. I tylko nasze dłonie
na ciepłych bochnach chleba zawsze lekko drżą.

Pasja

A gdybyś tak wiedział, że się staniesz
figurką w wianku,
obrazkiem na ścianie,
kimś, kogo o zmiłowanie proszą ludzie prości
i bez zmiłowania
odchodzą cicho.

A gdybyś tak wiedział, że nie znajdzie pocieszenia
ani ta żebraczka, ani ten bezdomny,
ani ta młoda matka, tak podobna do Marii,
że w kościele przestronnym
bez zmiłowania
odejdą cicho.

Że nie będziesz potrafił, dla tych co nie znają
żadnej bożej łaski, przypiąć się do krzyża
z ciężkich karabinów i ciemnego drzewa,
pod którym chcą się schronić zaraz rozstrzelani
i bez zmiłowania
odchodzą cicho.

Tobys może jednak umarł tak jak człowiek,
z krzyża spadł jak z lampy ćma,
tobys błagał o litość
w człowieczym skowycie
i bez zmiłowania
odszedł cicho.

Znów umarł ktoś znajomy

Znów umarł ktoś znajomy. Nieoczekiwanie.
Zostawił coś po sobie. I nic nie zostawił.
Konta pełne długów, urnę pełną łez.
Dzieci wąskie jak laleczki wycięte z papieru.
Wracam i kładę rękę na twoim brzuchu,
lekką wypukłym, niby wzgórze Cotswolds.
Samotnie wyglądamy świtu.

Znów umarł ktoś znajomy. Ten to dużo palił.
I pracował za dużo. O sobie nie dbał wcale.
A na pogrzebie, choć martwy, zebrał całą salę.
Grali Lacrimosę, była smutna i piękna.
Wracam i kładę rękę na twoim brzuchu,
który jest już co najmniej jak Śnieżka.
Samotnie wyglądamy nocy.

Znów umarł ktoś znajomy. Za młodo, zbyt piękny,
zbyt żywy na tę śmierć, zbyt na nią lękliwy.
Za krótko umierał, żeby ją zrozumieć.
Za długo umierał, żeby jej nie dostrzec.
Wracam i kładę rękę na twoim brzuchu,
okrągłym jak ziemia, która w proch zamienia.
Znów umarł ktoś znajomy. Czekamy na dziecko.

Nie wiem, jak pisać wiersze

Nie wiem, jak pisać wiersze. Po kolacji, przed świtem, między
teraz a nigdy? Za ścianą muzyka Papuasów, jerychońskie trąby, wciąż
ktoś wchodzi, wychodzi, albo ćwiczy pompki, mogłabym pisać tylko o tym,
jak na dworcach kolejowych przejeżdżają pociągi, a nasze dusze
gubią się na zakrętach, a w końcu zapominają skąd przyszły.
Zapominają być.

Nie wiem, jak pisać wiersze. Ten dom cierpi na niestrawność, pełen dzieci,
[chomików,

niedotrzymanych terminów. Zafoliowane jeszcze pudełka z Ikei czekają
na porządkowanie życia. Komputer wzdycha znużony zamawianiem
[nocnych koszul
i plecaków Kanken. Na stole sterty gazet, na fotelu kolekcja skarpet,
[a w łóżku
chrapie córka, ciężarna. W kawiarniach całe chmary sikorek, ćwierkają.
Że życie jest gdzie indziej.

Nie wiem, jak pisać wiersze. Są jak dzieci, które łakną zabaw, a ja ciągle
że zaraz, bo ani atramentu, ani właściwych klawiszy, wszystko służy
[do czegoś
innego. Nieświęte życie samo się żyje, a między milczącymi linijkami
córka obwieszcza, że wyspała kreta do odpływu i że jutro
będzie odwilż. I że mole można po prostu zagłodzić.
Może można poezję.

Joanna Jagiełło

Andrzej Tadeusz Kijowski

Z cyklu *Imitacje dla Niepodległej*

Dom rodzinny

Akademia wrześniowa. Albo... mowa nienawiści

Władysławowi Broniewskiemu. Patriocie

Weszli cichcem, zbrukali nasz dom.
Własny dom, tę wytęsknioną Polskę.
Żaden przy tym nie brzmiał dźwięczny grom.
Nie musiano posłużyć się wojskiem.

Na początek przywieźli towary:
Lustreczka, grzebyki, pachnidła.
Nie ma granic, złączono obszary
I ognista woda skrapia skrzydła.

Tańczy naród, żre, rozpustę czyni.
Duchy przodków swoich zapomina.
Jakby manna sypnęła w pustyni.
Chleba dosyć, jeszcze więcej wina.

Paszy dosyć – choć stęchłej i cudzej.
Straszą pleśnią niedożarte gnaty.
Ktoś się budzi, ktoś trzeźwieje w strudze.
Ktoś umyka, widząc rezerwaty.

To historia stara jak Apaczy
Najazd kraju przez ludzi z coltami.
Łowców głów i węży zaklinaczy.
Kres podbitych, co zostali sami.

Kiedy przyjdą, by zbrukać Twój Dom:
Wigwam, igloo, chatę, choćby szałas.

Drzwi zawieraj i chwytaj za broń.
Chroń rodzinę, wystrzegaj się zaraz.

Nawet gdyby przyszło ci umierać.
Wiedz, że życia Twoja ziemia warta!
Zbierz rodaków, przybyszy się nie radź.
A intruzów wyślij precz – do czarta.

Podatek od deszczu

Pamięci Leopolda Staffa. Rodaka

Będziemy jeszcze w Polsce czuć się jak u siebie.
Będziemy jeszcze złote zarabiać pieniądze.
I rodak rodakowi pomoże w potrzebie.
Myśli staną się czyste, uczucia gorące.

Nie patrz na obcych banków świetliste neony.
Nie obawiaj się nędzy, nie drżij przed eksmisją.
Zostały jeszcze lasy, pola, dzikie strony.
Tam się partie ukryją, strumienie wytrysną.

Mińmy zryte ogrody, fasady kamienic.
Sprzedane autostrady, drogowców w potrzebie.
Nie wyrzekaj, że sklep nasz przejął cudzoziemiec.
Będziemy jeszcze w Polsce czuć się jak u siebie.

Wokół pełno towarów, wystawy dostatnie.
W domach głód. W biurach wyzysk. Straszą świata końcem.
Od zdrowia, nawet deszczu – podatki są płatne.
Będziemy jeszcze złote zarabiać pieniądze.

Ty drżysz z gniewu, ja z żalu. Nikt nas nie utuli.
Ktoś czeka na dotacje, inny kredyt splanca.
Dzieci twardnieją w znoju, rządzący nieczuli.
Wokół lęk, chciwość, zawiść – katorżnicza praca.

Ten płaci za naukę, temu wzięli rentę.
Tej wciskano łapówki, ów stracił posadę.
Kogoś łudzą pożyczką, pewnie na przynętę.
I kur pieje, i słońce zza mgieł wstaje krwawe.

Las się budzi. Wilk wyje, płocha zmyka sarna.
Bydło pędzi do obór, zawieramy wrota.
Stanie w obronie granic Polska Solidarna.
Bóg, honor i ojczyzna. Nauka i cnota.

Przyjdą jeszcze dni ciężkie: zwycięstw i rozgromu.
Będą walczyć Polacy, kiedy kraj w potrzebie.
I wskażemy drzwi obcym. Nie oddamy domu!
Będziemy jeszcze w Polsce czuć się jak u siebie.

Elegia Polskich Zakątków

*Antoniemu Słonimskiemu
na ręce Jego Sekretarza
4 lipca 2012, w 36. rocznicę śmierci Poety*

„Nie masz już, nie masz w Polsce” ojczystego chleba.
Próżno szukać masarni. Francuska gorzałka.
W Kazanowie, w Zagórze, w zaścianku Godlewa:
Obcy gust, pieśń z oddali, a rozmowa – miąłka.

„Znikły resztki ostatnie”, ludowe warsztaty.
Nie ma rodzimej książki, telewizja cudza.
Nawet Król polskiej prasy, niegdyś tak bogaty.
Twierdzi, że koncentracja swobodę ukróca.

Świeci tu słońce jasne, jak rycerskie cnoty.
Rzę grottgerowskie konie, oczy dziewcząt płoną.
Już nie ma tych obrazów, przepadł gdzieś róg złoty,
Rozpierzcha się po świecie emigrantów grono.

Nie ma już tych pisarzy, co „z dymem pożarów”
Chronili pamięć Polski „przez tak liczne wieki”.
Zakładają jarmułki – dla kilku dolarów!
Grzebią ojczystą mowę, wielbią świat daleki.

W Wiedniu, w Jałcie, w Brukseli: po trzykroć zdradzony
Naród, kładzie się znowu na Europie cieniem.
Aż przypomną swój honor, sformują legiony,
„Krewni moi”, co polskim złączeni marzeniem!

Andrzej Tadeusz Kijowski

Gabriela Kurylewicz

Żeby

Żeby dziś było wczoraj,
a wczoraj przedwczoraj,
to bym wiele dała.
Żeby sto było tysięcy,
a tysiąc dziesięć
tysięcy –
to miałabym spokój
na kilka miesięcy.
Mogę przysiąc.
Zajmowałabym się
nutkami, harmoniami,
słowami, melodiami.
Rozmawiałabym
z jaszczurkami,
słowikami, jeżami
i naturalnie z wybitnymi
psami.
Bym się nie przejmowała
bliźnimi bandziorami
dóbr intelektu.
Chociaż przez chwilę
byłoby milej!

13 VI 2018

Fraszka o duszy

Z nadmiaru
zaczęła mi się psuć
pamięć
nieszczęść,
i szczęść pewno też.
Nadmiar to uderzenie.
A przecież dusza

jest delikatna.
Jest dzbankiem,
garnuszkciem,
niczym więcej.
Choć śni o sobie,
że jest warownym
antycznym miastem
położnym wysoko
i pięknie.
A może ma rację
dusza?

4 II 2018

Mój zegarek

Mój zegarek się ucłowieczył.
Spóźnia się razem ze mną.
Nawet bywa, że spóźnia się
więcej niż ja, darowując mi
nadempiryczny czas
na spacer, sen, filozofię,
poezję i kompozycję.
Znajomy pianista radzi
bym wymieniła baterię.
Ja przedziwnie, przeciągam,
zwlekam, poważam i kocham
zegarek mistyczny.
Rozczuła mnie jego gest,
pogodna twarz,
wielkoduszne serce
i skórzany pasek z klamerką.
A terminy? Odkręcimy.

30 IV 2018

Piotr Müldner-Nieckowski

Nierówny zarost pana Waldka

Otworzyłem mu drzwi i chciałem od razu wypchnąć z domu
Na jego trzydniowym zaroście widać było ślady rozbojów
trzy jaśniejsze pręgi biegnące przez policzek
jak od linijki, od maczety, którą ktoś usiłował
ściąć go z powierzchni Ziemi niczym trujący grzyb

(ale tylko trzykrotnie zaczepił końcem ostrza o twarz
i nie zabił – zostawił te szramy
Żał że z takim trudem szable i pistolety
torują drogę spokojowi i dostatkom dzieci
którym od starszych należy się troska i opieka,
i przyznać trzeba – bandyta ojcem ma prawo być jak ty)

Lecz nagle zaczął mówić,
opowiadać o sposobach
jaki mają współwięźniowie wobec niewinnych
którzy zostają wtrąceni pod ich celę w celach
wydobyczych

Wiedzę i informacje mogą wrywać kilofem jak węgiel
za marnych parę dni przepustki. Można zlecić bicie
na pryczy w środku nocy gdy biedakowi śnią się lwy,
siekanie na kawałki tylko po to by ktoś na wolności
mógł pożreć skazanych na dowód swej prokuratorskiej
pracowitości

Nikt nie wie

Ludzie o małych pęcherzach
wstają nocą aby pójść do toalety
Nikt nie wie że są ludźmi
o małych pęcherzach

bo mają duże życie za sobą
i wielką przestrzeń przed sobą

Nikt nie wie że pan inżynier
jest człowiekiem o małym pęcherzu
i musi wstawać nocą
ani że pani profesor także ma
małą pojemność przestrzeni
w swoim skąpo wyrosłym ciałku

Ludzie myślą że tacy ludzie
którzy zrobili tyle dla ludzi
już nie muszą wstawać nocą i nie żyją
bo ludzie przestali ich widzieć
i słyszeć o nich choćby słówko
że nadal robią coś ważnego

Ale ludzie się mylą Nie wiedzą
Nikt nie wie że pani profesor
co wieczór całuje pana inżyniera
w usta i tuli się do jego
równie skromnego ciała
by się tym ciałem stawać

Przeciw wszelkiej zachłanności

Boże, nie zaniechaj swojej transcendencji,
nawet jeśli tak wielu nie wie, co to takiego,
bo co by to było, gdybyś nagle zaczął wchodzić
swoimi gwiazdnymi butami w nasze czarne dziury,
swoimi niezwykłymi równaniami o milionach zmiennych,
w dziewiętnastu wymiarach otoczenia ciała i snów,
o zmiennych jak korony kwiatów wielbionych przez ptaki,
gdybyś nagle zaczął wchodzić we wszystkie
otwory ciała i w centra myśli, a zwłaszcza odkryć,
których dokonaniu tak wielu nieustannie staje na drodze
tylko dlatego, że sami nie mają na myśli nic więcej,

niż tylko zgwałcić biedną rachitycznie wychudzoną kobietę
 lub dać się wypatroszyć kuliście otłuszczonego masarzowi,
 zabójcy baranów i krów, który wywija zaolejoną szmatą
 aż do osiągnięcia orgazmu, tego najwyższego poziomu bytu,
 na jaki go stać w dwudziestym pierwszym wieku,

bo nie byłoby warto walczyć o naturalną likwidację
 naszej wszelkiej zachłanności.
 Boże, nie zaniechaj transcendencji.
 (Szczyt bezczelności prosić Cię o to,
 lecz Ziemia jest już u kresu ludzkości).

Legenda dramatu ożywa

Adam Mickiewicz, znany poeta polski,
 napisał wiersz *Do przyjaciół Moskali*,
 trudny jak on sam, gdy noc nad Polską
 ściemniała mózgow cienie do zabójczej czerni.
 Na gałęziach tamtych chwil zasiadła szadź
 trutniów, chcących życie bezsilnie wyjaśniać,
 niezdolnych do rozróżniania złości i miłości.

Takie wiersze szanuj, mój drogi bracie,
 kiedy nie rozumiesz; siostrzo niepojmująca.
 Adam Mickiewicz cara na rękach nie nosił,
 jak głosi legenda dramatów poety,
 jednak zło szanował, któż bowiem by uznał
 słowo Mickiewicza, gdyby car ów nie zasłużył
 na jego pokłon z figą kciuka
 zgiętego w dół przy prężnych lędźwiach.

2018

Piotr Müldner-Nieckowski

Wiesława Oramus

Ciurkiem

(*fragmenty*)

* * *

Czy od jakiegoś faktu, jego natury, pory roku, trucizn nieznanych, braku czegoś, nadmiaru, albo nieumiejętnego stosowania czegoś zaczęło się to płowienie duszy?
I egzystencja ze spłowiałym szczęściem i nieszczęściem... i wszystkim pochodzącym od niej?

* * *

Singling codzienny, świąteczny, uroczysty i byle jaki, po przebudzeniu zdefiniowany, tylko praktykowany? Jako góra, dół, otchłań, czy wyzwolenie?

* * *

A jakie są granice; uwolnienia od, żeby ruszyć do?
Na pewno ruchome.

* * *

Zmiana pomieszczeń, zmiana nastroju. Zmiana nastroju, to jak nowa egzystencja. Na chwilę. Oby takie bogactwo wyboru było możliwe i poza pokojami!

* * *

Zwycięstwo duchowe, owszem. Tylko jak je zmierzyć, zważyć, obok czego postawić. Uczynić widzialnym? Bo tylko tak może zaistnieć w obrazkowej cywilizacji. Wycena, przelicznik na najmocniejszą walutę też podkreśliłyby rangę wydarzenia.

* * *


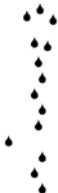
A te łzy z powodu przyszłości coraz większe, większe, w porównaniu z tymi dla opłakania przeszłości.
Ależ tak, ależ tak, to moja ścieżka, nie do zastąpienia. I tylko... mogłaby być trochę mniej wyboista.

Bo to ten jeden dzień, jeden moment może być dniem, momentem prawdy o człowieku, bo potem będą to już tylko zaburzenia zachowania. I żeby tylko złapać ten moment. Który dzień wyznaczyć jako ten moment? Żeby nie zrobili tego inni. Nie uczynili z tego kwintesencji prawdy?

Coś miało zmienić życie, a stało się życiem. I nic poza nim już nie ma?

Bezradność, jako mechanizm obronny? A przypomina leżenie na plaży, w ciepłych krajach, w porze sjesty.

Biografia, jako fakty nie do zaakceptowania. Co więc pozostaje? Stany ducha, samopoczucie we własnej skórze, sny, relaks, sposoby na dostrwanie do następnego dnia... Coś tam jeszcze...

<p>Wiesława Oramus</p> <ul style="list-style-type: none">◆ pisarka◆ poetka◆ tłumaczka z języka francuskiego◆ członkini SPP OW <p>Autorka książek</p> <ul style="list-style-type: none">◆ Natalia◆ Tylko lustra nie te same◆ Zabawy w twarze◆ Tancerki◆ Filozofia świerszcza◆ Żyje sobie◆ Trzecia pięć◆ Poza◆ Konstrukcja <p>ISBN 978-83-7867-733-0</p>  <p>9 788378 677512</p>	<p>Wiesława Oramus</p> <p>Ciurkiem</p>  <p>Szczecin 2017</p>
--	--

* * *

Wielokrotnie nad przepaścią, a jednak, jednak, chociaż o dziesięć stopni w dół, prawie na dnie, ale w całości, bo to sztuka trzymania się blisko ustępów skalnych, przyczepiania do nich? Bo to nie marzenia i nadzieja są najlepszym przewodnikiem?

* * *

A w tej zupie, tak gotowanej ze wszystkiego, co pod ręką, żeby nie iść po coś nowego odnalazło się jakieś galicyjskie smaki, madziarskie, góralskie, krakowskie. Tak wyszło – bezwiednie – bez żadnych deklaracji.

* * *

Może, pewnie, że z powodu wieku i kondycji ten marsz przed siebie taki coraz wolniejszy. Ale może i ze strachu przed ścianą?

* * *

Wewnętrzne biografie bliskich; w snach, pamięci ich głosu, gestykulacji, śmiechu, płaczu, krzyku – we własnym wewnętrznym świecie. I jak tu się spotkać?

* * *

Marsz przez świat książek z partnerem, to zupełnie co innego niż w pojedynkę. Jak obraz siebie bez lustra?

* * *

Niedokończone dyskusje, żarty przygotowane na następne spotkanie czasami się śnią.
I tak chciałoby się, żeby były częścią następnego dnia. Bardziej niż dotyk?

* * *

Już raczej nie o dynamikę w tym marszu chodzi. Już raczej zachowanie postury bardziej się liczy.

* * *

I jak przygotowania do czegoś, co nigdy się nie zdarzyło. No cóż, może to być i o życiu.

Wisława Oramus

Alicja Patey-Grabowska

Tu i Teraz

Dziękuję Ci
 losie
za Tu i Teraz
 które wymknęło się
 czasowi
 rozbiło cyferblat
 połamało wskazówki

 Jaskółki
zakreśliły krąg
nad naszymi głowami
Jak czarownice
odjęły lat
 Tu i Teraz
 Tu i Teraz
szepcze los

To wiatr
rzuca zaklęcia:
– Nie ma co Było
– Nie ma co Będzie
 Nie ma?
A jest
 W nas

Pigmalion i Galatea

Wyłaniasz się z mroku
jak ze snu
Pigmalionie
którego wyrzeźbiłam w nocy
To ciebie wzywałam
ale nie słyszałeś
oddzielony ode mnie
szklanym murem

Prysnęło szkło
a my twarzą w twarz
w zachwycie milczenia

Nie istnieje przestrzeń
ani czas

Tkwimy w źrenicy kosmosu
jak dwa drobne pyłki
gwiazd

Maria Jolanta Piasecka

Haiku

klasztorny ogród
modli się do róży
ostatniej

skrawek papieru
maluje czarnym tuszem
jesienne liście

nad jego grobem
już latają świetliki
to dla nich czas

z zapachem słońca
zerwane prosto z krzaka
– pomidory?

to tu to tam
rozsypane jak gwiazdy
owoce w trawie

nowa wiadomość
nitki babiego lata
zachodzą mgłą

Krystyna Rodowska

Trzy przywołania Macedonii

Piękno ma długi żywot
 w Macedonii (dla Greków wciąż Grecji)
 Oczy pasą się na stokach gór (stado
 kóz z powieści Luana Starovy)
 nurkują w czarnych wodach rzeki Drim
 odwijają z mgieł trzy jeziora

Analogowe zdjęcia kartki przywołują
 wpółzatarłe sylwetki w złocie i cynobrze
 na ścianach malutkiego monasteru –
 rozbłysku Boga nad pulsem Ohrydu

*

Piękno jest wątkiem wędrownym
 kultur w Macedonii
 Bogurodzice śniade przy źródleku–
 jakby siostry naszej Jasnogórskiej
 (nie zauważyłam czy przeniosły
 jej tamtą szramę na policzku)
 Czarno-białe wazy w muzeum
 faun chłopięcy z wyprężonym fallusem
 każą myśleć o greckim dziedzictwie

białskóre topole piją prosto z nieba

*

Stołeczne lotnisko w Skopje
 obsiadła plaga monsturalnych insektów –

helikopterów pomalowanych w barwy wojny
gotowej do zrywu

Na Festiwal zlatują się poeci
I robią swoje

2003-2017

Krystyna Rodowska

Baśka eR.

Klęska

Moje życie
nie jest już w moich dłoniach
spalone mosty przez wir zgubionego życia
samotność krzyku
cierpienie złamanego kręgosłupa
w ułamku sekundy
wszystko straciłam

ponownie nauka chodzenia
ile razy można być niemowlęciem?
który to już raz muszę obejść Planetę?
jakbym ponownie mierzyła się z Bogiem
w pogardzie dla życia
w pokorze dla słowa

kto wymyślił obraz na podobieństwo
człowieka?
to tylko miłość Boga

Po pogrzebie

przetrwałam w szalonym szpitalu
potrzebuję aż umierania by powstał wiersz?
potrzebuję nadal ciebie Mamo
inaczej klęską naznaczę
ból i samotność
tak bardzo kochałam
by teraz oddać z nawiązką
odchodzenie w nicość

* * *

potrafiłam jedynie kochać
to proste
stałe umierałam krzycząc w ciszy
łamałam słowa
w rozpaczny snu
pragnienia mijają mnie
jak oszalałe okręty
podczas sztormu
na oceanach niepokoju duszy
dlatego wołałam umierać
tak skomplikowana
i tak prosta była ta miłość

Przegapiłam wiosnę

komputery zastępują
umysły lekarzy
świecą wyrokiem – wybuchowe
złamanie kręgosłupa
lecz ich dłoni
rosłych neurochirurgów
jeszcze nic nie zastąpi
niczym dobrych kowali
kłuli wbijali ćwieki
teraz mam tytan w plecach
niczym terminator
trzeba było to zespolić
do biegu do Nieba

26.05.2018

kiedy odejdę
nie wspominajcie mnie
w Świętym Mieście
nie piszcie analiz i diagnoz
które i tak będą fałszywe
jestem przecież
mistrzynią kamuflażu
dzienniki pisane nocami spaliłam
jak swoją duszę
podczas seansu życia tutaj
i zapomnijcie dlaczego tu byłam
i po co cierpiałam
jak ranne zwierzę osaczone
przez myśliwych tego miasta

Dzień Matki

Pustka
nie w moim obolałym sercu?
sąsiadka dzisiaj usypia
chorego psa a mój jest niespokojny
jakby przeczuwał kolejną śmierć
ja znoszę bezdech upalnego
dnia maja Ciebie już nie ma
poprzez miłość i cierpienie zanikam
szukając sensu
wszystko utraciłam czy tylko
zmianę czasoprzestrzeni bytu?
jak opisać strach przed
samotną burzą w duszy
jak być tutaj bez twego
przytulenia?
mam jeszcze tyle pragnień
i zanikam...

Baśka eR.

Krzysztof Saturnin Schreyer

Próba

Kwitną złoto forsycje, wiatr listki rozwiewa,
kwitną kwiaty na łące i budzą się drzewa.
Sielanka! Matek z dziećmi wysyp dzisiaj liczny,
psy szczekają i widok jest wręcz bukoliczny.

Syrena! Wszyscy stają, jak głązy zamarli,
w mych myślach biegną tamci ze skazanej armii,
by umrzeć z honorem, z pistoletem w dłoni –
nie chroni ich legenda, nadzieja nie broni.

Jak dobrze, pomyślałem, że losu przypadek
nie kazał mi biec z nimi. Ja, jako swój dziadek
mógłbym nie znieść tej próby za getta murami,
może krył bym się w dziurze, chronił przed strzałami?

Być mogło, że na Szucha, bijąc bez litości
gestapowiec by wyrwał ze mnie wiadomości?

Jak dobrze, że nie wiem, czy bym zniósł tę próbę,
i godząc się na mękę, godził się na zgubę?

Lub jako swoja babka z głodu opuchnięta,
tuląc na stepach Wschodu maleńkie wnuczęta
nie muszę się zmagać i pytać się Nieba,
któremu dać ostatnie okruszyny chleba?

Przypadek mnie umieścił w tym parku słonecznym,
w tym czasie i w tym miejscu, przedziwnie bezpiecznym
i oszczędził mi próby, choć wieki historii
to rzeki nieszczęść pełne z gejzerami glorii.

Przenika wycie syren, to pamięci służy,
nie oznacza nalotu, bomb piekielnej burzy
i nie chwyta niepokój, ani lęk potężny,
że się poddam, załamie, że nie będę mężny.

26 IV 2018

W irlandzkim barze

Grają namiętnie Irlandczycy
grzmot bębnow wprawia w drżenie ciała.
W tym barze ciemnym jak w piwnicy
niczego nam nie brakowało.
Tu jeden z drugim podryguje,
nawet gdy siedząc, piwo pije.
My ogłuszeni, roztańczenie
i zaplątani i spleceni
czujemy ogień żywy w ciele –
to dużo, ale wciąż niewiele,
więc w duszy akt obrazoburczy,
a świat dokoła już się kurczy,
gdy razem, razem rytmem dzikim
łączymy ciała w takt muzyki –
zostaje oczu twoich lśnienie,
reszta ucieka w nieistnienie.
Twój uśmiech wielką aureolą
przykrywa bóle, które bołą
i nie pamiętam nic, prócz ciebie
w irlandzkim barze, w czarnym niebie

Pożar

Jakże proste są moje wiersze,
więc je pokręcę
poetycko!
Tam chmury a tutaj serce
pogorzeliśko!
Na pogorzeliśku pędy
tu i tam
rosną strzeliście
w słońce
jak wszystko.

Zielony wtręt
pędu pęd
nadstawiaj pierś
to grot
strzała amora
przyszła pora
na ciebie na mnie
nowy pożar!

27 IV 2018

Śnieżyca

Śnieg ciężki białą łśni kotarą,
ruchome biegnie w nieruchomym...
Dlaczego jestem przygnębiony
poza nauką, poza wiarą?
Czas biegnie, jakby go nie było,
dni dawnych wcale nie pamiętam,
równina biała jak zaklęta...
Może coś kiedyś się zdarzyło
i może było coś spełnione,
ponoć jest wiele do zrobienia,
świat w białym biegu się nie zmienia,
a ja wciąż myślę: koniec, koniec...
Cisza, spadają białe płaty,
w centrum wszechświata swego stoję
w śnieżycy gubiąc niepokoje,
małe zwycięstwa, duże straty
i filozofii wieczne męki.
Nagle kosmiczne me pytanie
znajduje ludzkie rozwiązanie –
serdeczny dotyk twojej ręki.

20 I 2018

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Seipp

Tryptyk bolesny

Część II

Veni Creator

(Ave Caesar)

1. kreowanie sytuacji:
2. zaczynam od *irish coffee* –
3. żeby było jasne:
4. pół filiżanki dobrej, bardzo mocnej kawy, druga połowa whisky (nie musi być irlandzka), osłodzić, na wierzch bita śmietana
5. (jest listopad 1982)
6. niestety, muszę wrócić po papierosa, wybieram *dunhilla* i teraz:
7. pić? (dlaczego pytam):
8. mam w domu tylko:
9. trzy gatunki whisky, za którą nie przepadam (dlatego aż tyle) (w dodatku jeden popularny, tani)
10. dwa koniaki (z tego tylko jeden naprawdę trzydziestoletni)
11. niby dwie butelki wódki, ale każda na wykończeniu
12. nie ma ani ginu, ani martini (ostatni przebój na szybkie zajebanie się), bo tego *extra dry* nie znoszę
13. i oczywiście żadnego wina (nie liczę jednej butelki 0, 7, bo białe, słodkie i najwyżej nabawiłbym się kaca) (mimo że jest to dobry rocznik Barsaca)
14. czyli:
15. mogę sobie chleptać *irish coffee* (kawy nie brakuje)
16. ale –
17. o właśnie:
18. „ale”.
19. mając do dyspozycji około 260 metrów kwadratowych podzielonych na osiem pokoi, dwie łazienki i marmurowy hall ograniczam się do kuchni:
20. może dlatego, że w tej brązowej szafie po prawo, w której jedne drzwi otwierają lodówkę (oczywiście prawie pustą: resztki szynki, polędwicy,

- trochę winogron i cielęcina na jutro) (niech kogoś nie zwiedzie dolna półka wypełniona puszkami Heinekena – tych szczyn nie jestem już w stanie pić), a drugie zamrażarkę, zepsuła się automatyczna maszyna do robienia lodu i trzeba go przyrządzać, nalewając wodę do takich miseczek z podziałkami;
21. może dlatego, że wspaniała kuchnia General Electric od paru dni nadaje się już tylko na śmietnik;
 22. może dlatego, że maszyna do zmywania zmywa, ale już nie suszy;
 23. a z kranu bez przerwy cieknie woda (naprawianie wytrzymuje tydzień, a potem znowu trzeba puszczać po ściance) ;
 24. nawet opiekacz do grzanek z czterema szybkościami: blade, złoto, złoto – brązowo i brązowo uznaje tylko te niedopowiedziane: białe i czarne;
 25. może dlatego ograniczam się do kuchni
 26. za drzwiami mam już tylko doskonałość
 27. ostatecznie mógłbym wyjść:
 28. zjechać bezszelestną windą z pierwszego piętra, przebrnąć przez tak na oko 40 metrów kwadratowych dywanu oczywiście pomiędzy kolumnami, jeżeli cicho otworzę drzwi, to nocny portier może mnie nawet nie zauważyć (choć w takim razie dlaczego go opłacamy) i lekko w lewo, na specjalnie zakreślonym miejscu do parkowania ukryć się w zamshowym wnętrzu swojej BMW
 29. co to znaczy w tej sytuacji „być określa świadomość”
 30. dlaczego dzisiaj kiedy żona nie mogła zdecydować się na kolor butów, nie kupiłem jej wszystkich sześciu par (mężczy mnie to)
 31. nie, zło tkwi gdzieś bardziej ukryte, tutaj byłoby to zbyt proste
 32. próbuję dalej:
 33. (przerwa na zrobienie drugiej *irish coffee*)
 34. (już się parzy)
 35. (jeszcze do sypialni po papierosy a propos: czy wyobrażacie sobie, że i dunhillowi zdarzają się kołki?)
 36. dobra, starczy –
 37. zacznijmy od stanu liczebnego:
 38. stan na dzień 5 listopada 1982 godzina 02.00:
 39. ja (w kuchni)
 40. żona (w sypialni)
 41. siostra (w swojej sypialni)
 42. raz, dwa, trzy – niedużo, wzięwszy pod uwagę długość korytarza
 43. ale:

44. stan ten można nazwać stanem nocnym, ponieważ już za siedem godzin dojdą do niego jeszcze trzy osoby, które na mnie zarabiają: sekretarka, urzędniczka i manager
45. wprawdzie rozkład mieszkania pozwala na to biuro (w końcu nade mną jest ambasada), ale obijając się od barku do hi-fi, od hi-fi do łazienki, od łazienki do video nie da się nie spotkać
46. i jest to wtedy wyczuwalne pięć osób za dużo
47. (w dodatku wykańczający mnie dzwonek telefonu)
48. (to, że nie muszę go odbierać, nie zmienia niczego)
49. (*it's mr jebiuszenko sir, would you like to talk to him?*)
50. zresztą jest to stan optymistyczny, bo nie bierze pod uwagę stułetniej Eveliny (wyjechała na parę dni)
51. i tego przesypującego się tłumy żeby:
52. zobaczyć
53. usłyszeć
54. dotknąć
55. rozszarpać
56. no i co?
no i co?
no i co ja wtedy robię?
57. a ja puszczam maszynięrę moją w ruch:
58. przeważnie są to kolędy z płyty „Bracia patrzcie jeno”, ale w zimie przechodzą mi i jest to wtedy Łucja Prus czy Elżbieta Adamiak
59. trzeszczy jak skurwysyn, ale i tak słuchają w skupieniu
60. tłum mnie wykańcza
61. bez względu na fizyczność (patrz: ww. telefon)
62. może więc w tłumie tkwi to, co w sumie boję się nazwać, więc zostanę przy słowie zło
63. och przepraszam, na śmierć zapomniałem: w stanie liczebnym mieści się jeszcze Sunia, która jest zmuszona mnie lubić, bo kobiety nie pozwalają się gryźć (mnie to nie przeszkadza)
64. ostatnia uwaga:
65. dlaczego zacząłem od stanu liczebnego:
66. w codziennym minuta za minutą wydaje mi się złem podstawowym
67. ale nie twierdzę, że mam rację
68. ergo (brawo!) przyczyny:
69. cholera, i tu zaczyna się kłopot
70. zacznę więc od standardu: sława pieniądze i kobiety.

71. sława: od dziesięciu lat piszę: po raz który widzisz moje nazwisko
czarno na białym
72. to że mnie tu trochę napastują?
73. o pieniądzach było cały czas
74. kobiety?
75. swoją żonę zdradziłem ostatni raz pół roku temu i to z poprzednią żoną
76. o co więc chodzi
77. oddaliłem się może za bardzo, ale to tylko po to, żeby ułatwić ci
zrozumienie kreacji:
78. kreuję sytuację:
79. żona stara się spać za nas obydwoje, ograniczając w ten sposób moje
terytorium poruszania się o połowę
80. siostra likwiduje z tego dwie trzecie
81. pozostają w trójkącie barek – kuchnia – łazienka (ta gościnna)
82. urzędnicy eliminują mi łazienkę i trasę do barku
83. jak można mnie jeszcze pytać, dlaczego przeniosłem się do kuchni
(kobiety prawie z niej nie korzystają), jeżeli mam tam w dodatku w razie
czego otwarte przez cały czas drzwi na schodki pożarowe
84. zresztą nawet w kuchni przez te ich herbatki (nie pomaga wystawianie
czajnika na korytarz) pełny azył mam w sumie od 2 w nocy do 12
w południe
85. logiczne jest więc pytanie, co się dzieje od 12 w południe do 2 w nocy?
86. przeważnie polega to na ukrywaniu już to klucza od barku albo
kluczyków od samochodu;
87. sprowadzaniu lekarza;
88. usypianiu;
89. usiłowaniu „porozmawiania”;
90. karmieniu;
91. jeżeli to wszystko nie pomaga wtedy następuje „błyskawiczne upicie
geniusza”
92. ponieważ nie jest to trudne mój dzień trwa około dwóch trzech godzin
(jest już listopad)
93. (1982)
94. podobno zostało jeszcze dwa lata
95. możliwe
96. to jeszcze tylko około czterystu dni, a potem już odliczanie
97. ciekawe
98. (mam na myśli „linię Wisły” w tzw. ograniczonej wojnie nuklearnej)

99. podobno w roku 1983 ma zacząć się moje powołanie
 100. -----
 101. -----
 102. -----
 103. pani na przejściu granicznym powiedziała, że jest z telewizji i że
 chciałaby zadać mi parę pytań
 104. proszę bardzo
 105. czy wracam do Polski dlatego, że moje wyobrażenie Zachodu starło się
 z twardą rzeczywistością?
 106. nie rozumiem
 107. no, czy było mi lekko czy ciężko
 108. ciężko
 109. no właśnie, czy Polakom na Zachodzie jest łatwo o pracę?
 110. nie wiem
 111. jak traktuje się Polaków na Zachodzie?
 112. trudno mi powiedzieć
 113. pani już bez entuzjazmu zaryzykowała jeszcze propozycję wywiadu
 (sława!) o najlepszej porze (między wieczornym dziennikiem a filmem)
 114. lojalnie uprzedziłem, że o tej porze to jestem pijany w trzy dupy
 115. nie znam się na telewizji okazało się: rano się nagra, w dzień się
 przytnie, a wieczorkiem puści
 116. w tej sytuacji zaproponowałem telefon do mojego managera
 117. tym razem pani mnie nie zrozumiała
 118. nie wyobrażasz sobie (taki już jestem bezpośredni), że skręcę
commercial interview za darmo
 119. oczywiście że nie, za taki występ dobrze zapłacą
 120. no więc ok, ale ustal to już z moim managerem
 121. co to znaczy? że ja mam jakiegoś managera?
 122. tak, i dwie sekretarki
 123. to po jaką cholere wracam do Polski?
 124. nie wiem, naprawdę
 125. przysyłałiście mi czasem gazety i tam przeważnie było „Proletariusze
 wszystkich krajów łączcie się!”
128. więc jestem

listopad 1982

Jerzy Seipp

Jerzy Śleszyński

Pamięć

*Memory runs her needle in and out,
up and down, hither and thither*

Virginia Woolf

Nawet idiota nie jest jej pozbawiony
pamięć może mieć jakość całego życia
nie można się nią podzielić
nie można jej zakonserwować
starzeje się
umiera

niech artefaktem pamięci będzie igła
znieruchomiła w tkance życia
wystająca ostrym końcem
ponętna srebrnym błyskiem
ostrzegająca czerwona kroplą
nieprzydatna komuś innemu

Smartbóg

Człowieku przyszłości
wrażliwy na wibracje
wrażliwy na hałaśliwą i tandetną melodyjkę
niewrażliwy na otoczenie

siedzisz skulony
w dłoniach złożonych jak do modlitwy
trzymasz mały prostokąt twojego życia
w pozie poddańczej i nieoryginalnej

już nie wyprostujesz zgiętego karku
nie podniesiesz głowy

nie otworzysz szeroko oczu
wszystkim rządzi nowy dekalog

1. nie będziesz miał innego boga poza smartfonem
2. będziesz używał smartfona swego z błahego powodu i nadaremno
3. każdy dzień będzie świętem twojego smartfona
4. smartfon będzie dla ciebie ważniejszy niż ojciec i matka
5. dla swojego smartfona będziesz gotów zabić
6. smartfon pomoże ci cudzołożyć
7. módl się żeby ktoś nie ukradł twojego smartfona
8. mów do smartfona kłamliwie o swoich bliźnich
9. požądaj nowszego modelu smartfona
10. požądaj wszystkich nowych rzeczy które oferuje smartfon

a przede wszystkim
kochaj swojego smartfona
kochaj go bardziej niż bliźniego swego i siebie samego

Kazimierz Świegocki

Zbuntowane żurawie

Któż pojmie wolę bogów na nieba wyznienie?

Babilońskie

Bo któż poznał myśl Pana?

Rzym 11, 34

Przeleciały żurawie widziadłami nad wodą,
przywidziały się stawom, odwidziały ugorom,
zakrzyczały wniebogłos, że aż księżyc osiwiiał,
i w dół ciemnych torfowisk sypał srebrnym igliwiem.

Bóg przez niebo przeciągał chłodnym dreszczem pod wieczór–
wystawiły żurawie szyje Bogu na przekór
i jak ziarno chłoneły owy dreszcz w wielkim głodzie.
Ale ziarno, choć boskie, zawsze tylko śmierć rodzi.

Więc czym Stwórca nakarmi swoje ptaki śmiertelne,
które lecą nocami jak grad w jego ogrodzie?
Czy otworzy się dla nich jako czyste powietrze
i wprowadzi do wnętrza i na ciszę je zetrze?

Lot ogromniał od grozy, żuraw stapał się w locie,
długą szyję jak żagiew maczał w bagniskach nocy.
Ale ognia, gdy święty, żaden muł nie ugasi.
Spodem nieba szedł tylko dym i lament ptasi.

Za ptakami Bóg szumiał nierozumnie i z gniewem,
jak gdyby w owym szumie nowe ptaki rozsiewał,
by objawić moc swoją ponad ziemią i niebem.

1967

Aryman

Daj mi poznać Pana, który uleczy istnienie.

Zaratustra, Jasna, 44, 16

Aryman jest Bogiem Ciemności,
okiem cyklonów i śmierci.
Czuję go sercem wołającym do gwiazd,
sercem błagającym o rytm i tlen.
Aryman jest rzeczą wszystkich rzeczy,
które we mnie są,
a które nie są światłem,
ani nie są solą,
ani nie są mną.

Poza granicą mowy
i granicą milczenia,
gdzie wygasa sens wszystkich dróg,
gdzie koniec jest początkiem,
więc nie ma początku,
gdzie początek końcem,
więc i końca nie ma,
jest On –
Zły Bóg,
Alfa i Omega bezdomności,
fosforyzujący śmierci blask.

Najlepiej o nim wiem nocą,
kiedy przykładam głowę do ciemności
i słyszę w głębi nieskończony szum,
co idzie od podziemnych wód,
przez które jakby On przechodził
i moje ciało z sobą niósł.

A gdy je kładzie w puchu cieni,
to znów z dna słyszę:
on mnie pozdrawia grozą ziemi,
od której w proch się słowo sypie.

ok. 1975

Nicość

*Gdyby nawet wszechświat go zmiażdżył,
człowiek byłby i tak czymś szlachetniejszym niż to,
co go zabija, ponieważ wie, że umiera,
i zna przewagę, którą wszechświat ma nad nim.*

B. Pascal

Nicość jest matką zwątpienia
w sens wszystkich dróg,
ciemnością początku i końca.

Cóż o mnie wie
ta macocha istnienia?
Ale ja o niej wiem
i to jest straszne,
bo nie prawda, jakoby
to było siłą
i wyższością.

Niekiedy noc mi ją objawia,
gdy czuję przepaść
przez otwarte okno.
A czasem w biały dzień
widzę, jak znika
przedmiot za przedmiotem
w głębokościach mojego patrzenia.

Wiecznie oczekuję od niej
słowa
lub choćby jakiegoś znaku,
ale ona jest ciemność
i wszystko, co od niej pochodzi,
jest ciemnością.

Nic nie twierdzi,
Nic nie zaprzecza,
trwa tylko i pochłania mnie.
A ja mu oddaję i oddaję
swoją niewiadomy lęk.

ok. 1986

Kazimierz Świądecki

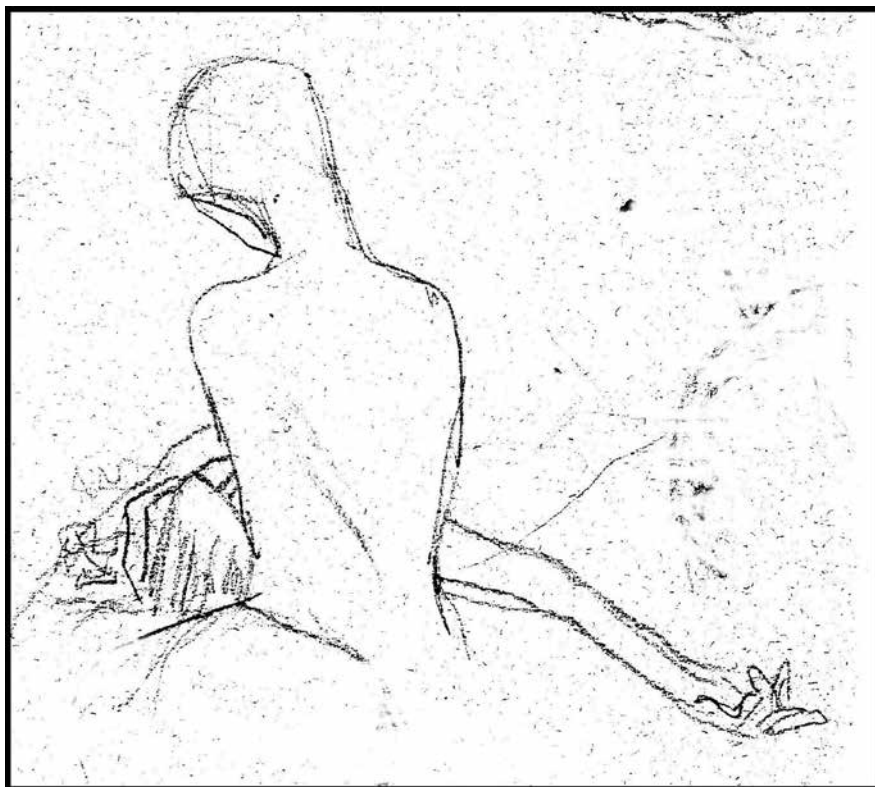
Zbigniew Zbikowski

Melancholia

Jesteś chmurą dwóch burz, dwa w tobie pioruny:
jeden duszę oślepia, drugi dręczy ciało.
Nad bezdenną przepaścią, pod urwistą skałą,
niczym grom niespełniony siną wisisz luną.
A za plecami jaskinia pusta,
w tej pustce Lilith zielonousta.
Siostrą jej żmija, bratem jej bies.
Strzeż się, dziewczyno, strzeż.

Jesteś kwiatem dwóch łąk, dwa zaplatasz wieńce:
jeden makiem goreje, drugi chabrem studzi.
Dla nieba niezdojryta, stracona dla ludzi,
w stu odcieniach szarości rozpościerasz tęczę.
A w skibach smutku, w spłakanych łanach,
Lilith bezgłówna, w węża odziana,
Zatruwa kłosa dojrzałych łez.
Strzeż się, dziewczyno, strzeż.

Jesteś rzeką dwóch mórz, dwa w tobie strumienie:
za dnia kryształ południa, nocą muł północy
układa strofy wierszy i krew w żyłach toczy,
piekłu niosąc pogardę, niebu złorzeczenie.
A Lilith chytra zbliża do ucha
kłamliwe wargi; kto jej posłucha,
w serce mu wsiewa rozpaczny perz.
Strzeż się, dziewczyno, strzeż.



Pieta. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Jerzy Marciniak

Córka wilczycy

(o potomkach Stanisława Przybyszewskiego i Dagny Juel)

(fragment)

Osoby:

Ludwika hr. Broel-Plater

Elisabet von Schulenburg

Panna Młoda (w zaawansowanym wieku)

Dziewczyna

Narrator

Słysząc szum podjeżdżających samochodów oraz odgłosy zamykanych i otwieranych drzwi frontowych

LUDWIKA Ludzie już się schodzą.

ELISABET Widziałam ją w tamtym miesiącu. Szła powoli i z daleka wyglądała jak mężczyzna, była z wilczurem Koniewem i paliła fajkę. Dopiero jak podeszła bliżej, to ją poznałam.

LUDWIKA Od kilku lat prawie zawsze pali fajkę, nieraz tylko cygaro. Koniew i Major to ostatnio jej wielcy ulubieńcy, więc często się z nimi pokazuje. Chociaż jak szła na wywiad z noblistą bez Nobla Jean-Paul Sartrem, to wzięła ze sobą Timoszenkę.

ELISABET Tam też pokazała swoje przywiązanie do przyjaciół-psów, bo najpierw kazała Timoszence usiąść i podać łapę nobliście bez Nobla, a dopiero potem przywitała się z nim sama.

LUDWIKA Na szczęście on to docenił.

ELISABET Dostała jednak sporo przykrych telefonów, że nazywać w ten sposób psy to niemoralne, to teraz publicznie woła na nich zdrobniale; Troc, Koni, Timo.

LUDWIKA Jak popije, to nie ma ani zahamowań, ani skrupułów i swoim zwyczajem robi i mówi, co chce.

ELISABET Po powrocie z Meksyku, to prawie cały czas widać ją było z Trockim, chociaż on był agresywny, dużo czekał i nieraz nie chciano wpuścić ich do autobusu.

LUDWIKA Sama byłem kiedyś świadkiem, jak kierowca zwracał jej uwagę, że pies daje głośno głos a ona jest w stanie wskazującym na nadmierne spożycie alkoholu.

ELISABET I co?

LUDWIKA I nic. Powiedziała, że co do niej, to się zgadza, ale pies jest trzeźwy.

ELISABET Ona czy trzeźwa, czy podpita, to i tak szybkość myślenia ma imponującą.

LUDWIKA Zapamiętałam jej postać po powrocie z Gruzji, z grobu babki Dagny, jak była przez długi czas taka smutna i tak mocno przygnębiona. I była wtedy jakby całkiem inna, mało z domu wychodziła i praktycznie jedynymi istotami z którymi rozmawiała, to był Koniew i Timoszenko.

ELISABET Koniew był stary, chorowity i szybko zdechł, Major wpadł pod samochód i podzielił jego los. A kilka miesięcy później Trocki się wściekł, bo go chory lis ugryzł w lesie i weterynarze nie mogli go wyleczyć. Ona to bardzo przeżywała. Do mojej koleżanki powiedziała; jak pan umiera to pies głośno wyje, a jak Troc odszedł, to mój płacz był chyba jeszcze bardziej donośny.

LUDWIKA W młodości była atrakcyjną inteligentną dziewczyną z dobrej i bogatej rodziny, wykształconą w dobrych zagranicznych Uniwersytetach, ale...

ELISABET Nie utrzymywała kontaktów z mężczyznami, od rodziny się trochę odsunęła, więc ten kontakt ze światem zwierząt nie powinien dziwić.

LUDWIKA Zostawmy ten temat.

Przerywnik muzyczny

ELISABET Rozmawialiśmy trochę, tak o niczym, że jej ojciec był dyplomatą we Francji, Niemczech i ambasadorem w Szwajcarii. Ja jej powiedziałam, że mój kuzyn Friedrich von der Schulenburg był ambasadorem Niemiec w Moskwie przed wybuchem drugiej wojny światowej, był przy podpisywaniu Paktu Ribbentrop – Mołotow a po zamachu na Hitlera... powieszono go.

LUDWIKA W rodzinie mojego drugiego męża rozstrzelano Leona hr. Broel-Platera, gdyż w powstaniu styczniowym; pierwszy podniósł

sztandar powstania w guberni Witebskiej. Pochowano go na miejscu kaźni, a grób końmi stratowano.

ELISABET Inny mój przodek był ministrem w rządzie Augusta Mocnego i przygotowywał z ambasadorem rosyjskim drugi rozbiór Polski.

LUDWIKA Dla mnie jako Polki to jest straszne.

ELISABET Dodałam również, że przed wojną mój ojciec miał jedenaście tysięcy hektarów lasu i piękny zamek Falkenberg położony u podnóża gór. I to wszystko straciliśmy.

LUDWIKA Rodziny Broel-Platerów i Zyberk-Platerów straciły po wojnie... aż nie chcę kończyć zdania.

ELISABET Najstarszej córce zawsze mówiłam; wspominaj naszą wielkość tak, żeby twoje trzy młodsze siostry nigdy nie zauważyły łez w twoich oczach.

LUDWIKA Znam ten ból.

ELISABET Tak potoczyła się historia w niektórych krajach.

LUDWIKA Jadwiga interesuje się historią europejską i historią Polski.

ELISABET Trudno się temu dziwić.

LUDWIKA Pokazała mi niemieckie wydanie ksiązek jej dziadka i zaczęła wypytwać, dlaczego wtedy, na przełomie wieków wielu znanych ludzi tak ciągnęło do Berlina? Myślałam, że zacznie coś mówić o dziadku Stanisławie, czy babce Dagny a ona powiedziała, nasz Strinberg tam pojechał i Edward Munch... I tego urwanego w połowie zdania już nie kontynuowała.

LUDWIKA I dokończyłaś za nią?

ELISABET Powiedziałam, że to był taki czas, gdy my Niemcy do swojej dokładności, rzetelności w pracy i dyscyplinie w życiu rodzinnym, dołożyliśmy jeszcze jeden walor; uwolniliśmy nasze dusze i puściliśmy wolno myśli.

Wchodzi DZIEWCZYNA i podaje im herbatę

DZIEWCZYNA Ludzie przychodzą i przychodzą. Upiekłam polską babę, mazura i sękacza.

LUDWIKA Dobre polskie przysmaki.

DZIEWCZYNA Myślę, że Jadwiga się ucieszy i przypomni to jej dzieciństwo, gdy w pałacu w Rydsgård zatrudniali kucharza z Polski i na Wielkanoc, czy Boże Narodzenie jedli polskie wypieki.

ELISABET Też z chęcią się poczęstuję.

DZIEWCZYNA Polecam.

DZIEWCZYNA wychodzi

LUDWIKA To jest właściwie jej pierwszy publiczny odczyt o twórczości dziadka Stanisława Przybyszewskiego.

ELISABET Dotychczas zawsze odmawiała.

LUDWIKA Gudrun Westrup obwiniała częściowo Przybyszewskiego o śmierć siostry Dagny, to może obawiała się pytań ze strony publiczności. Była na spotkaniu z aktorem Maksem von Sydow w auli Uniwersytetu Lund i widziała jak on peszył się, gdy pytano o te tragiczne zabójstwa w jego rodzinie. To możliwe, że nie chciała doznać takich przeżyć, albo może nie była wtedy jeszcze wystarczająco przygotowana, by takim pytaniom stawić czoło.

ELISABET A może chciała, by tajemnice rodzinne pozostały tylko tajemnicami rodzinnymi i ból był tylko ich bólem. My po śmierci Friedricha nie chcieliśmy kondolencji, bo uważaliśmy, że inni nie będą potrafili przeżywać tego bólu tak, jak on powinien być przeżywany.

LUDWIKA Też tak mogło być.

Popijają herbatę

ELISABET Drażniło ją też, że w artykułach o jej dziadku, drukowanych w Szwecji czy Norwegii, podkreślano bardzo sympatię Przybyszewskiego do wszystkiego co napisał Fryderyk Nietzsche, tak jakby jej dziadek chciał stamtąd czerpać wzory literackie, czy światopoglądowe.

LUDWIKA Najbardziej przeżyła serial o Augustie Strinbergu, pokazywany w szwedzkiej telewizji, gdzie jej babkę Dagny pokazano jako kobietę, delikatnie mówiąc, lekkich obyczajów. I powtarzano wiele razy przezwisko, które wymyślił dla niej August Strinberg: Aspazja. Wiesz, to pochodzi z legendy o ateńskim rządcy Peryklesie i jego pięknej, inteligentnej, ale bardzo rozpustnej kochance.

ELISABET W filmie Petera Watkinsa o Edwardzie Munchu też nie przedstawiono Dagny Juel lepiej.

LUDWIKA Czytałam wywiad z Iwą Przybyszewską w piśmie „Vi” z 1987 roku to podkreślała, że dla niej i dla brata Zenona ten serial i ten

film, to były bardzo ciężkie i nieprzyjemne przeżycia. Uważali, że ich matka była w rzeczywistości inna.

Piją herbatę

LUDWIKA Jadwiga już powinna być.

ELISABET No właśnie.

Piją herbatę

LUDWIKA Powiedziała kiedyś, żebym przeczytała a potem opowiedziała jej poemat dziadka Stanisława *Nad morzem*.

ELISABET Wyprowadziła się z Lund i osiadła w tej małej wiosce rybackiej Abbekås. Gdańsk i Abbekås leżą nad tym samym morzem, tylko na przeciwległych brzegach.

LUDWIKA Patrzyłam na nią, na kopczą się fajkę, którą trzymała w ręku i nic z tego nie rozumiałam, bo przecież ona mogła przeczytać to sama.

ELISABET Może nie chciała sama sobie tego opowiadać albo brakowało jej dźwięków żywego słowa. Ona nieraz kierowała tak rozmową, żeby ktoś dokładnie wypowiedział to, co ona chciała usłyszeć.

LUDWIKA W Gdańsku Iwa, już jako baronowa Bennet, spotkała się ze swoim ojcem Stanisławem Przybyszewskim. Prawdopodobnie ojciec jej nie miał wytwornego mieszkania, bo spotkali się w restauracji na starym mieście. Nie pamiętała go, bo widziała go ostatni raz jak miała dwa lata. On się bardzo wzruszył na widok Iwy. Był jednak z Jadwigą Kasprowicową, która zachowywała się podobno bardzo chłodno.

ELISABET Iwa nie znała języka polskiego.

LUDWIKA Rozmawiali po niemiecku. Znała zresztą ten język doskonale, gdyż prawie całą pierwszą wojnę światową spędziła w Niemczech. W Dreźnie i Lipsku, gdzie doskonaliła język i oczywiście grę na fortepianie. Potem spotkała go jeszcze raz w Warszawie na Zamku Królewskim, gdzie Przybyszewski miał jakiś czas swoje mieszkanie.

ELISABET Jadwiga podkreślała to z dumą, że jej dziadek Stanisław był za przyjaźniony z Prezydentem Stanisławem Wojciechowskim.

LUDWIKA Mnie mówiła parę razy; przed dziadkiem Stanisławem klęczały tłumy w Krakowie, czciły go i wielbiły, a później wszyscy odwrócili się od niego.

ELISABET Oni uważali, że na ich rodzinie ciążyło fatum rodzinne lub jakaś klątwa.

LUDWIKA To był ten lęk przed utratą popularności. Mój pierwszy mąż Ludomir Rogowski miał to samo, też był oryginałem, bogatym, dosyć sławnym, a gdy coś mu nie szło, to wpadał w złość i krzychał: wszyscy się na mnie zawzięli, szczęścia nie mam, Matka Natura mi dała, a źli ludzie mi to chcą odebrać, teatr La Monnaie w Brukseli chciał wystawić moją operę *Tamara*, zakwalifikowali ją oficjalnie do wystawienia, to Polacy robili wszystko, żeby mnie zniszczyć, zniszczyć to, co stworzyłem, zniszczyć ten skrawek polskiej muzyki, który nigdy nie powinien być niszczony.

ELISABET Zazdrość tak jak wiatr czy burza, nie ma kraju pochodzenia, to wszystko po prostu jest.

LUDWIKA Ja myślę, że Jadwigi ekstrawagancja, te dziwne ubiory, pociąg do alkoholu, namiętne palenie fajki czy cygar to też po to, żeby zabić niepewność jutra.

ELISABET Spytałam ją kiedyś, przetłumaczyłaś prawie trzysta książek, ale prawie wszystkie były dla dzieci? Ona się skrzywiła... potem spojrzała jakoś tak w bok i odeszła.

LUDWIKA Trzeba ją rozumieć, ona bezdietna, to...

ELISABET Masz rację, nie powinnam wtedy tak formułować pytania. Tym bardziej, że miałam cztery córki i oczekiwałam na dniach wnuków.

Piją herbatę

LUDWIKA Dlaczego Jadwiga nie przychodzi?

ELISABET Też tego nie rozumiem. Tyle lat nie zgadzała się na publiczny odczyt o dziadku Stanisławie, teraz się zgodziła i jej nie ma.

Piją herbatę i jedzą ciasto

LUDWIKA Smaczne te polskie wyroby.

ELISABET Westrupowie przejęli po Przybyszewskich i rodzinie Juel trochę uzdolnień artystycznych, ale i skłonność do alkoholu i palenia tytoniu.

LUDWIKA Tak, Iwa często mówiła o Fryderyku Chopinie i grała jego utwory. To mi przypominało takie zdarzenie z Wilna. Mój pierwszy mąż prowadził tam Orkiestrę Symfoniczną i dyrygował Pierwszy

Koncert fortepianowy e-moll Chopina. I taki elegancki pan z widowni, podał mężowi na zakończenie bukiet kwiatów i powiedział; jestem krewnym szwedzkiego pianisty, który był uczniem Chopina i zawdzięczał swojemu mistrzowi bardzo, bardzo dużo.

ELISABET Wiem, ten Szwed to po prostu Thomas Tellefsen, pianista i kompozytor. Siostra Dagny jako początkująca artystka operowa śpiewała pieśni do jego muzyki, na swoim pierwszym koncercie w Oslo.

LUDWIKA W rodzinie Juel i w rodzinie Westrupów czy baronów Bennet bardzo często grano Chopina. I to grano po mistrzowsku. Trzeba przyznać, że szwedzka linia rodziny Juel, podobnie jak i norweska, wydała wielu dobrych, uznanych artystów, no, prawników i profesorów także. A przecież... Nie wiem jak to ująć.

ELISABET Wiem co masz na myśli. Juel to stara rodzina duńska, której jeden z przodków zasłynął w Danii tym, że dysponując finansami wojskowymi, dorobił się wielkiego manka za co został aresztowany. Wkrótce jednak uciekł z aresztu.

LUDWIKA Z rozkazu króla Danii był więźniem szczególnie pilnowanym, przebywał w lochu do którego wejście zostało zamurowane, na rękach i nogach miał grube kajdany, był też łańcuchem przywiązany do ściany. Na zewnątrz było zawsze dwóch strażników z psami.

ELISABET Uciekł jednak z więzienia i uciekł z Danii. Przy brzegu Szwecji znaleziono, następnego dnia o świcie, rybacką łódkę. W środku był martwy adiutant Juela i miał poderżnięte gardło.

LUDWIKA Tak. I to jest ta pierwsza, wielka tajemnica rodziny Juel i rodziny Westrup.

ELISABET W Szwecji nabył majątek ziemski i szybko się dorobił. Był to początek XVII wieku, więc...

LUDWIKA Dawno temu.

ELISABET Gudrun, siostra Dagny, pięknie grała na fortepianie. Iwa Przybyszewska studiowała grę na pianinie w Dreźnie przez wiele lat. I Wilhelm Westrup wynajął dla niej najlepszych profesorów. Zresztą nigdy nie pracowała zawodowo, miała bogatych przybranych rodziców, później bogatych mężów, to nieraz grała całe dni a obowiązki domowe wykonywały służące.

LUDWIKA Pamiętam jak mój pierwszy mąż, Ludomir Rogowski, grał mazurki Chopina na koncertach w Paryżu, Nicei, Vill Franche sur Mer czy Monte Carlo, to krytycy muzyczni mówili, te mazurki to takie proste utwory, kilka nut na krzyż. A Ludomir na to; tak proste, ale

najtrudniejsze w nich to jest zagrać tę polską ciszę pomiędzy dźwiękami. Krytykowano męża, że ma taki przefilozofowany sposób pisania muzyki, chociaż... Wtedy na południu Francji powstała *Villa franca* czy *Fantasmagorie* i symfonie. I to według mnie jest takim czystym impresjonizmem, a nie żadnym przefilozofowaniem.

ELISABET Wspomniałaś baronów Bennet. Córka Stanisława Przybyszewskiego miała szczęście, że wyszła za mąż za barona i to przystojnego, wykształconego i bogatego.

LUDWIKA Iwa z urody wdała się do matki Dagny, była bardzo ładna. I do tego zawsze elegancka. Cenię ją też i za to, że pomagała finansowo przyrodniej siostrze Stanisławie, gdy ta pisała dramat *Sprawa Dantona*, bo bez tej pomocy to literatura polska chyba byłaby skromniejsza.

ELISABET Jadwiga włosy przepasuje taką ciemną przepaską, tak na modłę indiańską. Ten jej wieloletni pobyt w Meksyku... Raz zażartowała; poznałam się z Wielkim Czarownikiem Wymarłego Plemienia Inków, który był niskiego wzrostu i by ludzie nie zauważali smutku w jego oczach, to zakładał czarną przepaskę nisko na czole.

LUDWIKA Palenie fajki, to też tak trochę z indyanizmu.

ELISABET Dzieci Stanisława i Dagny miały w sumie szczęście, że adoptowali ich Westrupowie. Jeśli porównamy ich życie z losem dzieci tych z Martą w Niemczech, to przepaść ogromna. Z jednej strony bogactwo a z drugiej strony, czyli tam w Niemczech, to bieda i tragiczny los syna w Związku Radzieckim.

LUDWIKA Honorowy konsul angielski Wilhelm Westrup, przystojny, starannie wykształcony w Szwecji i w Szkole Handlowej w Hamburgu.

ELISABET Jego żona Gudrun, siostra Dagny, też była wyjątkowej urody i kobietą wykształconą. Przez całe dnie grała na fortepianie: Schumann, Grieg i Chopin. Jak nie grała to pozowała malarzom do portretów.

LUDWIKA Nie tylko ona, bo Anders Zorn namalował portret...

ELISABET Prezydenta USA o nazwisku Thomas Woodrow Wilson i ten portret wisi do dzisiaj w Białym Domu.

LUDWIKA A następną osobą, którą Anders Zorn portretował była...

ELISABET Córka króla szwedzkiego Sofia Bernadotte.

LUDWIKA A trzecia z kolei?

ELISABET Gudrun Westrup, czyli macocha Zenona i Iwy Przybyszewskiej.

Jerzy Marciniak

Małgorzata Karolina Piekarska

Kuzyn

(fragmenty scenariusza filmu krótkometrażowego)

WNĘTRZE. MIESZKANIE. SALON. PÓŹNE JESIENNE
POPOŁUDNIE.

Mieszkanie w bloku na piętrze. Trzy pokoje z kuchnią i łazienką razem z WC. ANNA (drobniutka kobieta po 40.), chodzi z konewką i podlewa kwiaty. MARCIN (wielki, postawny mężczyzna pod 50.) siedzi w salonie na kanapie i pilotem przerzuca kanały w telewizorze. Na stole ciemna serweta, na niej talerz z jabłkami, nóż do owoców, obierki jabłek. Anna przechodzi obok stołu, podchodzi do parapetu i podlewa kwiaty.

ANNA

Nie zdążyłam rano.

Marcin wyraźnie ją ignoruje.

MARCIN

Hmm.

Anna idzie z konewką w kierunku drzwi. Po drodze przechodzi obok stołu, niechcący strąca nóż, który z brzękiem upada na ziemię.

ANNA

Ktoś się do nas spieszy.

MARCIN

(Spogląda na Annę
z politowaniem)

Ty i te twoje przesady. Lepiej zrób
herbaty.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. KUCHNIA.

Kuchnia z oknem. Na środku stół z czterema krzesłami. Anna włącza stojący na blacie czajnik elektryczny, podchodzi do parapetu i podlewa stojący tam kwiatek. Zamyśla się. Obserwuje padające na szybę krople deszczu. Nagle słysząc za oknem grzmot. Anna podskakuje przestraszona.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. ŁAZIENKA.

Anna wlewa wodę do niewielkiej miski i stawia ją na pralce. Otwiera szafkę wiszącą nad pralką. Wyjmuje proszek. Wsypuje go do miski. Wkłada do środka kilka brudnych ścierek.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. SALON.

Marcin siedzi na kanapie przed telewizorem i zmienia kanały w TV. Słychać głos Anny.

ANNA

Ciekawe, jak małemu poszedł
egzamin.

Marcin przestaje zmieniać kanały w TV. Zatrzymuje się na sportowym.

MARCIN

Chciałem ci przypomnieć, że nasz
syn ma dwadzieścia lat i już
dawno...

Do pokoju wchodzi Anna. Siada.

ANNA

Wiem. Nie jest mały. Ale dla mnie
jest.

MARCIN

I dlatego uciekł na studia
do innego miasta. Co z tą herbatą?

Anna zrywa się z kanapy i wybiega z pokoju.

MARCIN

*(Mruczy pod nosem
do siebie, wyraźnie zły)*

Od kiedy Piotr z nami nie
mieszka to już ni obiadu, ni
kolacji, ni herbaty.

*Słychać dźwięk telefonu. Marcin wstaje z kanapy i odbiera stojący na komo-
dzie telefon. Ścisza pilotem telewizor.*

MARCIN

Kto?... A...! Cześć! Tak. Kiedy?
Aha. Dobrze. No to cześć!

W momencie, w którym kończy rozmowę w progu pokoju pojawia się Anna. Przynosi kubki z herbatą. Ostentacyjnie stawia na stole. Marcin wraca na swoje miejsce. Ogląda w telewizorze wiadomości sportowe.

ANNA

Kto dzwonił?

MARCIN

Zdzisław.

ANNA

Jaki Zdzisław?

MARCIN

Kuzyn.

ANNA

Jaki kuzyn?

Anna siada na kanapie koło Marcina. On cały czas patrzy w telewizor.

MARCIN

Boże!

(przedszczykując)

„Jaki”! Mój!

ANNA

*(zdumiona)*Ty masz jakiegoś kuzyna
Zdzisława?

MARCIN

Przecież był u nas na ślubie.

ANNA

Kiedy to było?! Ponad dwadzieścia
lat temu! I co?

MARCIN

Będzie u nas za dwie godziny.

ANNA

(Zrywa się z kanapy)

Za dwie godziny? Po co?

MARCIN

Ma jakieś sprawy w Warszawie
i pytał, czy może przenocować.

ANNA

Przenocować?!!

MARCIN

Yhm.

Anna wychodzi z pokoju. Po chwili z kuchni dobiega jej głos.

ANNA

Przecież... Nawet nie mamy czym
poczęstować...

MARCIN

Mogłem kupić. Wracając z pracy
dzwoniłem do ciebie. Nie
odebrałaś.

Anna wraca do pokoju.

ANNA

Zostawiłam w pracy komórkę.
Też byłam w sklepie. Gdybym
wiedziała, że będą goście...

MARCIN

*(przerwywając Annie w pół
zdania)*

A co kupiłaś?

ANNA

Znicze. Była promocja,
a za tydzień Zaduszki.

MARCIN

(zrezygnowany)

No tak. Dla ciebie najlepszy
krewny, to martwy krewny.

Marcin wstaje z kanapy.

ANNA

*(bardziej twierdząco niż
pytająco)*

Pójdziesz.

Marcin patrzy na Annę z politowaniem.

MARCIN

(kpiąco)

Nie. Poczęstujemy
Zdzisława zniczami.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. PRZEDPOKÓJ.

*Dzwonek do drzwi. Anna idzie otworzyć. Za drzwiami stoi łysy mężczyzna
(lat ok. 45-50) w czarnym płaszczu. Jest bardzo elegancki, chociaż przemok-
nięty.*

ANNA

Zdzisław?

Mężczyzna potakuje. Anna wpuszcza go do mieszkania.

ANNA

Rozbieraj się. Marcin mówi,
że przyjedziesz. Poszedł
po zakupy. Jak wróci, zrobię
kolację.

Zdzisław zdejmuje przemoczony płaszcz.

ZDZISŁAW

(cicho, onieśmielony)

Proszę nie robić sobie kłopotu.

Anna bierze płaszcz Zdzisława i wieszka na wieszaku.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. SALON.

Anna i Zdzisław siedzą przy stole. Na nim jasna serweta wyglądająca na elegancką. Przed nimi eleganckie filiżanki z herbatą i czajnik – komplet do filiżanek oraz na spodeczku cytryna pokrojoną w plasterki. Anna nerwowo miesza herbatę. Zdzisław rozgląda się po salonie. Widać szafę z książkami, półkę z bibelotami. Wśród nich lichtarz z długimi nowymi świecami. Wielka komoda z mnóstwem szuflad. Pod telewizorem na półce płyty DVD i CD. Na jednej ze ścian pejzaż. Na drugiej stary zegar z szyszkami.

ANNA

U nas właściwie nic ciekawego.

A u ciebie?

ZDZISŁAW

W porządku.

ANNA

Oboje pracujemy. Ja ciągle
w urzędzie miasta. Marcin cały
czas jest radcą w spółdzielni.

ZDZISŁAW

*(Potakując jakby
z pełnym zrozumieniem.)*

To dobrze.

ANNA

Piotruś studiuje we Wrocławiu.
Dobrze mu idzie.

Kłopotliwe milczenie. Za oknem słycać grzmot. Anna na dźwięk pioruna porusza się nerwowo. Zdzisław dopija herbatę i odstawia filiżankę. Anna bierze do ręki czajnik i chce mu dolać.

ANNA

Jeszcze?

Zdzisław zakrywa dłonią filiżankę. Bierze ze stołu papierową serwetkę i delikatnie wyciera kąciki ust. Anna odstawia czajnik.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. POKÓJ SYNA.

*Anna sprząta pokój syna. Przekłada na łóżko druciany wieszak, który leżał na biurku. Ścieli łóżko. Najpierw podnosi materac, który owija prześciera-
dłem z gumką. Nie zauważa drucianego wieszaka, który ześlizguje się pod materac. Za oknem słycać dalekie grzmoty.*

WNĘTRZE. MIESZKANIE. SALON.

*Anna i Zdzisław siedzą przed telewizorem. Milczą. Za oknem słycać deszcz monotonnie i głośno walący o szyby. Zdzisław stara się walczyć z ogarniają-
cą go sennością. W pewnym momencie opada mu głowa na piersi i zaczyna pochrapywać. Anna nie wie, jak się zachować. Patrzy na drzwi, jakby oczekiwała ratunku. Po chwili rozkręca głośniej telewizor. Zdzisław budzi się. Potrząsa głową. Walczy z sennością.*

ANNA

Może kawy? Marcin naprawdę
zaraz...

ZDZISŁAW

(Przerywa i mówi
ziewając.)

Nie. Nie trzeba.

ANNA

Bo ja ci już posłałam. Tylko
kolacja...

ZDZISŁAW

Nie jestem głodny.

ANNA

To może idź się położyć? Jutro
zrobię dobre śniadanie.

WNĘTRZE. KLATKA SCHODOWA.

Przemoczony Marcin w kurtce z zakupami w siatkach staje przed windą. Składa parasol. Naciska guzik. Słysząc, że gdzieś wysoko rusza winda. Marcin stawia siatki z zakupami na posadzce. Słysząc daleki grzmot. Światło na klatce miga i gaśnie. Słysząc, że gdzieś wyżej zatrzymuje się winda. Po chwili światło się zapala. Winda jednak nie rusza. Marcin znów naciska guzik. Winda rusza, ale po chwili znów słysząc grzmot. Światło znów miga i gaśnie. Winda znów się zatrzymuje gdzieś wyżej. Światło się zapala. Marcin kręci głową z niezadowoleniem.

MARCIN

Cholera.

Marcin podnosi z posadzki zakupy i idzie w kierunku schodów.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. PRZEDPOKÓJ.

Wchodzi Marcin. Potrząsa parasolką. Woła w głąb mieszkania.

MARCIN

Strasznie leje.

Anna wbiega do przedpokoju.

ANNA

Ciszej.

MARCIN

Co „ciszej”?

ANNA

Zdzisław się położył.

MARCIN

(zdumiony ścisząc głos)

To on już jest?!

Marcin dopiero teraz spostrzega na wieszaku płaszcz Zdzisława. Dotyka go.

ANNA

Jak widzisz.

(...)

WNĘTRZE. MIESZKANIE. PRZEDPOKÓJ.

Blade światło latarki oświetla przedpokój. Jest pusty. Tylko przez szparę w niedomkniętych drzwiach łazienki sączy się jakieś migające światło. Anna z Marcinem idą na palcach w tym kierunku. Anna zaciska dłoń na schowanej w kieszeni szysce zegara. Stają pod drzwiami. Anna dygoce. Marcinowi

też drży ręka w której trzyma latarkę. Waha się czy chwycić za klamkę i otworzyć je szerzej. Powoli wsuwa głowę.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. ŁAZIENKA.

Anna i Marcin stoją w progu łazienki. Widać stopioną plastikową półkę pod lustrem nad umywalką, w której leży rozbity kubek z resztkami kawy. Oba wkłady do zniczy, przy których światło Anna moczyła głowę pod kranem, wypaliły się niemal do końca. Anna bierze kubek do zębów, nalewa wody i gasi nią resztki świec. Dotyka spalonej półki. Kręci głową z dezaprobatą.

MARCIN

Półka nieważna. Nie mamy świec.
Za moment nie będzie latarki...

ANNA

*(jakby mówiła do siebie
i nie słuchała Marcina)*

A on się nie obudził.

Marcin spostrzega wiszącą nad pralką szafkę. Trąca Annę, oświetlając szafkę bladym strumieniem światła gasnącej latarki.

MARCIN

Dawaj maszynkę elektryczną.
Przełożymy baterie.

Anna podchodzi do szafki, wyjmując maszynkę. W tym momencie za oknem słychać grzmot. Annie ręce tak jej się trzęsą, że baterie z maszynki wpadają do miski z namoczonym praniem.

MARCIN

Pięknie! Dawaj znicze.
Za moment będziemy siedzieć
zupełnie po ciemku.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. KUCHNIA.

Na kuchennym stole otwarta zgrzewka z sześcioma zniczami. Brakuje dwóch. Anna przyświeca sobie zapalkami, które jej co chwilę gasną. Wyjmuje ze zgrzewki dwa znicze i wychodzi.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. SALON.

Marcin siedzi przy stole i świecąc sobie mdłym światłem latarki liczy banknoty w portfelu Zdzisława. Wchodzi Anna. przynosi znicze. Spostrzega, co robi Marcin.

ANNA

(głośno)

Zostaw to!

MARCIN

Ciszej! On ma tu ponad piętnaście tysięcy!!!

ANNA

(wściekła)

Słuchaj! Gównu mnie to obchodzi! Boję się!
 Facet nic nie miał w kieszeniach marynarki,
 ale przysięgam, że on coś ścisnął w rękę
 w kieszeni, jak tu przyszedł. Może to leży
 w pokoju, gdzie śpi?

WNĘTRZE. MIESZKANIE. POKÓJ SYNA.

Anna i Marcin stoją w pokoju. Anna w lewej dłoni ma znicz. Prawą zaciska na schowanej w kierzni swetra szyszce. Marcin wiesza marynarkę na oparciu krzesła. Anna oświetla zniczem pokój. Zdzisław śpi na brzuchu. Anna świeci na biurko. Leży tam elegancki telefon. Marcin bierze go do ręki, ale aparat jest wyłączony. Marcin próbuje go włączyć, ale bezskutecznie. Chce go odłożyć i wtedy oboje z Anna dostrzegają bardzo elegancki nóż sprężynowy – niezbędnik.

ANNA

(z przerażeniem)

O Boże!

MARCIN

(szepcem)

Ciszej! Obudzisz go!

Anna znów zaciska dłoń na szyszce. Po chwili jednak wyjmuje rękę z kieszeni i sięga po nóż Zdzisława.

ANNA

(szepcem)

Ja wiem, kto to jest! Zanim
 wyłączył się telewizor
 pokazywano portret pamięciowy
 bandyty...

MARCIN

*(szepciem, powoli jakby
przypominając sobie
sytuację)*

Kojarzę. Mówiłaś, że podobny
do Zdzisława.

ANNA

(szepciem)

A niepodobny? Też widziałeś ten
portret.

MARCIN

(szepciem)

Ale nie widziałem TEGO
Zdzisława.

Marcin pokazuje ręką śpiącą postać.

ANNA

(szepciem)

Boże! Gdybyśmy mieli telefon!
zadzwoiłabym, że facet
z portretu u nas nocuje.

MARCIN

(szepciem)

Już miałaś okazję.

*Anna zaciska zęby ze złości. Marcin nachyla się nad Zdzisławem i próbuje
zobaczyć jego twarz. Bezskutecznie. W tym czasie Anna chce obejrzeć nóż
Zdzisława, ale upuszcza go. Nóż wpada do niedomkniętej szuflady łóżka.*

ANNA

Cholera!

MARCIN

(szepciem)

Ciii!

*Zdzisław przewraca się na wznak. Anna i Marcin zastygają w bezru-
chu. Po chwili mężczyzna zaczyna chrapać. Marcin wyjmuje z ręki Anny
znicz i próbuje obejrzeć twarz Zdzisława. W tym czasie Anna klęka koło
łóżka i w szparze niedosuniętej szuflady zaczyna po omacku szukać noża
Zdzisława. Znajduje. Podnosi się gwałtownie i wytrąca Marcinowi z ręki
znicz, który upada na łóżko i gaśnie.*

WNĘTRZE. MIESZKANIE. SYPIALNIA.

Szerokie łóżko. Po obu stronach szafki nocne. Na każdej z nich po zniczu. W pokoju są jeszcze szafa, komoda i toaletka z lustrem. Na toalecie kolejny znicz, obok butelka z wodą i dwie szklanki. Przed toaletką nie ma jednak żadnego siedziska. Jedyne w pokoju krzesło podpira klamkę drzwi. Anna siedzi na łóżku. Trzęsie się. Lewą rękę trzyma w kieszeni. Obok Marcina. Głaszcze ją po ramieniu.

MARCIN

Uspokój się.

Anna szlocha. Opiera głowę na ramieniu Marcina.

MARCIN

Może ja pójde na policję?

ANNA

Nie zostanę tu sama. Te znicze jak w rodzinnym grobowcu.

MARCIN

To chodź ze mną.

Anna kurczowo uczepia się Marcina. Zaczyna szlochać.

ANNA

Nie wychodźmy. Może jego koledzy czyhają na nas na klatce.

Marcin nie przestaje jej głaskać.

MARCIN

Uspokój się.

ANNA

Ale rozpoznałeś go czy nie?

Prawda, że to ten z listu gończego.

MARCIN

(nieszczercze)

Moim zdaniem to nie on.

ANNA

(natarczywie)

Ale przyjrzałeś mu się?

MARCIN

Tak.

ANNA

(wzdycha ciężko)

Nie jesteś szczerzy. Ale to w sumie
cudowne, że kłamiesz, by mnie
uspokoić.

Marcin obejmuje Annę i przytula.

MARCIN

Już piąta. To się lada moment
wyjaśni. Nic nam nie robi.
Telefon ma rozładowany. W domu
nie ma więcej świec. Wszystkie
znicze są tutaj. Mamy jego nóż.

*Marcin klepie się dłonią po kieszeni. Przytula Annę, głaszcząc ją po twarzy,
poprawia jej włosy.*

MARCIN

Nie wiem, jak mogłaś go
pomylić ze Zdzisławem. (*Nagle
z ożywieniem.*) Ty wiesz, jak
wygląda prawdziwy Zdzisław?

ANNA

Gdybym wiedziała...

WNĘTRZE. MIESZKANIE. SYPIALNIA. CHWILĘ PÓŹNIEJ.
*Na łóżku rozrzucone albumy ze zdjęciami. Marcin i Anna oglądają je.
Marcin podstawia Annie pod nos jedno zdjęcie.*

MARCIN

O! To jest Zdzisław.

ANNA

(*ożywia się*)

Teraz go pamiętam! Dzieciaki
straszył! Po oczepinach założył
sobie mój welon na twarz i biegał,
udając zjawę.

Przeglądają zdjęcia ze ślubu.

MARCIN

(*również ożywia się*)

Faktycznie! Bo on złapał moją
muszkę.

*Oboje oglądają zdjęcia. Na chwilę zapominają o Zdzisławie. Anna przytula
się do Marcina. Marcin obejmuje ją obiema rękoma i całuje w czubek głowy.*

Przez chwilę trwają tak w bezruchu. W mieszkaniu panuje zupełna cisza. Słysząc tylko deszcz bębniący o szyby. Grzmot przypomina im całą sytuację.

MARCIN

(Szeptem)

Rano wszystko się wyjaśni.

ANNA

(Szeptem)

Do rana to ja chyba umrę
ze strachu.

MARCIN

(Szeptem)

Nie możesz umrzeć. Co ja bez
ciebie zrobię.

Marcin znów całuje Annę w czubek głowy. Potem w czoło.

ANNA

(Szeptem)

Dawno tego nie robiłeś.

Anna kładzie mu głowę na piersi. Marcin całuje ją w kark, potem w szyję.

MARCIN

(Szeptem)

Czego?

Anna podnosi głowę. Spogląda mu w oczy.

ANNA

(Szeptem)

Tego co przed chwilą...

Marcin całuje ją w usta. Błądzi ręką po jej ciele, aż natrafia na szyszkę w kieszeni jej swetra. Kręci głową z uśmiechem. Odkłada szyszkę na szafkę nocną. Całuje Annę. O szyby bębni deszcz. Słysząc dalekie grzmoty.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. SYPIALNIA. DZIEŃ.

Przez okno do sypialni wpadają promienie słońca. Anna i Marcin śpią przytuleni. Pod nimi i pomiędzy nimi albumy rodzinne. Pierwsza budzi się Anna. Po chwili dociera do niej, że już jest rano. Budzi Marcina. Oboje spostrzegają, że krzesło, które blokowało drzwi stoi przed toaletką. Marcin dotyka ręką kieszeni spodni. Nie ma w niej noża Zdzisława. Na toalecie nie ma szyszki z zegara.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. PRZEDPOKÓJ. DZIEŃ.

Marcin wystawia głowę z sypialni. Rozgląda się. Na wieszaku nie ma czarnego płaszczka Zdzisława. Marcin rusza w kierunku pokoju syna.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. POKÓJ SYNA. DZIEŃ.

Wchodzi Marcin. Rozgląda się. W środku równo zaścielone łóżko, pod nim wsunięta szuflada. Na środku łóżka leży druciany wieszak.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. KUCHNIA.

Anna i Marcin patrzą na stół. Stoi na nim zgrzewka z sześcioma zniczami.

ANNA

Czy ty... Wydawało mi się...

MARCIN

Co ci się wydawało?

ANNA

Zdzisław...

Marcin przytula Annę do siebie. Mierzwi jej włosy. Całuje w czubek głowy. Chową w ramionach.

MARCIN

Też ci się śnił?

ANNA

Myślisz, że to był sen?

W mieszkaniu słychać dźwięk telefonu.

WNĘTRZE. MIESZKANIE. SALON. DZIEŃ.

Wchodzi Anna, podchodzi do komody i podnosi słuchawkę. W trakcie rozmowy rozgląda się. W lichtarzu nowe świece. Szyszka wisi na miejscu w zegarze, który jest nakręcony.

ANNA

Cześć Piotrusiu... Zostawiłam telefon w pracy. ... Co? Tatusiowi się rozładował. W nocy była burza i awaria prądu. Nie... nic się nie działo... Czekamy. Pa.

Anna odkłada słuchawkę. Wchodzi Marcin. Anna uśmiecha się do niego i bierze do ręki pilota od telewizora.

ANNA

Mały będzie za dwie godziny.

Marcin podchodzi do Anny. Wyjmuje jej z ręki pilota. Odklada z powrotem na komodę. Bierze Annę za rękę. Patrzy jej w oczy. Dotyka szyi. Całuje w usta.

MARCIN

Nie mamy zbyt wiele czasu.

Marcin prowadzi Annę do sypialni. Nagle coś przykuwa jego wzrok. Ciągając za sobą Annę podchodzi do stołu. Na środku leży skasowany bilet do ZOO. Marcin z Anną patrzą z niedowierzaniem to na siebie, to na bilet. Anna nagle coś sobie przypomina.

ANNA

(wykrzykuje)

Nie zajrzeliśmy do łazienki!

Marcin przytula Annę mocniej do siebie. Rozgląda się po pokoju.

MARCIN

Zajrzymy później.

Oboje idą do sypialni.

KONIEC

Małgorzata Karolina Piekarska

Rafał Lasota

Wiosenne dzwonki

Rysowany kwiat na ścianie
Malinowym tuszem
Rozkołysał pąk zieleni
Obudzoną gruszę
Zaświergotał ranną rosą
Skowronek w jeżynie
Wykąpany zimną wodą
Rechot żabi płynie
Przecierało słońce oczy
Kolorową tęczę
Na bezbrzeżu traw
I domów
Wiosny dzwonki dźwięczą

Mój ukochany piesek

Chciałabym mieć pieska
Jak wiewiórka – takiego małego.
Albo nie – przeciwnie
Chciałabym psa wielkiego!
Pies szczekałby na wszystkich, którzy mi dokuczali
I wszyscy oprócz mnie by się go strasznie bali!
Pies lubiłby zabawę w berka i w chowanego
I bardzo by mnie kochał
A ja kochałabym jego
A gdybym była zmęczona
To poprosiłabym tatę
Niech pieska wyprowadzi
Tak zimą... wiosną... latem...
I jeszcze jesienią, kiedy deszcz za oknem
Niech tata wyjdzie z pieskiem
Bo ja na deszczu zmoknę!
Niech mama pieska nakarmi
Bo mama najlepiej gotuje
Niech siostra pieska wykąpie
I jeszcze go wyszczotkuje
A ja tylko wieczorem podrapię pieska za uszkiem
Zamknę oczy i zasnę wtulona w miękką poduszkę.

Janusz Andrzejczak

Lekcja

Na lekcji, nauczycielka rozdała gimnazjalistom kopię rysunku Artura Glogera *Z krzyżem po śniegu*¹.

Nauczycielka: *Opowiem wam, moi kochani o powstaniu styczniowym. Przyjrzyjcie się temu obrazkowi i spróbujcie powiedzieć, co na nim widzicie.*

Uczniowie wzięli do rąk obrazek. Nawet najgorsze klasowe łobuzy zaczęły przyglądać mu się z uwagą. Cały klasowy szmer, pogaduszki, głupawe odzywki i komentarze, nagle uciał ten zwykły, ale jak się okazało – niezwykle obrazek.

N: *Kim są ci ludzie?*

– *To powstańcy, którzy zostali zesłani na Syberię!* – wykrzykuje Wojtek, który interesuje się historią.

– *Zostali ukarani za udział w powstaniu!* – dopowiada Radek, kolega Wojtka z ławki.

– *Oni są w łachmanach, bo ich ubranie się zużyło jak ich gnano przez Rosję* – krzyczy rezolutna Zosia.

– *Oni są głodni, zmarznięci i wycieńczeni!* – przerywa jej Patrycja.

– *Niosą krzyż, psze pani!* – wykrzykuje zawsze nieśmiała Alinka.

N: *A dlaczego niosą krzyż?*

– *Bo, bo... to jest ich jedyna nadzieja. Tylko Pan Bóg im pozostał* – mówi zawsze skupiona Beatka, klasowa prymuska.

N: *Jak myślicie, co symbolizuje ten krzyż?*

Zawiesiła przed klasą to pytanie jak welon, jak całun, aż dzieciom udzieliła się trwoga jakaś, przejmująca, niewytłumaczalna...

Tym razem nikt nie wyrwał się z odpowiedzią. Widać było bo minach dzieci, że zastanawiały się, głowiły, ale nie były w stanie niczego wymyślić.

Nauczycielka wstała, zasłoniła w klasie okna, wzięła swoje krzesło i ustawiła je pośrodku klasy.

Otworzyła podniszczoną już książkę i zaczęła czytać:

¹ Artur Grottger *Z krzyżem po śniegu* (1866-1867). Kredka czarna i biała na papierze. 39 x 28,8cm. Archiwum Pawlikowskich. http://www.pinakoteka.zascianek.pl/Grottger/Images/Z_krzyzem_po_sniegu.jpg

Był wyjątkowo śnieżny i mroźny luty 1864 roku. Przez grafitowy pułap chmur czasami przebijało się nisko zawieszone słońce i wtedy cały stepowy krajobraz roziskrzył się niezliczonością świecących gwiazd. Wiatr na górze przemieszczał chmury w tym samym kierunku, w jakim szło kilkudziesięciu polskich skazańców. Z trudem pokonywali głęboki śnieg. Na sobie mieli tylko resztki poszarpanych łachmanów. Byli skrajnie zmarznięci, głodni i zmęczeni. Byli tak wycieńczeni, że nie byli w stanie nawet do siebie mówić, a z ich ust wydobywały się wielkie, od razu zamarzające kłęby pary.

Popędzali ich okrzykami i nahajkami Kozacy na koniach. Niejeden zełtaniec pozostawał na śniegu i mrozie bez pomocy, na pewną śmierć.

Myśleli o swoich ukochanych, o dzieciach, rodzicach, o przyjaciółkach z powstania. Martwili się co się stanie z ich rodzinami: bez ojców, mężów, bez majątku.

Tak trudno, tak trudno im było o jakąkolwiek nadzieję!

Gdy przechodzili obok zasypanego śniegiem chutoru, nagle zobaczyli wystający z zasy drewniany krzyż.

Nie bacząc na okrutnych strażników, kilku katorżników podbiegło do niego. Padli przed krzyżem na kolana w głęboki śnieg. Zaczęli go dotykać i całować wśród głośnych modlitw.

Podjechał do nich truchtem Kozak Czachrimow i zaczął okładać ich rżniętymi nahajkami. Śmiał się przy tym i złościł, krzyczał i kpił.

Łukasz Sobolewski – marszałek szlachty sprzed powstania, z trudnością wstał, odwrócił się do kozaka i padł przed nim na kolana.

„Nie może być! Dumny polaczek kłęczy przede mną! Oooo! Chodzi mu o coś ważnego” – pomyślał Czachrimow.

„Panie, błagamy o litość! Nie o chleb prosimy, nie o odzienie, nie o odpoczynek ani ludzkie traktowanie! Pozwól nam zabrać ze sobą... ten święty krzyż!”

„At, paliaki – duraki!” – krzyknął rozbawiony Kozak.

„A bierzcie sobie, tylko czekać na was nie będziemy ani chwili! A jak wam do łbów przyjdzie uciekać, to droga wolna! Tu step, tam step, wszędzie tyyyylko step!” – wykrzyczał śmiejąc się głośno i pokazując ręką rozległy okrąg pustej po horyzont przestrzeni, ukuł ostrogami konia.

Pięciu skazańców stanęło po obu stronach krzyża. Z trudem przechylali go to w prawo, to w lewo, w prawo, w lewo, aż w końcu unieśli go i w poziomie osadzili na ramionach.

Szli i szli zapadając się w śniegu, potykając się, opadając z sił. Pomimo dodatkowego ciężaru jakby lepiej im się jednak szło, jakby nowy duch w nich wstąpił.

Nagle zerwał się wicher. Zaczął sypać drobny, ostry śnieg. Zacinał, ciął, bezlitośnie smagał ich twarze. W mig, świata w śnieżycy nie było widać. Przystanęli bezradni.

„Co robić?!” – pomyślał Sobolewski

Rozejrzał się. Spod śnieżnych zasp wystawały suche badyle, trawy, gdzieś trzcina.

„Bracia kamraci! Do roboty” – krzyknął Sobolewski, po czym przechylił krzyż, wskazał koledze jak ma go trzymać i jak szalony zaczął zrywać badyle, trawę i trzcinę. Czterech przyjaciół w lot zorientowała się o co chodzi i zaczęli robić to samo, czyli utykać zerwany susz w krzyż, dla osłony przed śnieżycą.

Zanim wichura rozszalała się na dobre, krzyż zamienił się w parawan chroniący piątkę nieszczęśników przed śmiercionośną zawieruchą.

Skuleni i przytuleni do siebie, przetrwali nawałnicę.

I wzięli ponownie na swe ramiona Krzyż: symbol Ofiary i Męczeństwa, ale ponad wszystko – zwycięstwa nad śmiercią.

I ponieśli w nim także swoją biedną, sponiewieraną – Ojczyznę...

Sobolewski z cicha zaintonował: (tu: nauczycielka zaśpiewała)

„W krzyyyżu cierpieenie, w krzyyyżu zbawieenie, w krzyyyżu miłooości naukaa. Ktooo Ciebie, Booże raaaz pojąć moooże, teen nic nie praaagnie, niii szuuka.

W krzyyyżu osłoooda, w krzyyyżu ochłoooda. Dlaaa duszy smuuutkiem zmrooczonej. Ktooo krzyż odgaaadnie, teen nie upaaaadnie, w boooleści seeercu zaaadaneeej.

Kieeedy cierpieenie, kieeedy zwątpieenie, seeerce ci naaa wskroś prze-paaali, gdyyy grom się zbliiiza, pooośpiesz do krzyyyża, oon ciebie weeesprze, ooocali.

Gdyyy cię skrzywdzoono aaalbo zraniono, luuub serce czyyyjeś zawiooodło: ooo, nie rozpaaaczaj, móóódl się, przebaaczaj, krzyyyż niech ci staaanie zaaa godło”.²

Nastąpiła długa cisza, którą przerwał dopiero dzwonek na przerwę.

Tym razem dzieci nie porwały się pędem z miejsc, zastygły na swoich miejscach.

2 Popularna pieśń wielkopostna. Słowa ks. Karol Antoniewicz (1807-1852).

Gdy nauczycielka wstała, skierowała swój wzrok na krzyż wiszący nad drzwiami.

Możecie już wychodzić na przerwę – powiedziała.

Wychodząc z klasy, dzieci zniżały głowy.
Jakby się bały, że uderzą nimi w za niskie drzwi...

Janusz Andrzejczak

Krzysztof Beška

Konsul

(fragment)

– To koniec! Zgubiliśmy ich. – Paul grzmotnął z całej siły pięścią w kierownicę, aż zawibrował cały automobil, a może to silnik, którego przez ostatnich kilka minut nie oszczędzał kierowca, rzeźił rozpaczliwie.

Stali w jakiejś ciemnej uliczce. I do tego ślepej – reflektory Dodge’a oświetlały nierówno porośnięty bluszczem, wysoki mur. Ciężkie krople listopadowego deszczu pracowicie bębniły o dach.

A przecież tak długo widzieli czerwone światła umykającego opla. Chodziło nie tylko o to, by nie stracić z pola widzenia Gonschorka i jego porywaczy, ale też dotrzeć za nimi do ich gawry. Paul prowadził pewnie, choć ostrożnie. Nawet o tej porze mógł się przecie napatoczyć jakiś zapóźniony przechodzień, pijaczek, który nie potrafił znaleźć drogi do domu, a może nie chciał. Nie wspominając już o niedopilnowanych dzieciach, bepańskich psach i kotach.

Przecięli Plac Teatralny, następnie Bielańską wjechali w Nalewki. Stach przypomniał sobie, jak kilkadziesiąt godzin temu pędzili tędy w stronę Cytadeli, gdzie Adaś i Józek Gawkowscy szykowali się na niechybne spotkanie ze śmiercią. Tu jednak kierowca opla zaczął kluczyć ciemnymi, wąskimi uliczkami. Czyżby zorientowali się, że są śledzeni, a teraz chcieli ich zgubić? Para czerwonych światełek to znikafała, to znów się pojawiała. Aż w końcu zniknęła na dobre. Na domiar złego Paul von Hardenberg stracił orientację w istnym labiryncie podobnych do siebie uliczek żydowskiej dzielnicy. Kilka razy zawracał, co w ciasnych zaułkach nie było łatwe, groziło uszkodzeniem automobilu. I za którymś razem po prostu dał za wygraną.

– To moja wina... – zaczął znów swoją śpiewkę Otto Lausch.

– Nie pierdolicie, żołnierzu! – sarknął na to Stein, po czym szarpnął za klamkę drzwiczek i wyszedł z samochodu.

Chwilę krążył po zaułku, nie zważając na padający deszcz, którego krople wsiąkały w sukno płaszcza, ale i ściekały po opinającym jego piers jedwabnym materiale śmiesznego orientalnego przyodziewku. Paul von Hardenberg w milczeniu przyglądał się detektywowi. W końcu jednak i on stracił cierpliwość. Otworzył swoje drzwiczki i wychylił się z auta.

- Za chwilę będzie północ. Co robimy?
- A co mamy robić? – zachnął się Stach. – Ścigamy dalej drani!

Kierowca schował się z powrotem pod dach Dodge'a i obejrzał się przez ramię, jakby w poszukiwaniu zrozumienia ze strony Lauscha. Otto miał jednak zamknięte oczy. O tym, że nie śpi, świadczyło to, że miarowo poruszał wargami. Modlił się? A jeśli tak, to czy o duszę Horsta Gonschorka, czy może o jak najszybszy powrót do domu?

Wreszcie Stanisław Stein wsiadł do środka. Przez chwilę spoglądał nieruchomo przed siebie, by wreszcie zapytać:

– Mogę cię jeszcze o coś prosić, Paul?

– Jasne.

– Zawieź mnie jeszcze w jedno miejsce, a potem wracajcie do domu. Albo z powrotem do lokalu, jak chcecie...

Niemiec bez słowa zaczął grzebać przy drążku zmiany biegów. Po kilku chwilach jechali pogrążoną we śnie uliczką. Rychło znów znaleźli się na Nalewkach. Stach półgłosem instruował kierowcę, gdzie ma skręcić. Niecały kwadrans później automobil stoczył się ze skarpy wiślanej i znaleźli się na Solcu. Detektyw polecił Paulowi zatrzymać się na rogu ulic Dobrej i Zajęczej.

– Co masz zamiar teraz zrobić, Stein? – zapytał Otto, który w międzyczasie ocknął się z dziwnego letargu, miał otwarte oczy i nawet przytomne spojrzenie.

– Rozejrzeć się. Tutaj była gawra szajki Protazego Dworczyka, którego interesy przejęli Krępscy do spółki z Gonschorkiem i Kleinem. A teraz wszystko wskazuje na to, że na szachownicy zostaną tylko ci pierwsi...

– Ale dlaczego akurat tutaj chcesz szukać? – W młodego najwyraźniej coś dziwnego wstąpiło; może dopiero po północy ożywał, jak ten wampir z powieści Abrahama Stokera.

– Pewnie dlatego, że tutaj dobrałem do tej sprawy po raz pierwszy... – odpowiedział po krótkiej chwili Stach.

– I co? Masz nadzieję znaleźć podpisaną przez obie strony umowę na zabójstwo Granmonta? – prowokował dalej niestrudzenie Otto, nieco nawet głośniejszym głosem niż przed chwilą.

Paul von Hardenberg postanowił zapobiec kłótni, która najwyraźniej wisiała w powietrzu.

– Nie lepiej będzie, jak poczekamy z tym do rana? – zapytał.

– Już raz próbowałem za dnia i omal nie przeniosłem się na tamten świat – rzucił z przekąsem detektyw. – A teraz jedźcie już, zanim ktoś, kto cierpi na bezsenność, weźmie nas za złodziei...

– I będzie miał rację – warknął Otto.
– Albo sodomitów – zripostował Stach, na co młody już nie zareago-
wał. – I dziękuję wam za wszystko. Pogadamy rano.

Jako że ostatnie słowa wypowiedział, stojąc już przy samochodzie, nie do-
słyszał kolejnych prowokacyjnych, choć niejednoznacznych słów Lauscha:
– Jeśli będzie z kim...

I stał tak, póki światła pojazdu nie zniknęły za zakrętem, a warkot sil-
nika nie ucichł. Deszcz przestał padać. Stach rozejrzał się na boki i pocią-
gnął nosem. Postawił kołnierz szynela, wsunął ręce do kieszeni.

Tamtego dnia, kiedy dostał po głowie od ludzi Dworczyka, przyciśnięty
do muru, dosłownie i w przenośni, Agenor Płucisz zdążył mu powiedzieć
o wielu ważnych rzeczach. Między innymi o tym, jak dotrzeć do miejsca,
do którego dostępu strzegł tak nieudolnie. Stanąwszy przed bramą kamie-
nicy, Stach usiłował przypomnieć sobie tamtą chwilę. Zrobił kilka kroków
i zatrzymał się przed drzwiami stróżówki...

Wtem usłyszał za sobą zgrzyt miażdżonego kamyka. Obejrzał się do-
kładnie w chwili, gdy cień za jego plecami zaczął się gwałtownie powięk-
szać. Stach gibnął w bok, dzięki czemu udało mu się ocalić swoją głowę
przed niechybnym roztrzaskaniem grubą łagą. Cała siła, którą napastnik
włożył w atak, teraz obróciła przeciwko niemu: stracił równowagę, a nar-
zędzie, miast głowy Steina, uderzyło z głośnym brzęknięciem w spiczastą
czapkę żeliwnego krasnala, jednego z dwóch, które strzegły bramy kamie-
nicy...

– O kurza twoja twarz! – wysapał nocny wachman, zanim Stein, wyko-
nawszy wcale zgrabny półobrót, kopnął go czubkiem buta rodzinne klejno-
ty, a kiedy bandyta, jęcząc z bólu, zgiał się w pół, z całej siły oburącz dzielił
go w kark.

– Leżeć! – rzucił Stein, mimo iż był niemal pewien, że tamten już go
nie usłyszy.

Schylił się i podniósł z ziemi łagę, która miała pozbawić go przytom-
ności, a może i życia. Wachman na słabeusza bynajmniej nie wyglądał.
Stein oparł kij o ścianę bramy, a następnie nie bez trudu zaciągnął nie-
przytomnego w głąb podwórka. Jednocześnie wciąż się rozglądał, strażni-
ków mogło być przecie więcej. Porzucił tamtego obok śmietnika, przykrył
jakąś znalezionej szmatą i wrócił po broń. Po chwili delikatnie nacisnął
klamkę drzwi stróżówki. Były otwarte, ale do sukcesu była jeszcze da-
leka droga. Z tego, co wówczas powiedział mu Agrest, wynikało, że nie
znajdzie za nimi służbowego mieszkania, ale krótki korytarzyk, dalej zaś
schody prowadzące w dół. Wszystko się zgadzało. Stanisław Stein szedł

po omacku, jakiegokolwiek światło mogłoby go bowiem zdradzić i narazić na kolejny atak. Zresztą blask pojawił się po chwili, wraz z głosami.

Detektyw zatrzymał się, przybliżył policzek do szorstkiej powierzchni ściany. Mocniej zacisnął palce na drewnianym kołku i wstrzymał oddech...

Dodge Brothers Touring 35 zawrócił z piskiem opon na środku Królewskiej, na wysokości Soboru świętego Aleksandra Newskiego. Siła odśrodkowa rzuciła Lauscha na przeciwną stronę tylnej kanapy. Nic jednak nie powiedział. Był rad, że udało mu się skłonić von Hardenberga do zmiany planów i powrotu na Zajęczą. I żeby stało się możliwie jak najszybciej. Po tym, co powiedział Steinowi, czuł się źle. Nie wspominając już o tym, że znów dręczyło go złe niemiłe przeczucie. Jak przed bitwą...

– Masz coś do strzelania? – zapytał Paul, a kiedy młody zaprzeczył, nachylił się i ze schowka pod przednią szybą wyciągnął rewolwer.

– Bardzo podobny do mojego – stwierdził Otto, przyglądając się broni.

Syn fabrykanta przypomniał sobie o niedawnym kłopotcie Steina. To jednak było nic w porównaniu z tym, co mogło mu grozić teraz. Sam by pewnie zawrócił, jednak kiedy spoglądał we wsteczne lustro, w którym widział nadąsaną twarz Lauscha, marzył przede wszystkim o tym, żeby jak najszybciej pozbyć się smarkacza z samochodu.

Ponownie znaleźli się na Krakowskim Przedmieściu. Niedawna senność i zniechęcenie, które spowodował nieudany pościg za porywaczami, gdzieś pierzchły. Niestety, obu Niemcom coraz bardziej udzielał się również niepokój...

– Już niedaleko – mruknął pod nosem von Hardenberg, zmieniając bieg, samochód znów bowiem toczył się w dół, w stronę Wisły.

Ledwo jednak skręcił z Obożnej w prawo, w Topiel, coś stuknęło w drzwiach Dodge'a, a chwilę później silnik przestał pracować.

– Szlag by to trafił! – zaklął Paul i wyskoczył na ulicę.

Wyciągnął korbę, wsadził ją do dziury, aby uruchomić pojazd. Szarpnął raz, potem drugi, jednak bez skutku. W pewnej chwili aż cisnął ze złością kawałkiem metalu o brukowe kamienie. Skulił się zaraz, jakby przestraszył spowodowanego hałasu, po czym sięgnął po przyrząd, aby spróbować po raz kolejny. Miał wrażenie, że mijają całe minuty, że za chwilę zostanie go tu świt, a wraz z nim chmara ciekawskich wszędobylskich dzieci.

Nagle usłyszał nad sobą głos Lauscha, głos dziwnie spokojny, rzeczowy:

– Szkoda czasu. Ja pobiegnę...

– Zaraz powinienem zapalić, poczekaj chwilę – sapnął, ale młody już wcielił w życie swój zamiar i zaraz zniknął w ciemności.

Stein znów był na polu bitwy. Wielka wojna na świecie skończyła się co prawda dobrych kilka tygodni temu, Polska wróciła na mapy Europy, ale on wciąż musiał walczyć. Musiał, a może tylko chciał, wszak już od dawna mógł być w rodzinnym domu, spacerować brzegiem Pregoty, podrywać ładne studentki na Albertynie, czy nawet wybrać się nad Bałtyk, do uspio-nego już o tej porze swojego ulubionego kurortu Kranz. Ale wciąż był tutaj. W Warszawie. Za oręż miał tylko intelekt, odwodem był mu spryt, a awan-gardą – brawura, bo kto przy zdrowych zmysłach dobrowolnie wchodzi do klatki z dzikim zwierzęciem?! Kto idzie „na pokoje”, nie mając w kie-szeni choćby majchra, które to określenie na nóż szczególnie przypadło Stachowi do gustu.

Od kilku chwil był świadkiem przedziwnej sceny. Okazało się wszak, iż nie tylko on postanowił tej nocy odwiedzić to miejsce, a wykidajął, który rzucił się na niego w bramie kamienicy przy Zajęczej, gdzieś zamarudził. Przepuścił był intruza, który, w odróżnieniu od Stacha, miał broń. No, chyba że Stein się mylił i działali razem...

Tym intruzem był nie kto inny jak radca kryminalny Klein z warszawskiej policji. Stał na środku pomieszczenia oświetlonego skąpo dwiema przykurzonymi żarówkami i celował w dwóch osobników, siedzących na drewnianych skrzynkach. Obaj trzymali ręce w górze, a ich twarze były jak wykute w kamieniu. Za plecami mieli sporych rozmiarów stół, na którym wałały się jakieś szklane naczynia o różnych kształtach, palnik i dziwne metalowe narzędzia. Wszystko to Stachowi z miejsca skojarzyło się tylko z jednym – z laboratorium.

– Już wiem, do czego Krępskim było potrzebne tyle pudów cukru – powiedział Klein. – Chcecie zalać miasto tanim bimbrem, co?!

Odpowiedziała mu cisza. Na twarzach tamtych też nic się nie zmieniło. Zupełnie jakby nie zrozumieli albo po prostu mieli nerwy ze stali. Z tych słów Stein wynioskował, że policjant musiał tu przyjść ledwo chwilę przed nim, więc może rzeczywiście tamten osiłek z lagą, który teraz wypo-czywał w śmietnikowej niży, był z nim.

– Odpowiadać, jak pytam! – huknął Klein.

– Po co te nerwy, panie szanowny? – odezwał się w końcu jeden z nich, wyglądający na starszego. – Późno jest, ludzie śpią...

Coś dziwnego było w tej jego mowie, innego, ale detektyw nie był w stanie stwierdzić, co. Jeszcze bardziej przybliżył twarz do krawędzi ściany. Specyficzny układ pomieszczenia, jak i konstelacja światła dawały mu możliwość swobodnej obserwacji tego, co się dzieje, a także, jak przypuszczał, dyskretnego wycofania się, gdy zajdzie taka potrzeba. Byłe tylko

nie narobić przy tym hałasu. O tym jednak na razie mowy być nie mogło, nadarzała się bowiem wyjątkowa okazja, by poznać nieco szczegółów tego przedziwnego mariażu warszawskich gliniarzy z królami Pragi. Że nieudanego, to już też wiedział. Jednak, jak się właśnie okazywało, nie wszyscy szli po nóż jak radca kryminalny Horst Gonschorek.

I kto wie, może zdobyłby Stach tę wiedzę, gdyby nie zwyczajny pech. Przybrał on postać małej myszki, która nagle znalazła się na występie ściennym, ledwo kilka centymetrów od twarzy detektywa. Stein nigdy nie przywykł ani do szczurów, ani nawet do myszy. Będąc w okopach, zawsze z odrazą odwracał wzrok zarówno na widok gryzonia żywego, jak i takiego, który właśnie dogorywał, przecięty na pół łopatką saperską przez wprowionego w polowaniu żołnierza.

Stach poruszył się niespokojnie. Coś zazgrzytało.

– Franz? – rzucił Klein w stronę wyjścia. – To ty?

Tamci dwaj nie mogli nie wykorzystać dekoncentracji człowieka, który trzymał ich na muszce. W ułamku sekundy rzucili się w stronę policjanta niczym wygłodniałe dzikie zwierzęta na ofiarę, mimo że ta przewyższała je masą i siłą. Huknął wystrzał. Niewiele myśląc, Stach runął w stronę schodów prowadzących na powierzchnię, jął przeskakiwać je po trzy stopnie naraz. Chwilę później znalazł się przed w bramie. Wtedy dostrzegł leżącego na chodniku przed kamienicą człowieka. W pierwszej chwili pomyślał, że to może tamten, odzyskawszy przytomność, dowlókł się aż tu ze śmietnika. Wykidajło nie miał jednak na sobie tak eleganckiego stroju...

– Stein... – jęknął Otto Lausch.

– Co ty tu robisz?! – Stach przypadł do leżącego.

– Chciałem ci pomóc, ale... Ale chyba spieprzyłem sprawę...

Polak rozpoznał ranę postrzałową.

– Nic nie mów. Wyjdiesz z tego. Obiecuję.

Szybko rozejrzał się dookoła. Tak, znów był na wojnie, na polu bitwy, bo jak na polu bitwy mógł w każdej chwili paść kolejny strzał. Z każdej strony. I kolejny celny. Ale nikt nie wybiegał z dziupli, wszędzie panowała grobowa cisza. Nikt z mieszkańców kamienicy nie zlorzeczył na nocne hałasy. Krew bezgłośnie i coraz szybciej barwiła gors białej koszuli nieszczęsnego fordansera...

Krzysztof Beśka

Tamara Bołdak-Janowska i Antoni Janowski

Marcepan na kredyt

Krótką rozmowa położnicza
Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka

BeJot: Dla kogo napisałeś prozę pt. *Marcepan na kredyt*?

Tolo: Daj mi chwilę, to przeczytam ci odpowiedź w formie kawałka innej prozy, *Filozofii dosłownej*.

BeJot: Czytaj.

Tolo: To ze wstępu do tej innej prozy, a urywek ten nosi tytuł *Pochwała masażu*:

„Ranek. Błękit i słońce – pięknie jest na ziemi. Toń nieba stopniowo zaczyna się robić pagórkowata. Jak jezioro z wyspkami; po południu zupełnie zaciągnie lądem – pomyślał Tolo Szaleńczyk. On to, bowiem spacerował. I on za miastem na nieużytkach natknął się na duży obły kamień z napisem *Do adopcji*. Inicjały i kontaktowe numery.

Żart czy światopogląd?

– Halo, ja w sprawie tego kamienia.

– Jakiego kamienia?

– Odepchniętego od piersi.

– I pan chce podzielić się z nim swoim nazwiskiem?

Ale potem sprawę rozważył.

No dobrze – rozważał Tolo – usynowię ten kamień, ktoś przyjdzie po mnie i postawi go na sztorc. Ktoś następny, z trzeciego pokolenia, przewróci go, bo pomyśli, że to pomnik gospodarki rynkowej. Podczas gdy wszędzie już będzie tronował dmuchany klaun. A poza tym... kamień to jednak zawsze symbol pięści. Czy ja jestem wojownikiem? A jakby tak słowo o tym? Nie za ciężkie i zręcznie puszczzone zaturla się dalej.

I tak to zaczął spisywać swoje cielesne przygody i turlał je w kierunku Tosi Sza, żeby było jej przyjemnie w czasie masowania się. A masaże Tosia Sza raz do słońca i raz do księżycy, żeby potem nie drętwieć przy telewizyjnych serialach, które, jak drętwe by nie były, to jednak wciążają”.

BeJot: Jak powstawały te teksty? Chodzi mi o metodę, o formę.

Tolo: Z ruchów okrężnych, tak jak się uciera masę na tort w makutrze, ku środkowi, żeby trafić w punkt, czyli osiągnąć puentę. Albo jeszcze inaczej: jak klasyczną sonatę, kiedy najpierw mam pojedynczą nutę, która

zglasza się do mocniejszego brzmienia, a jej kolejne pojawienie się jest rozbudowane i znaczące. Operując jednym motywem, zaznaczam linię melodyczną, by pod koniec pozwolić jej się w pełni wybrzmieć.

BeJot: Dziś wpatrzyłam się w kawałki kory, którymi nasi miejscy ogrodnicy wysypują kwietne miejskie grządki, i pierwsza nuta mi się pojawia, a ona to: mól! Jeden kawałek tej kory wydał mi się dużym mollem, już uschniętym, leżącym na boku, ze stulonymi skrzydłami. I trochę molowego lśnienia było w tym. Po chwili widzę w tych szczapach pióra oskubanego koguta, rudego, karmazyna. Pióra z ogona i skrzydeł. Ta nuta mi się tak rozbudowała, ale dalej już nie ruszy. Całą ją tu quasi-ćwierciowo-wysonatowałam. Ja zbieram wzrokiem moje pisanie. A ty, dlaczego wybierasz konia na alter ego i do tego jeszcze bladego konia w *Marcepanie na kredyt*?

Tolo: Człowiek po sześćdziesiątce jest dość zdźwigany życiem – pracą, rodziną, myślami. Właśnie, myślami. Często stosuję zwrot „i zamyślił się”. Koń ma taką dużą głowę i zdaje się, że to obły worek z myślami. Taki dziurawy, codziennie świeże myśli ma tam. Codziennie te myśli z końskiej czaszki spływają w dół, przez zęby jeszcze bardziej w dół... A blade koń... A czy polski emeryt jest energicznie rumiany? Tak młodzieńczo? Taki dobrze odżywiony witaminami?

BeJot: Dlaczego tak dużo czerpiesz ze snów? Twoja proza ma konsystencję snu. Sen za snem. Aż się zdaje, że to prawdziwe życie. Twój bohater ze zwykłej drogi wbiega w bańnię ze snu. W każdej chwili nieoczekiwanie wstawiasz go w bańnię snu. Ja też posługuję się snem, ale inaczej, biorę do poezji dowcipne sny, a takie są, i one krótkie są, wystarczy na frazę, gdzie się coś styka, na przykład sznurek na jezdni ułożył się w nożyczki, i ja to zanotuję, bo nożyczki te na mnie patrzą, a w tym samym momencie na te patrzące oczy najeżdża samochód. W prozie nie umiem powiązać jawy ze snem, żeby wyszła całość. Ty nie mówisz, że to sen, tylko od razu u ciebie jest to następna sytuacja życiowa, zdarzenie.

Ja nie kapituluję, ja tańczę!



Tolo: Sama wiesz, że sen stoi nad racjonalnym umysłem. Sen, jako dowolny twór, posługuje się naszą logiką, ale zarazem ją łamie, jak sam chce. Z tego łamania wychodzą rzeczy genialne. Człowiek przecież żyje, śniąc, potem budzi się, ale pamięta, jeśli pamięta, to swoje życie ze snu. I na jawie ten obudzony krok wynika z poprzedniego, przed chwilą śnionego. Krok za krokiem. Z jawy w sen. Ze snu w jawę. To są fragmenty, tworzące całość. Tak to robię. Łączę kroki. Namacalna racjonalna materia, taka wprost z ulicy, to dla utworu literackiego żaden cud. Sama o tym pisałaś.

BeJot: No tak. Nie po to powstawały literackie formy, co prawda kierunkowe, ale to były formy, jak kubizm, groteska, futuryzm czy surrealizm, żeby teraz spisywać ulice wprost, nie starając się o literacką formę, nową, niewyświechtaną, i robić krok wstecz, i pisać bez formy. Samej ulicy mamy dość na co dzień. Ale na czym polega ta genialność snów, ty mi powiedz, bo ja już właśnie, wiele razy pisałam o tym. Uzupełnij.

Tolo: Na zaskakujących skojarzeniach, na syntezie tego, co zwiemy życiem poza śnieniem. To bycie wewnątrz jaźni wprost. Sama wiesz. I wiesz, że wykorzystuję twoje sny, a one są niesamowite. Opowiadasz mi je, po czym ja pytam, czy mi je oddajesz, ty mi je oddajesz, mówisz: bierz i spożytkuj w prozie. Jesteś obecna w moim utworze najpiękniej, jak to tylko możliwe. Szkoda, że u nas nie rozumie się i nie ceni surrealizmu. Czasem ten sam sen, ten twój, jest u mnie i u ciebie, w twoim wierszu, jak na przykład wyśniony przez ciebie Nabój Patronen, który przebija żołnierza na wylot i wychodzi mu przez plecy okularami, wpatrzonymi w nicłość. Ten twój sen wiąże się wprost z rzeczywistością. A ty pytasz od niechcenia.

BeJot: Niezupełnie od niechcenia. Wyjaśniamy istotę twojej prozy. Jakub Kornhauser brak polskiego surrealizmu nazywa odtrąconą wyobraźnią, zwłaszcza w poezji, mówi, że w Polsce surrealizm zaistniał chyłkiem, że się tylko tu-tam się przemyka w literaturze. Też tak sądzę. Samo opisywanie snów to nie surrealizm. Stworzyć utwór z nieodtrąconą wyobraźnią, to jest coś. Wziąć sobie wartościowe sny. Sny przeważnie są bezwartościowe. Marks mi się śnił jako Pan Liczbońrks. Nie mogę tego spożytkować, bo to zaledwie nazwisko, w dodatku trudne do wymówienia i do zapisania, no i nie ma w nim substancjalności. Nic to o Marksie nie mówi. Dlaczego u ciebie w *Marcepanie* jest tak dużo kobiet? Znowu powiesz, że pytam od niechcenia. Uznaj, że poważnie pytam. Tak samo poważnie pytam kogoś: dlaczego u pana nie ma kobiet w utworze?

Tolo: To mój hołd za ich istnienie, za przeciwwagę do męskiej twardej strony rzeczywistości. A poza tym to ekscytujące przyglądać się im



z bliska. Z jednej strony: czy można sobie wyobrazić ogród bez kwiatów? Ja je wszystkie, te młode i te stare, i te w średnim wieku wacham i mówię: jesteście piękne, tajemnicze, pociągające, piękne, a z drugiej strony: kobiety pilnują mnie, abym nie rujnował kobiecego życia, abym nie robił karykatur z kobiet, abym nie wpadał w ton macho i mizogina. Czuje się obserwowany przez kobietę, a szczególnie przez ciebie przecież. To dobrze. Tak ma być w naszym XXI wieku. Mówię: wasza obecność jest nieodzowna.

BeJot: Nie tak je opisujesz, nie jak kwiaty.

Tolo: Ano nie. Biorę i te z wadami. I te trochę śmieszne.

BeJot: Ja twierdzę, że w kobiecie nie ma żadnej tajemnicy. Nie było jej życia w kulturze, w filozofii, jej intelektu, nawet jej przyziemności, trzeźwości, więc powstawało wrażenie tajemniczości. Nie było jej oporu wobec karykatur żeńskości, wobec tego stania obok, poza historią, poza prawem. Kobieta istniała jako zmyślona kobieta i całkowicie bezmyślna.

Tolo: Ja u człowieka widzę wszelkie odmiany żeńskości. Sama dobrze to wiesz. I o kobietę znowu pytasz od niechcienia.

BeJot: Przynajmniej wyjaśniłam, skąd się bierze ta „tajemniczość” babska. Z tego, że jej nie było. Takiej, jaka jest. Z wadami czy bez. Pytam z chcenia.

Tolo: Ależ ja ją biorę taką, jaka jest.

BeJot: Pytam o kobietę, bo piszę esej o wrednych babach. Psycholożka Dr Chesler postawiła polskie kobiety na pierwszym miejscu na świecie w pewnej żenującej sprawie: polskie kobiety są zazdrosne, zawistne, krzywdzą inne kobiety, bo traktują je jak śmiertelnego wroga niemal w każdej sprawie, a nie jak siostry. Jestem poruszona takim pierwszym miejscem na świecie. A ty mówisz o żeńskim pięknie i tajemniczości. Tu mówisz, bo w utworze jest inaczej.

Tolo: No jest inaczej. Ale przyznasz, że ładnie je opisuję, stare i młode. Wszystkie są takie, jak u tej Dr Chesler?

BeJot: Ona mówi, że to linia generalna. Ja nie wiem. Nie jestem ani zawistna, ani zazdrosna.

Tolo: Zawieść i zazdrość to też polska cecha męska.

BeJot: Tak twierdzisz? Ja takich ludzi nie lubię, a więc nie otaczam się nimi. Ale o co innego spytam, a raczej stwierdzę: takiego typa, jak twój bohater: Tolo – Koń, Tolo – Błady Koń, wreszcie Tolo Szaleńczyk, dowcipny komentator rzeczywistości, nie było w polskiej literaturze. Emeryt, notujący chwile, notujący byłe życie, otoczony kobietami w różnym wieku, ich umysłami, ich sylwetkami, wciąż ładnymi czy już brzydnymi – to nieważne, ich postępowaniem, ich uczuciami.

Tolo: Tak mówisz? Czuję, że takiego bohatera brakuje, więc go stworzyłem. Człowiek, coraz bardziej niedopasowany do wyścigu twardych zimnych ludzi. Człowiek z coraz krótszym życiem. On ma prawo do zdziwienia, do zachwyty chwilą, do strachu. Jeśli widzi, jak rzucona marynarka układa rękaw wbrew „fizyce ramienia”, to ma prawo i nad zamyślić się, i to samo dostrzec w czymś innym, zmianę, pociągającą lub trwożącą. Poza tym ten bohater to nie „jedno pokolenie”. Ten etap życia czeka każdego. I czeka każdego to samo niedopasowanie do nowych ludzi.

BeJot: Może to szczęście, dożyć do starości? Chyba opisujesz to szczęście.

Tolo: Chyba masz rację. Coś jeszcze dopowiem słowami Worswortha: *Szczęściem było obudzić się tego ranka*. Cytuję z pamięci, więc może niedokładnie. Nieważne. I jeszcze czyjeś słowa dodam. Stara kobieta w zadumie mówi: *Wielu w tym roku nie dożyje maja*.

Tamara Bołdak-Janowska i Antoni Janowski

Rysunki: Tamara Bołdak-Janowska

Andrzej Chąciński

Zwyczajny dzień

W wypełnionej żelaznymi szafkami sali panował mrok. Jasno było przy wąskim oknie pod sufitem. Od szafek do siedzących dochodził zapach schnących kombinezonów. Zza przepierzenia dzielącego umywalnię od pomieszczenia szatni dolatywał szum wody i chrząkanie mężczyzny myjącego się po prysznicem.

– Jak ci poszło? – spytał Karol.

– No właśnie. Chciałem się ciebie poradzić. Powiedziała, że jest do mnie przywiązana. Że się jej podobam i w ogóle, takie różne rzeczy. Poza tym, że dobrze do siebie pasujemy w łóżku. I dobrze się czuje, kiedy wybiera się gdzieś dalej ze mną samochodem.

– Konkretnie? Powiedziała ci coś konkretnego?

– Że jakiś człowiek chciał ją zaprosić na kolację.

– Wcześniej nic ci o tym nie mówiła?

– Wcześniej coś mówiła. Że byli na kawie. Ale to było dawno. Ale nie zwracałem na to uwagi.

– I nic więcej jeszcze nie zauważyłeś?

– Nie. Może to, że ostatnio była w innym nastroju.

– Jakim nastroju?

– Jakimś takim. Zadowolona, a przy tym jakby zamyślona. Przyjemna, ale w trochę inny sposób.

Wyszli z sali. Przejściem między półkami doszli do rzędu stołów, wypełnionych stosami pism. Obok każdego z nich stała paleta pełna obwiązanych sznurkami paczek. Tu i tam stały masywne wózki na makulaturę. Karol sięgnął po paczkę i mocnym cięciem noża przeciął sznurek. Wyciągając egzemplarze pism z pudełka, pomyślał o spotkaniach z Geną. Ile dni minęło od dnia, w którym się wyprowadziła? To, że przyszła, znaczy, że nie chce z nim zrywać kontaktów. Być może sprawa z tamtym jej się nie ułożyła? A może boi się, że Karol złoży na nią donos do biura zatrudnienia? Że bierze zapomogę i pracuje. Stara się, żeby myślał, że nie wszystko między nimi jest skończone. Może jednak to, co było między nimi, było dla niej czegoś warte?

Myśląc o tym, rozcinał opakowania i układał egzemplarze pism na stole. Niektóre wrzucał do pojemnika na makulaturę. Od taśmy, przenoszącej

paczki gotowe do wysłania, dolatywał warkot motoru. Z dwóch samochodów stojących za bramą jeden ruszył i odjechał, zgrzytając biegami. Spychany przez wiatr obłok spalin, zniknął w krzakach, między parkingiem i płotem...

Gdzieś dalej, przy maszynie owijającej paczki, kolega Karola przesunął ręką guzik wyłącznika i pchając wózek, wszedł między dwa rzędy metalowych półek.

Patrząc w jego stronę, Karol przypomniał sobie rozmowę, podczas przerwy na obiad. „Temu też ciągle coś się nie udaje – pomyślał. Wcześniej jeździł do starszej rozwódki, a teraz jest z Polką, która ogląda się za mężczyznami. Jednak ciągle stara się kogoś dla siebie znaleźć. Inaczej siedziałby z butelką whisky przed telewizorem albo przegrywał wypłaty na koniach”.

Przypomniał sobie mężczyzn, z którymi spędzał godziny w pracy. Ubrani w wytarte do połysku dżinsy i podarte koszule, układali pisma na stołach lub pchali wózki z paczkami. Ich zmęczone twarze i powolne ruchy wskazywały, że parę godzin wcześniej byli pijani. Któregoś dnia jeden z nich zemdlął, odbierając paczki z transportera. O paru z nich Karol wiedział, że w czasie przerwy obiadowej gromadzą się za budynkiem i razem jadą do baru, po czym zaszywiają się w różnych kątach hali i ledwie ruszając się, czekają na koniec zmiany.

Zdjął fartuch i wąskim przejściem między półkami poszedł w stronę ubikacji. Zatrzymał się przy stanowisku Grega, sprawdzającego pracę swojej maszyny.

– Ja na twoim miejscu nie robiłbym z tego żadnej sprawy – powiedział. – Starał się, żeby nie czuła, że przejmujesz się jej zachowaniem. I jednocześnie spróbował ją do siebie przekonać. To znaczy dać do zrozumienia, że to, iż jest z tobą, jest dla niej najlepszym rozwiązaniem.

Greg uważnie spojrzał na niego znad maszyny.

– To znaczy?

– Że mógłbyś się z nią związać na stałe.

Greg skrzywił się.

– Już par razy o tym jej mówiłem. Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby ją zatrzymać.

Karol nie odpowiedział. Spozrzegł idącego w ich stronę kierownika zmiany. Kiwnął głową Gregowi i szybko odszedł w stronę ubikacji. Wracając, spojrzał w stronę kolegi. Greg, stojąc obok maszyny, rozmawiał jeszcze z kierownikiem. Wyglądał, jakby coś mu tłumaczył. Kierownik machał ręką w stronę palet z paczkami.

„Znowu u niego podpadł” – pomyślał, zajmując miejsce za stołem. Otworzył pudełko z pismami. Szybko wyciągał pogniecione numery z pudełek i w równych stosach układał na stole. Kątem oka spostrzegł kierownika biegnącego do dzwoniącego w biurze telefonu.

Podczas przerwy znowu spotkał Grega. Razem poszli w stronę automatu z kawą. Z pełnymi kubkami usiedli na stosie połamanych palet.

– Czego chciał od ciebie? – spytał Karol.

– Pytał o maszynę. Bo wczoraj bardzo słabo zgrzewała. Nie wiedział, że wczoraj wymienili element. Powiedział, że przyśle kogoś, żeby mi pomógł roznieść paczki do wysłania.

– Nie miał pretensji, że z tobą rozmawiałem?

– Nie. Przyszedł z biura. Z biura nie mógłby mnie obserwować.

Chwilę milczeli, rozglądając się po hali wypełnionej paletami. Na drogę biegnącą środkiem sali wjechał transporter z belą egzemplarzy pisma „Nowa Idea”. Kierujący nim chłopak o naznaczonej blizną twarzy krzychał coś do siebie i podskakiwał na stopniu maszyny. Pochylił się i na pełnym gazie wjechał w lukę między półkami.

Greg spojrział w jego stronę.

– Wyglupia się i w końcu spowoduje wypadek – powiedział. – Nie wiem, dlaczego ciągle go trzymają?

– Trzymają go, bo ma brata w biurze. Inaczej już dawno byłby za bramą.

Nie spiesząc się, poszli w stronę swoich stanowisk. Karol otworzył pudełko wypełnione komiksami i parę z nich schował pod stołem. Raz na miesiąc miał prawo zabrać parę sztuk do domu.

Znowu pomyślał o sytuacji, w jakiej znalazł się po spotkaniu z Geną. „Jestem sam i jakoś daję sobie radę – przyszło mu do głowy. Już trochę do tej sytuacji się przyzwyczaiłem”.

Po paru minutach, które z nim spędziła, łatwiej udawało mu się zajmować wszystkim, co miał do zrobienia. Położył się wcześniej niż zwykle i spał dobrze do rana. Nazajutrz, z większą niż zwykle ochotą pojechał do pracy.

Spokojnie, bez odczuwanego wcześniej przygnębienia, zaczął myśleć o sprawach, którymi będzie musiał się zająć. Pójść do pralni, zapłacić za telefon, poszukać w Domu Towarowym w Chadstone jakiś tanich koszul...

Wrzucił do pojemnika tekturę z pudełek i ciągnąc brzęczący na betonie wózek, poszedł w stronę palet wypełnionych paczkami.

Kierownik siedzący za stołem w biurze odsunął leżącą przed nim gazetę i sięgnął po zeszyt, oprawiony w szary papier.

– Która paleta? – spytał.

– Piąta.

Mężczyzna potrząsnął głową i mruknął z uznaniem:

– Dobry chłopak.

Chwilę patrzył, jak Karol ciągnie wózek z paczkami, po czym podrapał się w tyłek i rozparł się za stołem.

W drzwiach łączących halę wysyłki z częścią biurową zakładu ukazała się sekretarka dyrektora. Wysoka blondynka, w obcisłej sukni i butach na szpilkach. Kołysząc się w biodrach i odrzucając włosy spadające na czoło, podeszła do grupy kobiet układających pisma. Wybrała parę numerów i szybkim krokiem odeszła.

Parę minut przed czwartą Karol złożył pisma i niewidocznym dla kierownika przejściem poszedł w stronę ubikacji. Wracając, spostrzegł jedną z kobiet, jak parę pism nakrywa fartuchem i wsuwa je do torby na ubrania. Inne pakowały w pośpiechu swoje rzeczy do bagaży i w opartych o półki lusterkach poprawiały fryzury. Greg wyłączył z kontaktu maszynę, rozpiął kombinezon i za pasek spodni wsunął parę numerów pisma. Obciągnął kombinezon i sztywnym krokiem ruszył w stronę wyjścia z hali. Kiwnęli głowami, stojącemu w bramie strażnikowi i wyszli na błyszczący w słońcu parking.

Jeszcze parę minut czekania w kolejce do bramy i przed samochodem Karola zajaśniała prosta linia drogi. Dokoła rozpostarła się rozległa zielona równina. Zadbane, jasno pomalowane domy obok rozległego pola golfowego. I nigdzie żywej duszy. Pusto na chodnikach i skwerach przed domami. W dzielnicy, w której mieszkał, było to samo. Karol spojrział na zegarek i policzył, ile czasu zostało mu do wieczora. Z niechęcią pomyślał o powrocie do mieszkania. Zatrzymał samochód przed budką z telefonem. Wrzucił monetę i nakręcił numer.

– Janek?

– Tak.

– To ja, Karol – powiedział, lekko się zacinając. – Co u was słychać?

– Nic specjalnego. Za chwilę wychodzimy. Masz do nas jakąś sprawę? Coś ważnego u ciebie się stało?

– Nie. Skąd! Chciałbym porozmawiać. Zobaczyć się z wami.

– To wpadnij! Dzisiaj już nie. Wpadnij w piątek po pracy. Zjemy razem obiad.

Wrócił do samochodu. Włączył silnik i szybciej niż przedtem pojechał w stronę domu. „Dzisiaj zapłacę za telefon i przejdę się po sklepach – pomyślał. Jutro zajmę się domem i załatwię pranie. I kupię dla nich ciastka lub butelkę wina. Lepiej kupić wino, bo ciastka mogłyby się zepsuć

w samochodzie. Jednak kupię ciastka. Oni lubią ciastka, a wino to mogą dostać w każdym sklepie w pobliżu ich mieszkania”.

*

Umeblowanie mieszkania, którym mieszkał Janek z Hanką i dwoma kolegami, składało się ze stojącego na stoliku telewizora oraz dwóch kupionych okazji kanap. W kuchni, zastawionej pełnymi kubłami na śmieci i pustymi butelkami po winie, dużo miejsca zajmowała lodówka. Kolekcja stojących w przedpokoju krzeseł sprawiała, że każdy z odwiedzających ich znajomych mógł liczyć na wygodne miejsce do siedzenia. W sypialniach większość miejsca na podłodze zajmowały materace oraz pełniące rolę stolików walizki, przywiezione z kraju.

Dostęp światła regulowały metalowe żaluzje, wiszące krzywo w oknach. Niektóre były połatane plastikową taśmą. W lodówce większość miejsca zajmowały butle coca-coli oraz paczki żywności, gotowej do podgrzania.

Siedzieli na kanapach przed telewizorem, pijąc whisky zmieszaną z coca-colą. Janek, Karol i Marek, drobny, czarnowłosy chłopak o twarzy pokrytej krostami. Janek pociągnął whisky i spojrzał na Karola.

– Coś się wydarzyło? – spytał.

– Nie. To znaczy trochę. Drobne wydarzenie. We wtorek na chwilę się pokazała. Dowiedzieć się, co u mnie się dzieje.

– Przyszła w jakiejś konkretnej sprawie? Coś zabrać czy o czymś ważnym porozmawiać?

– Nie. Przez telefon powiedziała, że jest w pobliżu mojego mieszkania i że chciałaby wpaść na chwilę.

– Zwyczajnie. To znaczy, jakby to można powiedzieć. Rozmowa o różnych mało ważnych sprawach.

– O sobie coś ci powiedziała?

– Że ma tam swój pokój. Że dużo czasu traci na dojazd. Za pracę w ogrodzie facet jej osobno płaci.

Janek z aprobatą kiwnął głową.

– Jednak ci coś powiedziała.

Spojrzał na Marka siedzącego sztywno na kanapie. Pozbierał z ziemi kasety wideo i włożył do pogniecionej plastikowej torby. Podał torbę Markowi.

– Odniesiesz?

– Dobrze.

Marek dopił colę i wyszedł z pokoju. Janek chwilę oglądał swoją szklanekę z zamysłoną miną.

– Na razie nie powinienes nic robić – powiedział. – Czekać. Uzbroić się w cierpliwość. Za parę dni na pewno znowu się pokaże. Po paru widzeniach będziesz wiedzieć, jak się powinienes zachować.

Założył kurtkę i sprawdził, czy ma w kieszeni klucze do mieszkania.

– Wyjdziemy – powiedział. – Chciałbym ci coś ważnego pokazać.

Wyszli z domu. Za przejściem dla pieszych, na głównej ulicy pełnej samochodów, skręcili w brukowany, wąski zaułek. Jeszcze dwie bramy na zapleczu sklepów i mały parking pełen pojemników na śmieci. Wyszli na wysadzoną drzewami aleję. Zatrzymali się przed dużą rudera, otoczoną drewnianym, połamanym płotem.

Janek pokazał na tablicę wiszącą na bramie.

– Będziemy się starać to kupić – powiedział. – Zrobimy remont i najdalej za rok sprzedamy.

– Sami będziecie się starali zrobić remont?

– Co się da, będziemy robić sami. Do paru rzeczy jednak trzeba będzie wziąć fachowców.

Nie spiesząc się, poszli w stronę domu. Karol myślący o swoich osobistych problemach i młody chłopak, zacinającym się z emocji głosem, opowiadający o warunkach otrzymania pożyczki z banku, zaliczce i spodziewanym zarobku ze sprzedaży domu. Zatrzymali się przy światłach. Karol spojrział na Janka.

– Na bardzo duży interes się rzucacie – powiedział.

– Musimy! Trzeba się rzucić na głęboką wodę. Inaczej niczego tutaj nie dałoby się zrobić. Ciągłe będzie tak samo. Dreptanie w miejscu. Uda się czy nie uda, będziemy wiedzieli, że zrobiliśmy to, co każdy na naszym miejscu, powinien był zrobić.

Kiwnął głową Karolowi i wszedł do sklepiku na rogu. Po chwili wyszedł, niosąc dwie butelki piwa, puszkę groszku i plastikowe pudełko z paroma jajkami.

– Zrobię omlet z groszkiem – powiedział. – I pokaże ci, jak to wygląda na planie. Co tam będziemy musieli przebudować.

Wracając pustymi ulicami, Karol myślał o sprawach, które dla Janka miały znaczenie. Już ma trochę pieniędzy w banku. A gdyby udało mu się znaleźć coś takiego? Nie. On jednak w innym świecie żyje. Gdyby próbował zrobić jakiś interes, to musiałby liczyć tylko na siebie. A Janek ma tutaj dziewczynę i paru kolegów.

Nie zauważył, że znalazł się na ulicy w pobliżu swojego domu.

Andrzej Chąciński

Krzysztof Choiński

1916: Legionowe oświadczyńy

(fragment powieści *Polski los*)

Bronisław rzekł stanowczo:

– Musisz mi załatwić wyjazd do Krasnegostawu.

– Wzięło cię? Może i masz rację, pojedź i zobacz, jak koleżanka Marysia daje sobie radę. A co myślisz o naszej sytuacji?

– Nie jest wesoło. Oni gotowi przyjąć tę dymisję, żeby pozbyć się Starego, nawet za cenę wrzenia w szeregach.

– Obawiam się, że przyjmą. – zakonkludował ze smutkiem Witelski. – Jutro dostaniesz rozkaz wyjazdu.

I tak też się stało. Bronisław nigdy nie pytał, jakimi drogami jego przyjaciel załatwia podobne sprawy. Orientował się jednak, że w gąszczu biurowym tkwią ludzie Komendanta i w razie potrzeby, też bez zbędnych pytań, służą pomocą.

Na miejscu wysupłał z portfela ostatnie korony i prawie biegnąc ze stacji do szpitala, kupił u samotnej babiny, która siedziała pod murem zrujnowanej kamieniczki, bukiet piwonii. W pośpiechu nie zauważył, że obok przechodzi austriacki kapitan. Nastąpiła scena jak z wodewilu: sztywny, chyba wygorsetowany oficer zrobił mu awanturę o „nieoddanie honorów”, a Korowski co chwila robił krok w bok, mamrocąc przeprosiny, zaś tamten odpowiadał kolejnym potokiem słów zrozumiałych dla delikwenta tylko częściowo. W końcu dostrzegł kwiaty i zapytał najwyraźniej o ich przeznaczenie.

– Melduję posłusznie, że to dla narzeczonej. – wyrzucił z siebie z wściekłością Bronisław. – Für meine Braut!

Wyczerpał swój zasób słów niemieckich, wykraczający poza „guten Tag” i „auf Wiedersehen”. Nieoczekiwanie papierowa twarz wielbiciela drylu rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

– Ach so? Gut! Sehr gut! Odmaszerowacz!

Bronisław trzasnął obcasami, zasalutował jak umiał najlepiej i wykonał rozkaz z ulgą. Po raz któryś stwierdził, że manifestacja gorących uczuć może obudzić człowieka w najbardziej zakamieniałym bęcwale. Równocześnie pomyślał, że wiele razy natknął się przedtem na objawy tej

choroby formalizmu wojskowego, panoszącej się w c. i k. armii – aż i jego samego dopadła!

Przed szpitalem, umieszczonym w zachowanej połowie wypalonego budynku o wysokich, podłużnych oknach, kręciło się kilka osób. Z boku stał wózek zaprzężony w smutnego konia: czyżby to był środek transportu, przeznaczony do wywozu zwłok? Korowski odpędził ponure myśli i zapytał rosłego sanitariusza, palącego papierosa pod żelaznym ogrodzeniem, czy dałoby się poprosić jedną z pielęgniarek na rozmowę:

Łapiduch zadeptał niedopałek w kurzu i odrzekł, zaciągając z wołyńska:

– To ja widzę, że obywatel sierżant w poważnej sprawie? A jak się ta panna nazywa?

„Ten też z Pierwszej”, przemknęło Bronisławowi przez myśl.

– Kolego! – powiedział błagalnie. – Ta sprawa jest dla mnie nie tylko poważna, ale i pilna jak diabli. Poproście siostrę Marię Słabiszewską, żeby wyszła na chwilę.

– Aaa, to o siostrę Marysię chodzi? Dobra, niech obywatel sierżant poczeka.

Następny kwadrans spędził chodząc tam i z powrotem, paląc i przepowiadając sobie w myśli to, co ma powiedzieć, no i jak to należy wygłosić. Dokoła trwał ruch: podjechał wóz z jakimiś workami, które dwóch starszawych legionistów zaczęło wnosić do bocznych drzwi budynku, na ganek wyszedł długimi krokami lekarz w binoklach, w rozpiętym białym fartuchu, rozejrzał się i wrzasnął:

– Gdzie ten Alek, do jasnej cholery?!

Na co długonosy żołnierz, siedzący na podejrzanym wózku i pozornie pogrążony w drzemce, wyjaśnił nieco urażonym tonem:

– Przecie go pan dochtór posłali do platzkommando!

– A niech to wszyscy diabli! – lekarz odwrócił się na pięcie i jak wybiegł, tak wrócił do środka w szalonym tempie. Powiewające poły fartucha przypominały skrzydła anielskie z tandetnego malowidła.

Nagle, natychmiast po jego zniknięciu, w szeroko otwartych drzwiach stanęła Maria. Miała na sobie szary fartuch z opaską Czerwonego Krzyża na rękawie. Osłoniła dłonią oczy od słońca, które zalewało ulicę bezlitosnym skwarem i rozejrzała się, a dostrzegłszy Bronisława, sterczącego jak słup soli z kwiatami w ręku, zeszła po stopniach. Dopiero wtedy ocknął się i ruszył truchtem w jej stronę.

Z bliska widać było, że dziewczyna jest na pół przytomna ze zmęczenia. Jej smągła twarz miała kolor szarawy, podsinione oczy

patrzyły uporczywie, jakby nie mogła do końca pojąć, czy naprawdę widzi przed sobą Bronka.

On zaś zatrzymał się jak wryty o krok i wykrztusił:

– Marysiu, czy zechcesz zostać moją żoną?!

Wszystko było nie tak, bo nie wygłosił oświadczyn uroczyście i nie ukląkł przed ukochaną, co miał zamiar zrobić bez względu na obecną przy tym publiczność, a kwiaty niemal wcisnął jej do ręki. Ona zaś na sekundę zamarła, po czym śmiejąc się przez łzy powiedziała:

– Ty wariacie, to specjalnie po to przyjechałeś?

– Tak. I pytam po raz drugi...

– Dobrze, dobrze! Zgadzam się!

Na to objął ją i przytulił do piersi, aż straciła na chwilę oddech, a potem zaczął zasypywać ją pocałunkami. Ona jednak, zawstydzona i trochę zirytowana, starała się przerwać tę demonstrację uczuć.

– Ludzie patrzą!

Zanim zdążył odpowiedzieć, z kilku stron zabrzmiały oklaski: to rozsiani po placyku widzowie, przeważnie mężczyźni w mundurach legionowych, a także dwie pielęgniarki w szarych fartuchach, dawali wyraz swojej radości na widok nieoczekiwanej sceny.

– Przepraszam cię, bardzo cię przepraszam. – rzekł speszony Bronisław. – Postanowiłem, że muszę ostatecznie wyjaśnić... Nawet nie mam pierścionka, ale to później. I jeszcze ci powiem, że musisz stąd odejść. Tak dłużej być nie może.

– Kiedy ja nie zachoruję prawie na pewno. Mówiłam ci, lekarze doszli do wniosku, że mam jakąś wrodzoną, niesamowitą odporność na zakażenia. A pierścionek? To przecież najmniej ważne.

– Wiwat młoda para! – krzyknął niski żołnierz w osadzonej na bakier maciejówce. – Niech nam żyją długo i szczęśliwie!

I znowu posypały się brawa.

– Nie możesz wyjść na dłużej, prawda? – zapytał Bronisław markotnie. – Ja wiem, ja wiem...

– Poczekaj chwilkę! – Maria odwróciła się i pobiegła w stronę ganku, tuląc kwiaty do piersi.

Korowski zapalił papierosa. Otoczyła go grupka żartownisiów, z owym krasnoludem na czele.

– To co, kolego, kiedy ślub?

– A na zapowiedzi już daliście?

– No gdzie, przecież dopiero są po słowie!

– Mnie się widzi, co obywatel sierżant na zapas już wszystko załatwił, tak mu się spieszy!

– Teraz trza prędko do ołtarza, bo czasy niepewne – rzucił któryś poważnie.

Zapadła cisza. Przygarbiony kapral z odznaką drugiego pułku westchnął:

– A no, prawda. Niejeden ani się obejrzał, jak go przed ślubem pochowali.

W tej samej chwili Maria ukazała się znowu we drzwiach, jakaś promienna i odmieniona. Zdażyła zdjąć czepek, przyczesać włosy i zmienić fartuch na niebieską sukienkę. Kiedy tak szła energicznym, nieco męskim krokiem ku Bronisławowi i asystującym mu mężczyznom, ten powiedział półgłosem:

– Koledzy, upraszam o właściwe zachowanie wobec mojej narzeczonej. Spojrzeli po sobie.

– Się rozumie – mruknął któryś.

Poszeptali przez parę sekund i gdy Maria dotarła do nich, wypchnęli naprzód kaprala. Ten zaś odchrząknął i zaczął:

– Wielce szanowni państwo! Imieniem tu zgromadzonych przedstawicieli braci legionowej pozwalam sobie złożyć na rączki szanownej koleżanki życzenia rychłego stanięcia na ślubnym kobiercu i długich lat szczęścia. Niech ta chwila pozostanie na zawsze w waszej i naszej pamięci jako... jako... – tu zaciął się i machnął ręką. – Po prostu bądźcie szczęśliwi ze sobą!

Nastąpiły, przy akompaniamencie trzaskania obcasami, uściski dłoni i dalsze, niezbyt składne ale ciepłe wypowiedzi. Maria trochę figlarnie, a trochę ze wzruszeniem podziękowała wszystkim po kolei, a potem zwróciła się do Bronisława:

– Koleżanka zgodziła się zastąpić mnie przez godzinę.

Kiedy już szli pod rękę, oddalając się z pewną ulgą od manifestacji życzliwości koleżeńskiej, zapytała:

– Czy ty w ogóle coś dzisiaj jadłeś?

A na niepewne mruknięcie dodała stanowczo:

– Tu za rogiem jest kantyna. Pewnie, że to nie Wierzynek, ale zawsze coś na ząb dostaniemy.

Bronisław struchlał. Portfel miał właściwie pusty, w kieszeni ponieważ były się jakieś drobne monety.

– Posłuchaj, Marysiu, ja właściwie nie jestem... – zaczął łągać, bo w żołądku ssało go na potęgę.

Ona jednak w lot pojęła dramatyczny charakter sytuacji.

– No i właśnie. Wykosztowałeś się na kwiaty, a teraz jesteś bez grosza! Ale nie martw się, ja wczoraj dostałam żołąd. To będzie mój wkład w naszą zaręczynową uroczystość.

I pociągnęła go ku rozsiadłemu szeroko, parterowemu budynkowi, od którego dochodził zapach gotowanej kapusty.

Nad dwoma talerzami gorącej zupy, spożywanej z towarzyszeniem pajdy chleba, rozmawiali trochę chaotycznie. Bronisław co chwila brał narzeczoną za rękę, na co ona strofowała go surowo:

– Jedz, bo mi tu zemrzesz z głodu!

Przełykając ostatni kęs komiśniaka, zapytał:

– Czy możesz mnie odprowadzić na stację? – i dodał ze skruchą – bo widzisz, ja muszę zaraz wracać. Wybacz mi.

Wyszli na rozprażoną ulicę. Droga wiodła wśród zrujnowanych domów, pomiędzy którymi trafiały się tu i ówdzie te cudem ocalałe z wścieklej pożogi wojennej ostatnich dwóch lat.

– Tu jest straszna nędza – powiedziała Maria, zatroskana. – Najpierw Niemcy wywieźli, co tylko się dało, z resztek austriackie rekwizycje nie zostawiają nic prawie. Jest niby wszystko uregulowane, samorząd jakiś działa, w pocie czoła organizuje pomoc dla ludności, ale z próżnego i Salomon nie należy. A RGO nie może nastarczyć dla całego kraju.

– Kochanie, ja wiem, że ciębie strasznie boli los bliźnich – odrzekł Bronisław. – Ale są jeszcze nasze sprawy. Musisz stąd wyjechać.

Zatrzymała się, jak wryta.

– Chcesz, żebym rzuciła służbę? Nie ma mowy!

– Został z ciebie dosłownie cień! Nie chcę zostać wdowcem przed ślubem!

– Bronieczku – Maria przybrała ton pobłażliwy. – Nic mi nie będzie. My jesteśmy potrzebne tym cierpiącym ludziom. Chętnych do takiego zajęcia jest za mało.

– Znajdą się. A nic nikomu nie przyjdzie z tego, że padniesz z wyczerpania – powiedział ze stanowczością, którą zapisała na karb męskiego egoizmu.

– Napiszę ci szerzej, co o tym myślę.

– Jak, kiedy?! Listy nie dochodzą!

– Nie dostałeś nic ode mnie?

– Od kilku tygodni, a może od miesiąca.

– Pisałam trzy razy. A ty raz.

– Posłuchaj, nie roztrząsajmy teraz, co się stało z listami. Niech szlag trafi tę ich wojenną cenzurę i ten cały bałagan! Proszę cię, błagam, złóż podanie o przeniesienie do służby biurowej!

– Zastanowię się – wydawało się jej, że odłożenie sprawy na później jest niesłychanie chytre.

Bronisław tym razem runął na kolana, w brud i kurz ulicy.

– Moja najdroższa, zrób to dla mnie!

Stara Żydówka w peruce, dźwigająca na plecach tobół, z którego wyglądały części ubrania, stanęła na ten widok i zacmokała:

– C-c-c! Jak pan wojskowy tak prosi, to niech panienka się zgodzi. On bardzo kocha!

– No widzisz, nawet vox populi jest za mną!

Rozśmieszona i wzruszona Maria chwyciła go za łokieć.

– Wstawaj, nie rób przedstawienia! Odpowiem ci w ciągu tygodnia.

– Ale na pewno? – nalegał, wstając z obolałych kolan. – Na pewno? Przyrzekasz?

– Tak, przyrzekam – rzekła poważnie, podczas gdy zadowolona z wyniku swojej interwencji kobieta kiwnęła głową i podreptała dalej. – Może naprawdę masz rację. Sama już nie wiem.

Na peronie typowym dla prowincjonalnych stacyjek było pustawo, ale jeden tor zajmował eszelon wojskowy. Od razu, z daleka, widać było wychylone z okien wagonów głowy w maciejówkach.

– Co to? Wycofują naszych? – zaniepokoił się Bronisław.

– To już drugi transport od poniedziałku. Wyszliśmy nawet we cztery, żeby dać chłopakom trochę papierosów i czekolady, jak wtedy, w Krakowie. Gdzie ten twój pociąg?

– Musimy przejść na sąsiedni peron. Wiesz, że coś się kotłuje w sprawie naszych dalszych losów?

– Wiem – odrzekła markotnie. – I pewnie dlatego ściągają ich z frontu. A jeszcze ta dymisja Komendanta... Co z tego będzie?

W pociągu Bronisław poczuł, że głowa mu pęka od natłoku myśli. Z jednej strony nie był pewien, czy w końcu nie postąpił pochopnie, wymuszając na ukochanej odpowiedź, na której mu tak zależało, i czy cała sprawa nie wróci po pewnym czasie do punktu wyjścia. Tak czy tak, był zdecydowany, żeby natychmiast wszcząć „podchody”, jak to nazywał, w sprawie nowego przydziału dla Marysi, niezależnie od tego, czy i kiedy ona zechce pójść za jego radą. Rzecz wymagała czasu, nawet pomoc Bogusława Witelskiego mogła nie zadziałać szybko. Równocześnie trapił się widokiem legionistów wiezionych na tyły. Wprawdzie oznaczało to, że mniej ludzi zginie, ale co dalej? Czy chodziło o rozbrojenie z powodu żądań Komendanta i Rady Pułkowników?

Krzysztof Choiński

Anna Frajlich

Kult jednostki

Pierwszą skazą, zadrapaniem na cudownie klarownej tafli naszego dzieciństwa było wyznanie naszej druhny, że wcale nie chciała być nauczycielką.

Jak to, nie chciała być z nami, być naszą cudowną, ukochaną druhną? Uczyć nas, dlaczego nosimy czerwone chusty?

Lubiliśmy ją chyba najbardziej w całej szkole, bo pamiętaliśmy jeszcze, jak niedawno biegała w granatowym fartuchu jako uczennica Liceum Pedagogicznego, które tu, na Wielkopolskiej, było od razu nad nami. I ona pewnie jeszcze to pamiętała. Wciąż jeszcze nie miała innych spódnic prócz granatowych i innych bluzek niż białe. To był wielki zaszczyt dla niej, że została tu w mieście i w dodatku w naszej wzorowej szkole. To był wielki zaszczyt i okazało się, że ona wcale tego nie chciała.

Czegóż więc chciała? Siedzieć gdzieś w Poznaniu lub Warszawie i oglądać pod mikroskopem pantofelka lub euglenę zieloną?

Czuliśmy się trochę oszukani. Czyż nie lubi nas? Lubi, ale chciałyby studiować biologię.

Dlaczego więc nie poszła tam, gdzie chciała? Dlaczego nie poszła do liceum ogólnokształcącego?

– Było nas czworo w rodzinie – powiedziała. Na wsi. A tylko Liceum Pedagogiczne ma bezpłatny internat, książki i nawet szewc był bezpłatny. Za parę miesięcy mieliśmy wyjść z tej szkoły i rozsypać się po liceach naszego miasta, aby po czterech latach uzyskać upragnioną ogólną maturę.

Nikt z nas nie myślał o płaceniu za książki, a tym bardziej – zelówki. O tym myśleli nasi rodzice. Nie darmo chodziliśmy do najlepszej szkoły w mieście.

Było nam żal druhny i dziwne wydawały nam się jej słowa, często powtarzane na apelach i zbiórkach, że w naszej ludowej ojczyźnie przed dziećmi „robotnika i chłopca” wszystkie drogi stoją otworem. Wkrótce jednak zdarzyło się coś, co zupełnie przyćmiło tamtą sprawę.

Pewnego dnia na lekcji pana Gruszeckiego chłopcy otoczyli jego stół i żywo o czymś rozmawiali. Pan Gruszecki od dwóch lat uczył nas historii, a także nauki o świecie współczesnym. Baliśmy się go wszyscy i na lekcji było zawsze tak cicho, że słysząc tylko skrzypienie butów Gruszki.

Nie mogłam pojąć, co się nagle stało. Od stołu dobiegały co chwilę jakieś dziwne słowa, ale najczęściej słychać było „Stalin, Stalin” wypowiedziane jakoś dziwnie, tak jakby chłopcy i Gruszka grali tymi słowami w dwa ognie i odbijali je co chwila jak piłkę.

O Stalinie wiedziałam wszystko, co trzeba było wiedzieć prozą i wierszami. Nie darmo moje artykuły szły do gazetek. W tym jednym jedynym przypadku miałam nawet przewagę nad Bolkiem prymusem. Ja pisałam, a on przepisywał swoim pięknym pismem.

Tymczasem teraz oni wszyscy: Bolek, Stasiak, Janusz, Gerard stali tam przy stole i mówili o czymś, czego nie wiedziałam. A Gruszecki rozprawiał razem z nimi, nie zważając nawet na resztę klasy. Podeszłam bliżej.

- Czy to prawda, że Stalin nie był w Moskwie w czasie obrony Moskwy?
- Czy to prawda, że...
- Czy to prawda, że...

Chłopcy przekrzykiwali się niemal pytaniami i Gruszecki przekrzykiwał ich także. I co chwilę powtarzał – „kult jednostki”, „kult jednostki”.

Nigdy nie czytałam gazet i nie wiedziałam, skąd oni znają takie trudne słowa. Po lekcjach, zamiast do domu, poszłam do biura mamy, chciałam się dowiedzieć czegoś więcej. Chciałam usłyszeć, że to nieprawda. Ale od razu przy wejściu uderzyła mnie dziwna rzecz, na ścianie, gdzie na czerwonym płótnie zawsze wisiał portret Stalina, był teraz pusty wyraźny prostokąt, tak purpurowy, że coś utkwilo mi w gardle.

- Czy to prawda? – zapytałam mamy.
- Co prawda? – mama odpowiedziała mi pytaniem.

Chciałam powiedzieć o lekcji z Gruszeckim i o tym, co mówili chłopcy, ale to coś, co było w gardle, robiło się tam coraz większe i nie mogłam wykrztusić słowa.

- To – wychrypiałam i popatrzyłam na krwawy prostokąt na wyblakłej czerwieni reszty płótna.

- Tak. To prawda.

W kiosku była już tylko jedna gazeta – „Słowo Powszechne”. Na pierwszej stronie wydrukowane były wielkimi literami słowa, które słyszałam tego dnia po raz pierwszy „kult jednostki”

Zawahałam się chwilę, ale kupiłam. Już w tramwaju zaczęłam przebijać się przez zupełnie niezrozumiałe dla mnie wywody.

Rodzice, widząc mnie pierwszy raz w życiu z gazetą w rękę, a szczególnie z katolickim pismem, zapytali, skąd nagle moje zainteresowanie prasą.

– Chciałam się dowiedzieć czegoś o kulcie jednostki.

Wieczorem słyszałam, jak przez telefon, podśmiewając się, opowiadali znajomym:

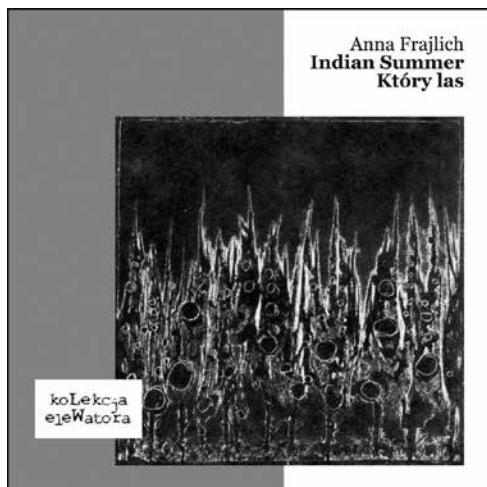
– Nasza córka kupiła „Słowo Powszechne”, chciała się dowiedzieć czegoś o kulcie jednostki.

1974-1975

Powyższe opowiadanie ukazało się w zbiorze *Laboratorium*. Wyd. Forma, Szczecin-Bezrzecze 2010, 2018. ISBN 978-83-65778-94-9

Ponadto w 2018 r. ukazały się następujące książki:

- Anna Frajlich, *Indian Summer / Który las*. KoLekcja eleWatora, Fundacja im. Henryka Berezzy, Szczecin 2018. ISBN 978-83-64403-18-7
- Anna Frajlich, *Ocean między nami / Un oceano tra di noi*; Opracowanie, wstęp i przekład Marcin Wyrembelski, la Parlesia. ISBN 978-88-85710-00-9
- „*Tu jestem / zamieszkuję własne życie*”. *Studia i szkice o twórczości Anny Frajlich*. Red. Wojciech Ligęza, Jolanta Pasternska. Księgarnia Akademicka, Kraków 2018. ISBN 987-83-7638-873-1



Maria Jentys-Borelowska

Z wyroku cara. Dziennik zesłanki

(fragment powieści¹)

Tara, 27 listopada 1885

List od Zosi Płaskowickiej-Dziankowskiej

Podczas kolejnej wizyty w biurze isprawnika nie doświadczyłam odeń żadnej grubszej złośliwości. „Gwiazdeczkę”, którą – cenzor od siedmiu boleści! – dołączył do słów powitania, puściłam mimo uszu, gdyż poza tym trzymał swój wredny język w ryzach i zachowywał się przyzwoicie. Byłam nauczycielką jego córki, i to profesjonalną nauczycielką, z certyfikatem szkoły dla *blagorodnych dziewcząt* Jej Cesarskiej Wysokości, należało mi się więc *uważenije*. Nawet jeżeli ta szkoła działała we wrażej, zrewoltowanej Warszawie. A Lenoczka pewnie utwierdzała papę w tym *uważeniju* dla *madame Aleksandry*, popisując się swoją wątlutką francuszczyzną. Oznajmił mi więc tylko mój kurator, że rozliczymy się za lekcje z końcem miesiąca, i podał mi list, adresowany do mnie na *poste restante* w Tarze, jak zawsze otwarty, ale bez śladów czarnego ołówka i nożyc. Wzięłam go ze wzruszeniem. Na stemplu widniała nazwa Iszym!

List z Iszymu? Od kogóż to? Czyżby?... Czyżby?... Pospiesznie wydobylam z koperty niewielki arkusik gęsto wypełniony znanym mi pismem... Ależ tak, to Zosia Dziankowska pisała do mnie z nowego miejsca pokuty. Najdroższa moja, najlepsza Zosia.

Iszym, 12 listopada 1885

Miła moja! Bądź pozdrowiona!

Zdziwisz się zapewne, że piszę z Iszymu. Zostawiłaś nas przecie w Tobolsku, wcale nie tak dawno temu. I w pięknym dużym i schludnym mieście gubernialnym miałyśmy pozostać na stałe, a przynajmniej do wyzdrowienia Natalii. Tymczasem Natalia nie tylko nie wyzdrowiała, ale wygląda

1 Powieść wydana nakładem Fundacji Światło Literatury w Gdańsku, przy wsparciu Marszałka Województwa Pomorskiego.

na to, że zapadła się jeszcze głębiej, odeszła w ciemność, w której z największym wysiłkiem Ją odnajduję.

Zadawałam sobie codziennie wiele trudu, ażeby Ją po ciężkich, halucynacyjnych snach przywoływać do życia, do działania, do trzeźwego myślenia, ale kiepsko mi to szło, a teraz już prawie wcale się nie udaje. Natalia przestała wychodzić z domu, przestała spotykać się z ludźmi, a ostatnio przestała nawet wstawać z łóżka, myć się, ubierać, je zaś tyle, ile zdołam Jej wmusić... Prawie ze mną nie rozmawia, chyba że musi mi opowiedzieć jakiś straszny sen, majak, zwid... Lekarz mówi: „bardzo ciężka melancholia” – i rozkłada ręce. A ona na okrągło o „strasznej krzywdzie, którą wyrządziła Piotrowi, o swojej „niewybaczalnej winie” i „zbrodni”, którą popełniła, wydając siepaczom najdroższego i najlepszego człowieka pod słońcem. To ona powinna – mówi – zawisnąć na szubienicy, pójść na katorgę, bo przez nią wszystko się stało... Nie sposób Jej pocieszyć, nie sposób ukoić cierpienia Jej duszy. Czuję się bezradną, moja Ty Złota.

A gubernator Tobolska, bez względu na stan zdrowia mojej podopiecznej, postanowił przenieść mnie (z Natalią) do Iszymu, aby pozbyć się „czorta, nie baby”. Pamiętasz? Tak o mnie zwykł mawiać komendant Cytadeli: „czort, nie baba”, bo wciąż przysparzałam mu kłopotów?! I ten podobnie: miał mnie powyżej uszu, bo „zrewoltowałam” środowisko tobolskiej Polonii, i nie tylko Polonii. Co się stało? Zaraz opowiem.

Ano zaczęłam szyc. Jak wiesz, mam do tego szczególny dryg, ale i niemałe doświadczenie (pracowałam wszak jakiś czas w Domu Mody w Kijowie). Dla podratowania budżetu uszyłam kilka zwyczajnych (ale ślicznych, możesz mi wierzyć!) sukienek na sprzedaż – sprzedawały się bardzo szybko i dość dobrze – a potem na zamówienie pewnej damy z tobolskiej socjety wykonałam „suknię paryską”. Wykonałam, a nie uszyłam, bo to było: szkicowanie modeli, dobieranie materiałów (dama przytargała całe stopy jedwabi, atłasów, wstążeczek, koronek etc.), komponowanie ich, zszywanie, obszywanie, obrębianie, stębnowanie, prasowanie etc. Wyszło – mówię to bez fałszywej skromności – arcydziełko sztuki krawieckiej. Gdy „moja” dama pochwaliła się „suknią paryską” innym damom, nie zaznałam już chwili spokoju. Drzwi do naszej stancji nie zamykały się, pochód dam wydawał się nieskończony, nasze życie, z jednej strony, stało się lepsze (dostatniejsze i przyjemniejsze, damy bowiem nieźle płaciły, a żeby bardziej przypodobać się „swojej” krawcowej, znosiły różne miłe podarki), z drugiej zaś gorsze, wprost nieznośne. Liczba zamówień przekraczała moje możliwości wykonawcze, padałam ze zmęczenia, a kaprysy dam przyprawiały mnie o migreny, Natalia zaś nie

mogła sobie znaleźć względnie ustronnego miejsca w pokoju, który coraz bardziej przypominał bazar. Wszakże znajomości z licznymi damami pomogły nam w nawiązaniu stosunków z tobolskimi Polakami, posieleńcami. Znasz mnie, Złotko, wiesz, że nie zmarnuję żadnej okazji, by zrobić coś dla sprawy. No więc upatrzyłam sobie jednego takiego, który wydawał się myśleć podobnie jak ja, i zawiązaliśmy dwuosobowy (na początek) Czerwony Krzyż. Ledwośmy zdolali urządzić zbiórkę pieniędzy na polskich bezrobotnych, a już wieść o naszej działalności dotarła do gubernatora. Rozumiesz teraz sama, że gubernator nie mógł mnie trzymać w Tobolsku. Ale moje damy płakały po mnie, a nawet próbowały interweniować, ale nic to nie dało.

No i jesteśmy w nowym miejscu, i trzeba nam wszystko zaczynać od nowa. Iszym jest miastem okręgowym (powiatowym), mniejszym i niepomniernie mniej zadbanym niż Tobolsk, leży – jak i Twoja Tara – nad Irtyszem, na jego lewym brzegu, sporo bliżej Tary, tak więc bliżej mi (nam) do Ciebie, moja Złota. (Mówią, że klimat w Iszymie łagodniejszy niż w reszcie guberni, ale o tym się dopiero przekonamy). Na koniec mam dla Ciebie telegraficzną wiadomość z Warszawy. Konsylium lekarskie uzgodniło diagnozę, lekarz prowadzący przedstawił ją, bez zatajania jakichkolwiek aspektów, Twojemu Narzeczonemu oraz Rodzinie. Diagnoza jest niepomysłną, rokowania nie napawają otuchą. Prawdopodobnie chory zostanie przewieziony do innej lecznicy, bardziej wyspecjalizowanej. Bądź, mimo wszystko, dobrej myśli, Złota moja, i nie poddawaj się zmorze melancholii.

Zocha z Natalią

Jak dobrze mieć Zosię w pobliżu! (Ładne mi poblizze, ze dwieście wiorst nas dzieli! No, ale tutaj to naprawdę poblizze). Może to egoizm z mojej strony, ale mam wielką nadzieję, że iszymski isprawnik równie szybko jak tobolski gubernator zechce się pozbyć Zosi i przeniesie ją do Tary. A wtedy razem podbijemy Syberię i zamienimy ją w Polonię nr 2. Zosiu, zasiej ziarno niepokoju w Iszymie, nie zwlekaj. Niech czym prędzej skażą Cię na banicję. Jeśli chodzi o szyfr Zosi, to jest przejrzysty jak woda w górskim strumieniu. Podsądni otrzymali akt oskarżenia do wglądu. Jego treść nie pozwala się łudzić. „Inna lecznica, bardziej wyspecjalizowana” to twierdza szlisselburska albo Kara. Dla Ludwika Waryńskiego. A dla Stacha Kunickiego, dla Piotra Bardowskiego, dla Janka Pietrusińskiego, Michała Ossowskiego, Ludwika Janowicza i pozostałych – co? Aż strach zadać sobie to pytanie.

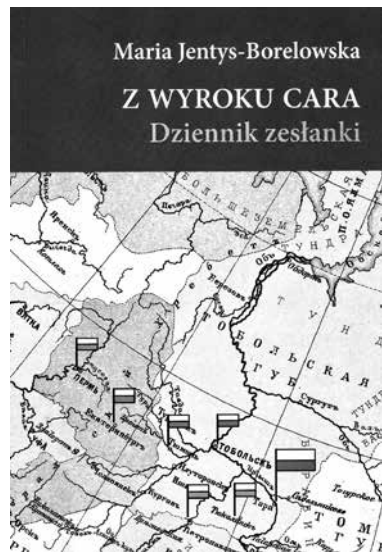
Nie, nie przestanę się łudzić. Chcę się mamić choćby i naiwnymi, dziecinnymi nadziejami, dopóki nie zapadnie wyrok. Ostateczny, zatwierdzony

przez cara. Po apelacji i ewentualnej modyfikacji. Nadzieję trzeba mieć do końca! A nawet po końcu. Nigdy, przenigdy nie wolno wyrzekać się nadziei. Bo przecież zdarzają się cuda! Zdarzają się ulaskawienia!

Nawet w Rosji! W tej barbarzyńskiej Rosji, gdzie człowiek znaczy tyle ile pył przydrożny zmiatany wiatrem.

Maria Jentys-Borelowska

Maria Jentys-Borelowska
Z wyroku cara. Dziennik zesłanki
 Fundacja Światło Literatury
 Gdańsk 2018
 Stron 314
 ISBN 978-83-942285-1-4



Adam Lizakowski**Poeta, tylko głowa nie ta***(fragmenty niepublikowanego opowiadania pod tym samym tytułem)*

W puszcze – samolocie oka nie zmrużył, miał wrażenie, że jedzie traktorem po niezaoranym polu, czuł, jak samolot zamienia się w traktor, a chmury przybierają postać i kształt ziemskiej grudy na których traktor przechyla się z boku na bok. Gubił się w myślach i rozmyślaniu nad sensem życia, bo samolot jest najlepszym miejscem do rozmyślania o życiu i śmierci, podobnie jak cela więźnia skazanego na karę śmierci. Raz myślał, co by to było, gdyby tak samolot spadł do oceanu, to znowu rozmyślał, co on w tej Ameryce będzie robił? Czy uda mu się z tego tortu świata – coś – po chwili dodawał – spory kawałek, nie okruszki – dla siebie wykroić. Ameryka kojarzyła mu się z tortem – wielkim, smacznym czekoladowym z czerwoną różą na wierzchu. Tort – poezja smaku o której długo się pamięta po pierwszej komunii świętej może nawet przez całe życie. Śmierć i życie, sława i chwała, i głupia bezsensowna śmierć w wodach oceanu, tak, sława, sława, sława!!!

W Ameryce jest na wyciągnięcie ręki, a za sławą są pieniądze, duże pieniądze i jeszcze większa sława. Dlaczego by nie – myślał – przecież tylu – tych cwaniaków z miodem w uszach tutaj się urządziło, gdy w swoich prowincjonalnych państwach i miasteczkach, ba, nawet w stolicach z nudów i z głodu umierali. Mam wszystko, co jest potrzebne, aby w tej Ameryce osiągnąć to, o czym teraz w tym samolocie myślę, zaplanuję sobie, a wszystko musi się spełnić. Jestem orłem, nie dotykam ziemi, umysł mam lotny, nie króliczy albo gołębi mózg polonisty, mogę wyobrazić siebie w tej pięknej Ameryce, nawet już teraz swoje przyszłe życie. Zresztą kto może – tutaj się poprawił – siebie wyobrazić w Ameryce, bo ona sama jest niewyobrażalna. Ona może przybrać kształt lasu, fabryki bez okien, albo mrowiska, ula a w nim wszystkie trutnie i pszczoły pracownice znają swoje miejsca, i wiedzą co mają robić. Tak, tak, można dodać, młody mężczyzna o słodczy w sercu jeszcze niczym nie zatrutym, nauczyciel języka ojczystego, zawsze elegancki, jak budynek szkoły w której uczył, przerobiony z pałacu niemieckiego fabrykanta – architektura zachwyca chociaż czterdzieści lat po wojnie pałac zapomniał o swojej świetności, ale wciąż wyglądał elegancko. Dziesięć godzin ma rozmyślaniach o swojej różanej przyszłości

w słynnym USA minęło szybko – samolot wbrew pozorom nie stał w miejscu – nawet nie wiedział kiedy marzył czy śnił, czy była to tylko jawa a nie sen – pogubił się.

* * *

– Wielkie pałacie światel miasta pod kołami samolotu – wyglądało z wysokości jak jedna wielka plama jasności na płótnie impresjonisty – ciepło witały podróżnych. Ciężki, ale pewny pocałunek lotniska w Chicago – samolot, którego koła jeszcze nie zdołały się zatrzymać, a już tłum ludzi jak gromada much rzucił się na padlinę – wstał z foteli, gwałtownie otwierał skrytki na bagaże tuż nad siedzeniami – jeden drugiemu wypchane torby na głowę spuszczał. Inni pasażerowie w bardzo wąskich przejściach prostowali, plecy, kości i nogi, przepraszaali się nawzajem, potrącając się, dokonywali nerwowych ruchów zupełnie niepotrzebnych, bo nawet drzwi samolotu jeszcze nie zostały otwarte, a kapitan prosił, aby usiedli i cierpliwie czekali, aż zakończy się „kołowanie”. Ale gdzie tam, kto by słuchał kapitana, każdy chciał być pierwszy, przecież to pierwsza zasada amerykańska, trzeba zawsze być pierwszym, o drugich się nie pamięta, a o trzecich to nawet nie warto mówić, a ta cała pozostała reszta, to tylko tło na którym jest się pierwszym.

Gdy wreszcie samolot się zatrzymał i drzwi zostały otwarte, stanęły przy nich z pół uśmiechem stewardesy, życząc wszystkim udanego pobytu na Ziemi Waszyngtona, jednocześnie dziękując za wybranie Polskich Linii Lotniczych LOT. Tłum ludzi jak głodne wilki rzucił się na zwierzę, zwane Ameryką, pobiegł do bramek celników, wydobywając z głębi marynarek i torebek pomięte deklaracje celne i paszporty. Poeta, cywilizowany polonista wolnym krokiem – jak to widział nieraz na filmach kowbojskich, niczym rewolwerowiec idący do baru na szklaneczkę whisky w samo południe – wszedł do toalety, aby się odświeżyć, poprawić krawat i poły marynarki, podciągnąć pasek od spodni, poprawić spinki u mankietów koszuli. Przemycić twarz, ręce i z niezrównaną elegancją udał się do miejsca straży granicznej. Celnik Afroamerykanin popatrzył to na niego, to na zdjęcie w paszporcie, zapytał go:

– *How long are you staying in America?*

Odpowiedział:

– *Thank you.*

A gdy go zapytał:

– *Do you have family or friends in Chicago?*

Odpowiedział:

– *Thank you very much, sir.*

Celnik pomyślał przez chwilkę, zastanowił się i postawił prostokątną pieczęć w paszporcie. Zamknął go i oddał jego właścicielowi, mówiąc:

– *Good Luck sir.*

A Poeta odpowiedział:

– *Thank you America.*

Następnie rozglądając się na boki, udał się do taśmociągu, przy którym już się kłębił tłum rodaków zniecierpliwionych, już się przepychali i rozpychali, rozmawiając głośno. Gotowi z wózkami, zaglądali w gardziel potwora – taśmociągu, aż wypłuje ich bagaże, wtedy oni je złapią za uszy, tak jak się łapie za uszy jakiegoś osła, albo ucznia, przyciągną do siebie i hyc, do następnej bramki z celnikami sprawdzającymi bagaże, czekającymi na nich jak księża na wiernych przed Wielkanocą w konfesjonałach.

– Ameryka, Ameryka jest dla byka, tak mówią w Chicago – powiedział mu to półszepsem pasażer teraz stojący obok niego, ale kilka chwil wcześniej śpiący, chrapiący, siedzący, tuż obok jego ucha, z miną zagubionego chłopaczka w tłumie, któremu za chrapanie na koloniach nauczycielka nakręciła uszy.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział głośno Poeta – ja jestem takim bykiem poezji, czyli herosem słowa, bo one łatwo mi przychodzą. Tutaj, w tej Ameryce spełnię się jako artysta, otworzę się, przeleję swój talent na papier.

– To co w tej Ameryce będzie pan robił – ze zdziwieniem w głosie – zapytał współpasażer. Z tego co pan powiedział nic nie zrozumiałem. Ja na przykład mam brata, który pracuje na budowie, po angielsku *kontrekszen łork*, więc mam już punkt zaczepienia, a Pan?

– Dla mnie cała Ameryka jest punktem zaczepienia i odniesienia. Nie tylko jakaś tam budowa, ale cała Ameryka z ideą Ameryki. Od Ameryki oczekuję wiele – odpowiedział stanowczo – jako człowiek i mężczyzna, poeta i polonista.

Po trzech sekundach dodał:

– To co tam, z drugiej strony oceanu pozostało, teraz jest już bezwartościowe, bo tutaj w tej Ameryce można zdobyć wszystko co najlepsze i na to jestem przygotowany. Jestem przygotowany na wspaniałości Ameryki i całe jej bogactwo, to wszystko dla mnie zostało stworzone i na mnie czeka.

– To dobrze, że jesteś pan na Amerykę przygotowany – a tak poza tym – to dobrze się pan czuje? Niczego nie rozumiem o czym pan mówisz. *Ar ju krejzy?*, czyli po polsku, czy pan zwariował? Jeszcze pan tutaj dobrze

kroku nie zrobił, a ja już czuję, że rozum się panu pomieszał. O takich jak pan mówił i ostrzegał mnie brat przez telefon, tutaj Polacy wariują bardzo szybko, w szczególności kobiety, te już po trzech miesiącach są mocno zakrecone. A swoją drogą to na jakie wspaniałości Ameryki jest pan przygotowany, drogi panie, bo tutaj tylko praca się liczy, i ona jest największą wspaniałością. Miotła, szczota, odkurzacz, szmata, wiadro z wodą, płyny do mycia podłóg, chemikalia, młotek, drabina, podłoga, ściana, sufit, okno, drzwi, pędzel, farba, kolory, ja już znam te słowa po angielsku na pamięć, mam w jednym palcu, brat kazał mi się tych słów nauczyć, to są słowa kluczowe w Ameryce. Każde takie słowo jest warte jednego dolara, wie pan, brat mi powiedział, że już po kilku tygodniach będę w bossem albo *superwajzerem* w brygadzie takich jak pan, co po angielsku ni w ząb. Będę więcej zarabiał na godzinę od pana i lżej pracował. Wie pan, jak jest po angielsku płyn do mycia toalet, zlewów, podłóg? A jakie słowa pan zna na Amerykę, jakie zaklęcia? Umie pan chociaż, jak jest po angielsku pisać wiersze?

– Ja będę pisał po polsku – odparł Poeta – a nie po angielsku.

– Po polsku – zdziwił się jego rozmówca – a dla kogo po polsku.

– Jak to dla kogo – teraz zdziwił się Poeta, przecież w Chicago mieszka milion Polaków.

– A co pan myśli, że ten milion Polaków przyleciał tutaj czytać pańskie wiersze. *Ju ar krejzy?* – Nie czekając na odpowiedź Poety, pasażer kontynuował swoje myśli – tego pan nawet nie wie. Niech się pan stuknie, i to mocno, litrową, plastikową butelką z płynem do mycia naczyń w głowę. Po angielsku *diszłoszing lyktyd*. Jak krew będzie panu ciekła z nosa, ale z przemęczenia i niewyspania, to wtedy będzie pan śpiewał innym tonem o Ameryce, wtedy zobaczy pan ten milion Polaków czytających pańskie wiersze – o takich jak pan już słyszałem, bo brat mi mówił.

– Jestem psychicznie, fizycznie i pod każdym względem na Amerykę przygotowany, na napisanie wielkiego dzieła, nawet kilku dzieł, o jakich świat jeszcze nie słyszał.

– Pan przyleciał do Ameryki pisać dzieła, a z czego będzie pan żył, z tych dzieł? Mamo ja wariat, Wisła się pali. Ratunku!!! *Ju ar faken idot?* Tego nie będę panu tłumaczył. Jeszcze pan nie był w Ameryce, a już mówi od rzeczy – głowę trzymaj pan wysoko, aby krew z nosa nie ciekła, to dobry sposób na to, gdy pół dnia pracuje się na klęczkach ze spuszczoną głową, skrobiąc podłogi w wieżowcach albo wielkich sklepach zwanych po angielsku marketami. Po tych słowach współpasażer podróży odsunął się od młodego poety na drogi koniec taśmociągu, nawet nie mówiąc do widzenia.

Ciemne gardło taśmociągu zaczęło wypluwać pierwsze walizki, torby podróżnych, tłum zafalował jak stado dzikich os. Zakapiało, ludzie z płonącymi twarzami, z błyskiem błyskawic w oczach, z rękami szybszymi od szczęk rekina, łapali za uszy, uchwyty, toreb, walizki, plecaki, za sznurki pudełek, nerwowo dreptali wzdłuż taśmociągu z walizkami, ci, których bagaże nie ukazywały się, zagłądali w gardziel bardzo głęboko – jak pies do budy. Każdy chciał być jak najszybciej, za stołem lub w łóżku, w domu swoich znajomych, przyjaciół lub rodziny. Podróż po wielu godzinach lotu dawała się we znaki, w uszach szumiała krew, w głowie się kręciło, oczy raz szczypały a raz same się kleiły ze zmęczenia.

W Chicago była sobotnia noc, czyli dzień, na który czeka się przez cały tydzień harówki, sobota najważniejszy dzień tygodnia w nim odłamki i ułamki potłuczonych dni tygodnia zbiera się w jedną całość i próbuje to wszystko jakoś poskładać do kupy, nadać temu jakiś sens. Sobota o smaku ojczyzny, emigranci mają go pod językiem, jeszcze pamiętają z własnych krajów, smak tych ciasnych, małych i bezbarwnych przeżyć szamotaniny, które w Ameryce nabierają wymiarów Himalajów i ważności historyjek zmieniających tor życia ludzi, którym Ameryka podała rękę. Poeta doczekał się swojego bagażu, zameldował się u celników z deklaracją celną, nic wartościowego nie wiezie, niczego nie posiada i po paru krokach w strefie bagażowej wyszedł przez drzwi wahadłowe wprost na głośny tłum ludzi, wodospad ludzki, przez chwilę poczuł się, jakby ktoś wrzucił go do klatki z lwami, nie wiedział, czy ma iść na lewo, czy na prawo, czy przed siebie. Ze staromodną walizką w rękę, w garniturze i krawacie na tle pozostałych wyglądał dziwacznie, ale z ciekawością przyglądał się ludziom. Po chwili został rozpoznany przez swoich kuzynów, trzech mężczyzn przed czterdziestką podobnych do siebie jak dwie krople wody, i do Karola Marksa, z bujnymi włosami i brodami, machali do niego ręką, podszedł do nich na ugiętych nogach. On w życiu by ich nie rozpoznał, bo ostatni raz ich widział, gdy jeszcze na stojąco wchodził pod stół, ale oni mieli jego zdjęcie. W przeciwieństwie do innych rodaków, nie rzucili mu się w ramiona, ani nie przyciągnęli go do piersi, nie było tego *lotniczego oblatywania* się. Nie było na ich ustach uśmiechu, odślaniającego dziąsła i zęby, kuzyni byli niewzruszeni jego widokiem, ani głęboko, ani dogłębnie, można nawet powiedzieć, że wcale nie byli wzruszeni jego widokiem i spotkaniem z nim. Podanie ręki wystarczyło, i parę słów: *no już jesteś, no tak już jestem, no to chodźmy do auta*. Poszedł z nimi po omacku, uściski ich dłoni nie były radością, jakiej nie wiadomo dlaczego się spodziewał,

ale jakimś dziwnym smutkiem. Jemu nie było smutno ani wesoło, tylko poczuł się jak owca, którą pachołek ciągnie na sznurku wokół szyi do rzeźnika, a ona kręci łbem w lewo i w prawo, jakby chciała po raz ostatni zapamiętać mijany świat.

Kuzyni ubrani w stare zniszczone i znoszone ubrania, których kolor dawno już stracił kolor, a strzępy nitki z rękawów i kołnierzy marynarek dawały do zrozumienia, że ubrania te były w niejednym miejscu i na niejednych plecach. Kuzyni mieli takie same ubrania i uśmiechy. Przy nich młody Poeta-polonista wyglądał jak kolorowa papuga wśród wróbli, ale ani jego wygląd ich, ani ich jego nie speszył. Ostry nóż codzienności odcinał go od nich i ich od niego, ale ten nóż był tylko metaforą życia. Nie było wylewnego przywitania, szeptów, syczeń, miłych słówek i formułek, ani pytań typu *jak tam ciocia Stasia żyje, a co tam nowego i wujka Jurka. Jak wam się żyje w tej Ameryce, czy jesteście zadowoleni, szczęśliwi*. Po co? Wszystko było jasne, bez błaznowania, w czym się rodacy wielce lubują, panował chłód, ale bardzo zdrowy chłód, który sprawia, że stosunki między ludźmi są bardziej znośne, niż gdyby miało być gorąco i duszno. Z każdym ich krokiem tłum ludzi malał, roztopiał się, rozpraszał wśród licznych pomieszczeń, korytarzy, pięter lotniska.

Kuzyni zabrali młodego Poetę z lotniska, tak jak zabiera się kolorowy obraz, szybko i sprawnie, aby niepożądane oczy gapiów zbyt wiele nie zobaczyły. Wsiadli do auta, które od co najmniej dwóch dekad nie było myte, a siedzenia w nim miały wystające sprężyny. Nie pachniało tam różami ani wanilią, ale unosił się zapach starych szmat i oleju, smarów ze skrzyni biegów. Jeden z kuzynów o twarzy Marksa, o czole ukrytym pod gęstą grzywką włosów, ale pooranym zmartwieniami, tak mocnym, że mógłby nim przebić niejedną ścianę, wyciągnął w kierunku Poety kopertę – jak się okazało – od tego czwartego, który go zaprosił, ale nie przyjechał na lotnisko.

– Kuzynie – powiedział oschle z grymasem na twarzy – mam dla ciebie dobrą wiadomość – i wręczył kopertę. – To dobry znak dla ciebie – dodał – na dzień dobry w Ameryce otrzymujesz życzliwy list z kasą, lepiej być nie może.

Młody Poeta niewiele z tego zrozumiał, ale otworzył kopertę, na dużej żółtej kartce wielkimi literami było napisane:

Drogi kuzynie daję ci czek na pięćset dolarów. Idź z nim do banku, otwórz sobie konto, ale pod warunkiem że nie dojdzie między nami do spotkania. No, może kiedyś tam, ale nie tak szybko. Pieniądze są na zagospodarowanie i jak tylko będziesz mógł mi oddać je, to oddaj. Na czeku w lewym górnym

rogu jest mój adres, na który wyślesz sumę, którą dzisiaj ci przekazałem, o odsetkach pogadamy kiedy indziej, teraz o nich nie myśl. Jest też tam mój numer telefonu, ale nie dzwoń ani nie pisz do mnie. Życzę powodzenia i pamiętaj, że Ameryka jest dla byka.

– Już to dzisiaj słyszałem na lotnisku – powiedział Poeta do siebie. – Ameryka jest dla byka.

– Co słyszałeś? – zapytał jeden z kuzynów.

– To, że Ameryka jest dla byka. O tym też pisze kuzyn w liście.

– To dobrze, że tak pisze – powiedział kuzyn – bo musisz o tym pamiętać i być bykiem, takim *Chicago bulls*. Rozumiesz.

– Tak, rozumiem – odparł Poeta.

Po raz pierwszy usta kuzynów się uśmiechnęły.

Mieszkanie, do którego go przywieziono, a schodziło się tam kilka stopni w dół, nie przypominało kaplicy, w której ciało nieboszczyka leży w trumnie tuż przed pogrzebem, ani celi więziennej, bo byłem w nim meble kuchenne, wisiały firanki, były duże dwa okna i parapety, na których leżały wysuszone muchy, stały butelki po piwie. Była to przestrzeń z drugiej ręki tak samo jak ubrania i samochód kuzynów. Po angielsku nazywało się *basement*, a po polsku piwnicą lub suteryną. Gdy postawił walizkę na podłodze i usiadł za stołem, przydzielono mu miejsce w lodówce, druga półka od dołu, w łazience miejsce na mydło i takie tam rzeczy, otrzymał też nóż, widelec i łyżkę, kubek i talerz, każda rzecz z innej parafii. Poczęstowano go herbatą w kubka w kształcie kobiecego biustu, jeść mu nie dali, bo to niezdrowo jeść na noc. Prezentów dla kuzynów nie miał, bo w Ameryce wszystko jest i co on miał przywieźć im z tej biednej Polski, sam też niczego więcej nie otrzymał. Po tak skromnym, ale jakże wymownym przywitaniu z pustką w głowie, szumem krwi w uszach, z bezsilnością w nogach, z oczami pełnymi chicagowskich autostrad, całą niedzielę przeleżał zwinięty jak jednodolarowy banknot na materacu w kącie pokoju, w którym poza nim i małą garderobą ukrytą za lustrami nic w pokoju nie było. Nie, była jeszcze żarówka pod sufitem ze słabym okiem światła, patrząca na niego, gdy przewracał się tak z boku na bok. Trochę spał, trochę drzemał, śnił na jawie, bił się z myślami o tym, jak najlepiej rozpocząć życie w Ameryce, od czego zacząć, na pewno od kupna zeszytu, grubego zeszytu – ta myśl najbardziej pchała mu się do głowy.

Kuzyni coś tam sobie w niedzielne popołudnie gotowali na kuchence gazowej, może nawet jakiś obiad, bo zapach czegoś smażonego unosił się po całym mieszkaniu, ale Poetę na strawę nie zaprosili. Jednak potem

poczęstowali go kolacją: chlebem z pasztetem i cebulą oraz gorącą herbatą z cukrem. Na pytanie *Jak mu się spało w pierwszej noc w Ameryce* odpowiedział *Dobrze*, a co mu się śniło odpowiedział *Nic*. Na pytanie *Czy już wie, co będzie robił w Ameryce* odpowiedział, że *Będzie pisał wiersze*. Wtedy jeden z kuzynów zapytał go, dlaczego nie pisał wierszy w Polsce, tylko czekał z tym, aż przyleci do Ameryki? Odpowiedział, że pisał, ale nie miał możliwości do rozkwitu, bo warunki były niesprzyjające, że był poza wszelkimi układami i nie było szans, aby kiedykolwiek zadebiutował, bo ci poeci z wielkich miast nie pozwoliliby mu na rozwinięcie skrzydeł. Kuzyni nerwowo przełożyli lewą nogę na prawą, popijając herbatę, nic się nie odzywając, popadli w stan drętwoty. Nastąpiła piwniczna cisza, którą przerwał jeden z nich, pytając, czy taka sytuacja nie powtórzy się tutaj w Chicago. Młody Poeta bez namysłu odpowiedział duże *NIE*.

– Dlaczego nie – zdziwił się kuzyn. – Skąd wiesz, że nie?

– Bo – zająkiwał się Poeta, przewracając oczami – szukając w głowie jakiejś sensownej odpowiedzi – bo tutaj ich nie ma, a po drugie to jest Ameryka i tutaj wszystko jest możliwe, a w Polsce nie.

– Aha! – odpowiedział jeden z kuzynów. – Wstał z krzesła, rozpiął kamizelkę jakby poczuł w sobie jakaś nadzwyczajną siłę, jakby jakieś życiodajne soki napłynęły mu do głowy. Usiadł i zapytał spokojnie – czy nie myślisz, że problem z pisaniem wierszy leży w tobie, a nie w jakichś tam poetach z miast i wsi w Polsce? Czy myślisz, że jedenaście godzin lotu nad oceanem przemieniło cię tak bardzo, że jesteś innym człowiekiem. Idź do łazienki i popatrz na swoją twarz, a zobaczysz te same oczy, te same zęby, nos, uszy, włosy wszystko to samo, nic się przez te trzydzieści godzin nie zmieniłeś, ty jesteś sobą, ty jesteś ty, tylko teraz nie w prowincjonalnym kraju, ale w sercu świata, które bije dla wszystkich.

– Tak wiem, fizycznie się nie zmieniłem, ale mentalnie tak, i to bardzo – odpowiedział Poeta.

– Czyżby? – odezwał się drugi kuzyn, – Twoje myślenie o sobie samym jest takie samo jak w Polsce, ty jesteś nie emigrantem, ale uciekinierem przed samym sobą. Dlaczego myślisz, że w Ameryce będziesz inny, że co, że Ameryka nauczy cię myśleć inaczej albo że kręte i zawile drogi twojej wyobraźni wyprostuje i teraz wszystko będzie dziecinnie proste? Mylisz się, mój kochany, nic takiego nie nastąpi, bo nie może nastąpić. Nie pisałeś tam wierszy i nie będziesz pisał tutaj, skok za ocean niczego w twoim życiu nie zmienia. Komuna upadła, nie pisałeś wierszy, kapitalizm nie inspirował, i Ameryka i jej kapitalizm też cię nie zainspiruje.

– Dlaczego tak myślisz – złęczonym głosem odezwał się poeta?

– Bo tam byłeś na marginesie literatury powiedział trzeci kuzyn – właściwie poza nawiasem i tutaj będziesz na marginesie literatury, jeszcze większym, bo Ameryka jest ogromna, a Polska daleko, a margines stał się wielki jak ocean. Kapujesz?

– Nie, nie kapuję – powiedział Poeta.

– W Polsce nikt nie chciał czytać wierszy poety z prowincji – powiedział kuzyn. – Teraz nikt nie będzie chciał czytać wierszy poety z Ameryki. Nie było ci tam dobrze i dobrze nie będzie tutaj, zanim tutaj zapuścisz korzenie, miną lata, zanim odchorujesz jak roślina przesadzenie z jednego miejsca w drugie, miną dekady. Ta choroba adaptacji nieznana współczesnej medycynie. Może się nigdy nie skończyć. W Polsce sobie nie radziłeś, to dlaczego tutaj masz sobie radzić?

– Wierz mi, poradzę sobie – powiedział Poeta bez większego zastanowienia – nie mającę ani nie bredzę.

– A ja myślę, że bredzisz – powiedział kuzyn. – Dlaczego? Bo myślisz jak większość, że Ameryka to tort albo mleczna krowa, która da się tak łatwo wydoić, pozbawić tego, co ma najlepsze, mleka, ale tak nie jest. Ciesz się, jeśli Ameryka-krowa pozwoli ci grzebać w swoim gównie, pozwoli ci być takim małym żuczkiem, który żyje na jej łąnie. Wszyscy tutaj jesteśmy takimi żuczkami, emigranci z każdej części świata, nawet rodowici Amerykanie. Grzebiemy się w tym gównie, wybierając co lepsze kąski dla siebie i swoich rodzin. Ameryka dla ciebie ani dla nas to żaden tort, tylko krowi placek. Kto pierwszy to zrozumie, ten wygra, kto pierwszy do tego placka krowiego dobiegnie, ten skorzysta najwięcej. Nie jesteś ani Odyseuszem, który szuka swojej ojczyzny – poezji, ani wędrownym brodatym bardem, który musi babrać się w amerykańskim gównie, bo nie chciał w Polsce babrać się w polskim. Nie spotkasz tutaj żadnego anioła stróża, co poda ci rękę, bo tutaj jesteś nim sam dla siebie. Wracaj do swojej norki żuczka, żyjącego na krowim placku, pomasuj serce, skronie, pomyśl nad tym, co powiedziałem w imieniu nas wszystkich i pamiętaj: nie byłeś w ojczyźnie genialny i tutaj nie będziesz. Ale jest taka możliwość, że przejdiesz polaryzację czaszki, że zresetujesz swój mózg, tak jak resetuje się komputery, czyli to, co powiedział Chrystus, że trzeba narodzić się na nowo, ale to się nikomu nie udaje, no, prawie nikomu. Jednemu na milion, chociaż miliony uważały i nadal uważają, że to im jest Ameryka przeznaczona. Marzy ci się dać świadectwo swojego istnienia, może zamiast poezji zacznij pisać prozę pod tytułem *Dziennik*

rozczarowań. Rozpisz swoje imperium codzienności poetyckiej na prozę białej gorączki. Rozpisz Amerykę na długie linie, na to, czego nie udało się jeszcze żadnemu Polakowi o Ameryce napisać łącznie z Miłoszem, który w swoim krowim placku amerykańskim doszukał się własnej tożsamości, ziemi bagien, gdzie żyją komary i pijawki, a wrony dalej już niż Kowno nie lecą, bo zawracają.

Dzierżoniów, czerwiec 2018

Adam Lizakowski

Jacek Pankiewicz

Egzemplarze boskie raczej, niż przykrólewskie

1

Pani Magister dociekliwie pyta, jakich to ja mistrzów miałem? brałem wzór z kogo?

A więc odpowiem: najpierw to były Drzewa, bo rosną prosto, wysoko; nie skręcają za wiele na boki, i są najdłużej tu z nas wszystkich.

Ale były i Zwierzęta, te już bardziej chytre, a niektóre dawały się polubić czasem.

Podobieństw między zwierzętami a ludźmi nie zauważałem wtedy wcale. Prawie pewien byłem, że to my jesteśmy, no tak bardziej boscy.

A pierwszym z ludzi dla mnie kto był?

No, chyba ten pan.

– Przyszedłem do pana, Panie Redaktorze prosić...

– A to ty jesteś ten mądrała, co to już prawie przygotował się do matury!

– Do matury ja? skądże! nie jestem taki stary! ale kazali bym napisał – to czemu nie, wziąłem i napisałem... przyszedłem właśnie prosić Pana o jakieś zlecenie nowe! Macie tu dobry tytuł, „Życie...” odpowiada mi!

– Zlecenie powiadasz? ... To idźcie sobie kolego teraz do parku, na ławeczkę; posiedzicie i wymyślicie sobie, jakie byście chcieli dostać zlecenie. A jutro ja na biurku tu chcę mieć gotowy materiał. Zgoda?

– A czemu nie – zgoda!!

Miał on przez cały lewy policzek głęboką szramę. Lecz wtedy, wiadomo, były lata pięćdziesiąte, o takie rzeczy nikt nie pytał. Gdy wchodziłem, był zagniewany jakiś, a teraz już trochę uśmiechnięty. Nadaje się na szefa pewnie? pomyślałem.

Poszedłem i przyniosłem.

A miałem już wtedy 15 lat, wiedziałem, czego się można spodziewać po szkole, po domu. Nie wiedziałem tylko, co będzie dalej ze mną? Czas było zacząć nowe życie! No i poczuć się jakoś – tak bardziej w sobie!

Skoro żyjesz tylko raz, jak mówią, to może i po to,

by się w tym czasie lepszym, i coraz ciekawszym zdążyć stać się!

nie jako ten uległóścian w kącie – obok różnych innych uległóścianów.

2

Do czego zmierza ten świat?

Zapytaj dziś co drugiego, a każdy powie, że do katastrofy.

Czy nie warto zmienić kierunek?

Bo my zaczynaliśmy inaczej.

Chociaż i dziś są tacy, którzy coś zaczynają! nawet umieją i wytrwać w czymś!

czasem na wielki wysiłek ich stać – i na zrozumienie przede wszystkim! zdobywają sztukę stawania się kimś nowym – by jutro i względem siebie stać się innością!

Popatrzcie na tego człowieka. Niepozorny, zmęczona, poorana bruzdami twarz... Ale jest w nim siła!

Bo to Mistrz! On samym środkiem życia kroczy. I wspina się wyżej i wyżej!

– Jestem himalaistą. Wracam z wyprawy.

Kiedy stanąłem w drzwiach, widzę, jak tu cała rodzina czeka, bliscy i nieznajomi...

– a gdzie Kajtek?

– Kajtek w szpitalu leży, na zapalenie opon mózgowych,

– to i od tej chwili i dla mnie, na trzy miesiące co najmniej, nie ma tematu Himalajów! To wam powiem!

Wracając z gór – natychmiast wzniosł się na poziom ludzki.

3

A jak to jest z państwami? wznoszą się, czy opadają? a kiedy?

Jeśli w którymś mądrości się nie ceni – to jak mogą wznieść się wysoko?!...

Był rok 1918. Ojciec Miszy, lekarz, ratował innych, zginął od wybuchu bomby; a rzecz dzieje się w mieście, które nazywało się wtedy Elizawietgrad, dziś Kropywnycki, Środkowa Ukraina, 300 km na południe od Kijowa; ładna rzeka tam płynie.

Ginie ojciec, ktoś musi przejąć obowiązek utrzymania rodziny; więc pozostałymi przy życiu matką i siostrą opiekował się Misza, najmłodszy w rodzinie; co wydaje się dla niektórych normalne, u mnie w domu też tak było. Misza parał się trochę malarstwem, interesował muzyką, bo była to rodzina „o korzeniach artystycznych”. Lecz ten chłopak przede

wszystkim robił, co jest niezbędne do życia, dawał korepetycje, trochę był i dziennikarzem, pomocnikiem piekarza.

Przez to i rozchorował się, na gruźlicę układu kostnego; a gruźlica wiadomo, ciężka sprawa wtedy.

Jednak szczęśliwym trafem pomoc znalazł za granicą, w Polsce właśnie; pilnie potrzebującemu ten kraj najlepszy, który ma dobrych ludzi.

I tu się przeniósł, zaczął pisać nawet;

ale po rosyjsku, bo niby jak!

A gdy nauczył się polskiego, wydał *Białych braci*, książkę po polsku;

no i znaleźli się znów przyjaciele nie byle jacy!

„Będę trąbił gdzie się da, że napisał Pan książkę stojącą na poziomie najlepszych dzieł Conrada, co jest prawdą!”

tak wysoko ocenił go Józef Wittlin. I rzeczywiście, słowa dotrzymał, trąbił o nim gdzie trzeba, aż pan Michał Choromański został laureatem Nagrody Młodych Polskiej Akademii Literatury. A ja wiem od samego Choromańskiego, że miał przed wojną w Polsce najwyższą stawkę honoracyjną, znacznie wyższą od Marii Dąbrowskiej, która już wtedy była u nas wzorcem różnych miar.

4

Aż przyszły lata, kiedy i mnie jakoś żyć przypadło. Też nielekkie się zaczynało, bo wojna, fronty, rozbita rodzina; ale i udało się to przejść. No i się czegoś naumiało.

Jednak gdy miałem już 22 lata – spotykały mnie same kłęski: mój rok skończył studia, poszedł na „nakazach pracy” w teren gdzieś, dla socjalizmu rabotać. A ja byłem już nikomu potrzebny – tamto „szczęście” mnie ominęło, zostałem n czas relegowany –

i namówiłem Najsilniejszego kolegę z akademika, by na dykcie wypisać transparent „NIE CHCEMY BYĆ BEZROBOTNYMI MAGISTRAMI!” i ponieść to na manifestacji 1-majowej; zrobiłem to i na swoje urodziny trochę, co zresztą ukryłem przed kolegą, lecz święto musi być.

I gdyśmy doszli już na Pl. Zwycięstwa, dziś Piłsudskiego, dyktę nam wyrwano z rąk, połamano na drobne kawałki, tyralierą odkopano to aż pod ówczesne ruiny Teatru wielkiego;

kolegę, że się stawiał, bo silniejszy ode mnie był, zabrała milicyjna buda; a mnie „milicja robotnicza”, Rękacze z Żerania grubymi własnymi łapami zaobrączkowali, tak by już przez całą resztę pochodu mnie nie

puścić, niech zobaczy to aż tow. Gomulka, przed PKiN; zmuszali przy tym wciąż bym krzyczał „Niech żyje! Niech żyje”, wymachując moimi uwięzionymi rękami, w górę i w dół, jak czymś swoim, aż się ten cały pochód skończy;

i co z tego, że o trzynastej piętnaście Radio Londyn podało, „niezależni studenci w Warszawie zbuntowali się, strajkują”, nikt nam z pomocą nie przyszedł; Rękacze puścili mnie, gdy się znudzili, dopiero przy Pikulcu, na skraju Alej – –

...i zachodzę ja, już w porządnym roboczym dniu, do SPU na Krakowskim, Studenckiego Punktu Usługowego, tam chłopaki zwykle brali zlecenia różne: na przeprowadzki, na wygruzanie wagonów na dworcu, trzeba jakoś żyć! Zachodzę i

– Jest robota?

– Przecież ty za słaby do prawdziwej roboty jesteś! ... Ale zaraz: jakiś facet tu przychodzi i mędzi, że on chce na imprezaria kogoś mieć, taki zabawowy jakiś!

– impresaria!

– „imprezaria” powiedział; on tak w ogóle z akcentem mówi; może i podpucha jakaś? sprawdź ten adres.

Mieszkanie było w nowiułkim bloku na Marszałkowskiej, pierwsze czy trzecie piętro, okna wychodziły wprost na Świętokrzyską. Wchodzę, duży zwalisty gość z fotela się nie podnosi, ale odpowiada mi na dzień dobry; jakaś pani stoi obok, całkiem całkiem, nie powiem; a fotel to miał oparcie wysokie bardzo, i był bujany, rzadkość u nas wtedy;

– Ach, to pan! cieszę się bardzo! pan polonista prawda?

– Niedomagister, magistrant, choć ja na to mówię nie magistrat i nie ministrant! brońboże minister! a jeżeli już to maestro raczej, ale to może kiedyś –

– Rozumiem! ale na literaturze się pan zna!

– Co nieco. Choć teraz właśnie powinęła mi się noga, relegowany zostałem...

– To może i dobrze się składa, bo mam tu dla pana tekst, przeczyta pan? i podaje mi maszynopis gęsto ucpany, zgrabną czcionką co prawda, na Underwood, taką maszynkę miałem potem, a tych stron to było chyba 23...

– mógłby pan to umieścić gdzieś w prasie... czy sprzedać w teatrze?

– no, jest u nas sporo gazet i teatrów! jeden taki to nawet od środka niezłe poznałem niedawno,

– teatr? a jakiż to?

– a najlepszy co jest, na Karasia, Polski; miałem tam aktorską rolę, ważną, ale jako zmiennik; pan rozumie, aktor się spił i zasnął, to ja jak sprężyna zza kulisy wyskoczyłem i zastąpiłem go. Gratulowali mi potem uratowania przedstawienia! różni ważni ustawili się w rządku, ja naprzeciw nich sam! ale i odszedłem zaraz, gaży nie chcieli odnieść! za jedno na 20 zł im ratować przedstawienie co wieczór?!

– ach tak! a no tak!

– Ruth, to cóż, może spróbujemy?

Pani Ruth najpierw roześmiała się tak po aktorsku, szeroko, szczerze;

– a czemuż by nie!

jakąś dziwną miętę przez rumianek poczułem do niej od razu, a wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to tancerka! ale bo po ludziach różne fluidy chodzą! ja przecież też tancerz byłem, tyle że dansingowy, z „Piekiełka” w Międzyzdrojach najczęściej;

–...i czemuż by nie, odpowiedziała Pani Ruth Panu Michałowi.

I od razu Pan Michał, zwalisty ciężki chłop, z fotela zrywa się, gestem wskazuje mi zwolnione miejsce: – Proszę!

– Jak tylko przeczytam, to ja Państwu zaraz dam znać!

– A nie! pan to przeczyta teraz, proszę sięść wygodnie w tym fotelu!

I stanęli nade mną. A ja już siedzę.

Bo fotelu kto wie, Polak może i więcej potrafi?

Tak przez czterdzieści minut wczepieni wzrokiem wisieli nade mną! lecz były aktor się nie łamie, były aktor wie, co to jest gra, zawsze pod kontrolą, choć to i kłuje w oczy; ale jak tak lubią, to niech sobie i kłują!

Zaś gdy się czyta, to i przeczyta kiedyś.

Aż i przeczytało się!

A oni we mnie wciąż – tym Wparzeniem!

To ja chwileczkę chwileczkę, niech i odpocznę sobie teraz.

–...no i?

– I co?

– No tak! odpowiedziałem tonem uspokajającym – Będziemy to drukować!

– Pan tak myśli?!

– Tak. Bo to jest dobre.

Nie miałem ja w Warszawie żadnego przyjaciela wtedy, ani kontaktu do życia, choćby dla siebie! żadnych znajomości dobrych.

No ale jak nie dla siebie – to może dla kogoś?!

I czegoż to nie da się zrobić dla innych!

Umieściłem teksty wszystkie, które mi dał,

„Szkolę marmuru” w Polskim, gdzie niejaki dyr. Balicki po przewlekłym długim milczeniu to odrzucił; a przyjęła zaś chętnie PWST, i natychmiast zinscenizowała u siebie;

tekst „próbny”, który odpowiedzialnie tak czytałem, złożyłem w „Trybunie Literackiej”, świeżym wtedy dodatku do „Trybuny Ludu”, który powstał dla zaznaczenia niby to odwilży, po Październiku; przyjęto, ale spadło ze szpalt, nie wydrukowano, jednak musieli zapłacić pełne honorarium!

kilka tomów *Dramatów* oddałem wydawnictwu PAX, gdzie wyszły drukiem.

Pan domu, już nie mówiąc o pani Ruth Sorel, przypadli mi do gustu jakoś. Pewne synapsy widać zdarzają się wspólne różnym ludziom, więc może były i zadziały –

A był też wówczas w Warszawie biskup pewien, czynny i ważny, nomen non omen Choromański zresztą –

to i koledzy z akademika dworowali czasem:

„a wczoraj to znów widziano jak po Krakowskim Pankiewicz z Biskupem na obiad do SPATIF-u podążali sobie; może i na kolację zresztą?”

rzeczywiście, mogę się pochwalić, przez pewien czas zaliczany byłem towarzysko... poniekąd do episkopatu; były takie czasy i spłyły.

Jednak pan Michał, *Miszel*, jak mówiła żona – nie narzekał teraz, jak podobno przed wojną, na niemożność twórczą – dostał szwungu takiego, że co rok to prorok! przez ponad dekadę strzelał coraz to nową książką.

5

Pewien kompozytor, a bardzo zdolny był, więc do tego jeszcze bardzo się starał! On też i religijny był, msze katolickie pisał, chociaż sam nie katolik, ale ewangelik; a dzieci też spłodził wiele, bo jeśli się nie uda jemu, to niech chociaż im. I niebawem tak sławnym został, że już teraz tylko na uznanie od Króla czekał.

I zaprosił go Król, bo sam trochę muzykalny był, coś tam skrycie pisał, jak to króle,

i poprosił kompozytor Króla, żeby mu zadał specjalnie Temat jakiś!

– a nic prostszego! odpowiedział Król, mam oto już przygotowany!

to i mu zadał.

Wtedy kompozytor, by okazać, że i na poczekaniu też niezły jest, wziął i skomponował utwór na ten zadany Temat

...akurat słucałem go ostatnio, trwało to dość długo, nie chciało mi się wyłączyć, bo „warsztatowo” i owszem, całkiem to wybitne było, zastanawiałem się, czy to nie jego.

A Król na swoim zamku jeszcze raz to zagrał, potem poszedł tam gdzie króle piechotą chodzą,

i do innych obowiązków zabrał się,

zanim na wojnę się udał, by powojować, a wreszcie zabrał się do rozbioru Polski.

6

Lecz patrzcie na nią.

Na jej Figurę i nie tylko! toż to najwyższa kwintesencja wyrazu jest! sam taniec! ...

każdy widzi, jak się tu cała geometria układu. Jak ta Rusajka swobodnie podaje każdy jej wyraz i kształt! czy to nie Anna Pawłowa? boska!

...aby wydostać się z bezdni zastanej, nieraz i z przyrodzonej nam bezdni nonsensów,

człowiek najwyższym wysiłkiem się zbliża do coraz szlachetniejszej postaci!

potrzeba – czyni nas geniuszem!

21 kwietnia 2018

Jacek Pankiewicz

Alicja Patey-Grabowska

Starówka w ogniu

(Fragment przygotowywanej do druku książki „Śnieg Gorejący”)

Zniża lot. Wibrujący dźwięk przenika ściany piwnicy.

Jeszcze nie tu. Ale gdzie? Tak blisko.

W czasie nalotu należy być jak najbliżej dziury wybitej w murze łączącej piwnicę z sąsiednim domem.

Kurz. Blisko. Płomień karbidówki zachwiał się jak za podmuchem wiatru.

Przez otwór przedziera się zgięty w pół chłopak z opaską białoczerwoną na rękawie. To Herek – 11-letni syn dozorczy. Jest kurierem. roznosi listy, prasę powstańczą i najnowsze wiadomości.

– Gdzie walnęło? – dopytują się kobiety.

– Blisko. Pod dwudziestym drugim.

– Są rani? – pyta mama, która jeszcze przed wybuchem wojny ukończyła kurs pierwszej pomocy.

– Są. I zabici – odpowiada Herek i znika w czeluści otworu.

Na razie cisza. Słychać tylko pojedyncze strzały. To „gołębiarze” ukryci gdzieś na dachach strzelają do ludzi wychodzących na podwórko po wodę.

Mama spogląda na babcię, która spokojnie przesuwa koraliki różańca.

– Uciekłyśmy z deszczu pod rynnę – mówi mama do babci ściszym głosem. – Z Kresów do Warszawy. A wujek mówił, że tu bezpiecznie, względnie bezpiecznie. To, co stało się na Woli, jest jakby powtórką tamtego. Tyle ludzi zamordowanych. – Jeszcze bardziej ścisza głos, żeby dziecko nie słyszało. Dziecko tyle przeszło.

Ale ona wie. Ludzie z piwnicy o tym mówili. I mówią. I dzieci. Herek. Boi się. Noża. Boi się siekiery, bagnetu. Woli zginąć od bomby. A jeśli przeżyje pod zwałem gruzu, będzie się dusić.

– Trzeba wierzyć w Opatrzność – mówi babcia – Nad nami czuwa. I twój ojciec.

Ludzie w transie odmawiają Różaniec. I przed powstaniem też. Każdego dnia przed figurką Matki Boskiej stojącej w niszy ściany domu, zbierał się tłum mieszkańców.

Śpiewali:

– Od powietrza, głodu, ognia i wojny.

Zachowaj nas Panie.

Melodia tego hymnu wzniosła, proszalna, przecinająca sobą wibracje powietrza, wznosiła się jak na skrzydłach nad wszystkimi podwórkami warszawskich kamienic.

I znów ostry, ciężki, dudniący ryk nadlatującego bombowca.

Ludzie z piwnicy domu przy ulicy Podwale 22 – kobiety, dzieci, dwóch mężczyzn (wszystkie patrzyły na nich pogardliwie, chociaż tłumaczyli, że są kontuzjowani i nie mogą walczyć) wszyscy skupili się wokół wyłomu w murze, zbawiennego otworu.

Ta dziura może uratować, Przytulają się do wilgotnych cegieł, jakby chcieli zrosnąć się z nimi, wnikać.

Huk. Pył. Zgasła karbidówka. Kurz wciska się do gardła, dławi.

Cisza.

Nagle przenikliwy kobiecy głos:

– Ludzie, żyjecie? – To Stolarkowa, żona dozorczy, matka Herka.

To jej głos.

– Żyjemy – ktoś odpowiedział cicho, zanosząc się kaszlem.

Dzieci w płacz.

– O Jezusie – słychać zawodzący głos kobiecy.

– Cicho! – krzyknął mężczyzna. – Żyjemy.

Ktoś próbuje zapalić zapałkę. Zaświecić latarkę.

Po chwili jak wieczność zjawia się w otworze Herek. I dwóch powstańców. Młodzi, wysocy, sięgający głową sklepienia piwnicy.

– Nic wam się nie stało? – Ich raźny głos dodaje otuchy, wlewa nadzieję i radość.

– A wiecie? Walnęło w ten dom. Tylko bomba nie przebiła stropu.

Alicja Patey-Grabowska

Krzysztof Saturnin Schreyer

Maraton

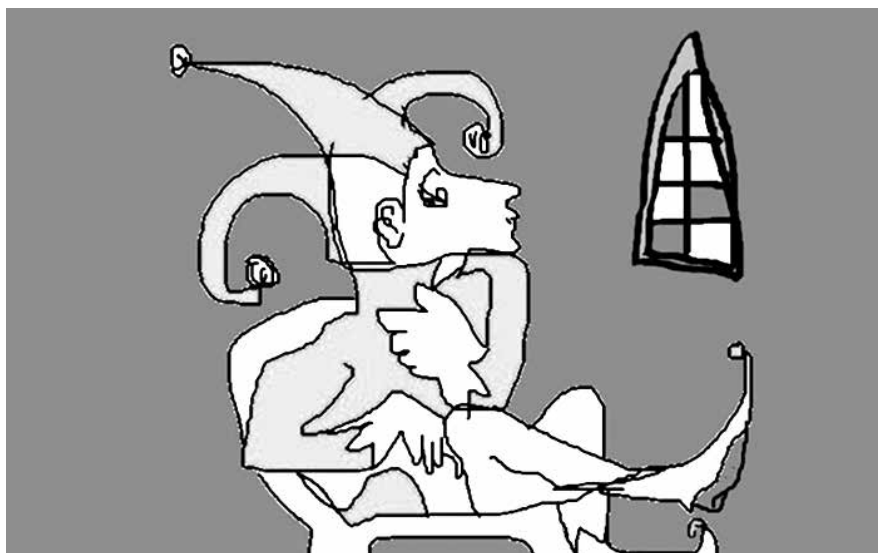
(fragment dziennika)

Malta 15 II 86 (niedziela)

Specjalnie zamieniłem dyżur, aby zobaczyć finisz maratonu. Rok temu oglądałem maraton razem z Milenką. Było wtedy słońce, odświętna atmosfera, obie jezdnie nadbrzeżnej drogi oczyszczone z samochodów. Mała Milenka klaskała z przejęciem i nie można jej było odciągnąć od tego pozornie monotonnego, a jednak fascynującego widowiska. Dzisiaj mniej słońca, mniej ludzi, sznury samochodów. Zaskakująca rozbieżność między wysiłkiem biegaczy i obojętnością ludzi. Oczywiście tłumek przy linii finiszowej klaskał i krzyczał, ale poza tym – zwykła niedziela, tyle, że z samochodami obwozącymi podobizny kandydatów Labor Party. Przyglądałem się uczestnikom uważnie, zwłaszcza tym, którzy przybiegali więcej niż półgodziny po zwycięzcy. Mało kto biegł ładnie, wielu było dziwnie przekrzywionych, wielu ze szklistym wzrokiem, choć wielu zarezerwowało sobie sił na dziarski finisz. Odszedłem trochę dalej na trasę i wtedy dostrzegłem ową samotność długodystansowca przemierzającego kilometry wśród samochodów, bez aplauzu, bez uznania, odprowadzanego obojętnym wzrokiem kierowców i przechodniów. Nie ma w tym żadnej tragedii, tylko rzucająca się w oczy niewspółmierność walki biegacza z sobą, z własnym wyczerpaniem czasem, a zwyczajnością niezaburzonego życia obok, niemal na wyciągnięcie ręki. Za linią mety znów szybko zarzucony przez głowę medal pamiątkowy na szarfię, plastikowy kubek z płynem i znów – obojętność. Niektórzy zerkali na zegarki, oceniając swój własny, prywatny triumf lub porażkę. Co ich gna do uczestnictwa? Nie mówię o tych, którzy nieświadomie, po raz pierwszy w życiu rzucają się z motyką na słońce i po jakimś czasie przestają biec i idą zmęczeni, by po odpoczynku znów zacząć trucht. Ale są tu tacy, wcale nie najlepsi, którzy przemierzają kraje od maratonu do maratonu. Są w różnym wieku, wielu wyglądało na lat 50 i więcej, a jednak mieszczą się w czasie 3 i pół godziny – wynik godny podziwu. Jakby to było ze mną? Może jednak kiedyś wezmę udział.

Gdyby nie ten ból nóg... rok temu mój prywatny pół maraton wypadł całkiem nieźle. W tym roku przeważył tenis, w wyniku czego wciąż mocno kuleję. Ale korci mnie maraton, który jest jedną z nielicznych imprez, w których uczestniczą „zawodowcy” i amatorzy. W tych sztywnych nogach, brzydkim, urywanym biegu, w tych wyciągniętych, nieobecnych twarzach jest coś mistycznego. Nie ma tu elegancji wielkich biegów na stadionach, nie ma gracji ruchów, szybkość u przeciętnego uczestnika jest niewielka, sylwetki zbyt chude lub zbyt przysadziste – brzydota, która niesie z sobą coś, co wywołuje we mnie wzruszenie, niemal łzy. Jak to nazwać? – nie wiem...

Krzysztof Saturnin Schreyer



Stańczyk дума. Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Z przekładów Joanny Jagiełło

Carol Ann Duffy

Wybór wierszy

Ty

Nieproszona, myśl wieczorna o tobie nie chciała z mojej głowy odejść,
więc poszłam spać, a ty tak mocno, mocno tkwiłaś w moich snach,
[obudziłam się z twoim imieniem,
jak łyzy, miękkie, słone, na moich wargach, brzmienie jasnych sylab
jak zakłęcie, jak klątwa.

Zakochiwanie się
to wytworne piekło; przyczajone, spragnione serce
jak tygrys gotujący się do skoku; wściekłe liźnięcia płomieni pod skórą.
W moje życie, potężniejsza od życia, piękna, weszłaś niespiesznie.
Kryłam się w dniach powszednich, monotonii jak gęsta trawa,
pokojach jak schrony. A ty nagle wypełzałaś ze wszystkich spojrzeń,
patrzając na mnie z każdej twarzy, z kształtów chmur,
tęskniącego, uwięzionego przez ziemię księżycy, który się na mnie gapi

kiedy otwieram drzwi sypialni. Zasłony drżą. Oto jesteś
na łóżku, jak prezent, jak dotykalny sen.

Gdybym była martwa

Gdybym była martwa,
a moje kości dryfowałyby
jak porzucone wiosła
w głębi obracającej się ziemi;

gdybym utonęła,
a moja czaszka byłaby
muszlą, w której słychać morze
na ciemnym posłaniu z wodorostów;

You

Uninvited, the thought of you stayed too late in my head,
 so I went to bed, dreaming you hard, hard, woke with your name,
 like tears, soft, salt, on my lips, the sound of its bright syllables
 like a charm, like a spell.

Falling in love

is glamorous hell; the crouched, parched heart
 like a tiger ready to kill; a flame's fierce licks under the skin.
 Into my life, larger than life, beautiful, you strolled in.
 I hid in my ordinary days, in the long grass of routine,
 in my camouflage rooms. You sprawled in my gaze,
 staring back from anyone's face, from the shape of a cloud,
 from the pining, earth-struck moon which gapes at me

and I open the bedroom door. The curtains stir. There you are
 on the bed, like a gift, like a touchable dream.

If I Was Dead

If I was dead,
 and my bones adrift
 like dropped oars
 in the deep, turning earth;

or drowned,
 and my skull
 a listening shell
 on the dark ocean bed;

gdybym była martwa,
a moje serce stałoby się
miękkim kompostem
dla czerwonej róży;

gdybym spłonęła,
a moje ciało byłoby
garścią pyłu, rzucanego
pod wiatr;

gdybym była martwa,
a moje oczy
ślepe jak cebulki kwiatów,
płakałyby w pustkę,

przysięgam, że twoja miłość
podniosłaby mnie
z grobu,
mnie z ciała i krwi

jak Łazarza;
głodną tego i tego
twojego pocałunku
żywego.

Uniesienie

W twoich myślach przez cały dzień, i ja myślę o tobie.
Ptaki śpiewają w schronieniu drzewa.
Nad nami modlitwa deszczu, niezaorany błękit,
nie raj, ciągnie się donikąd i bez końca.
Jak to możliwe, że nasze życia potrafią płynąć z prądem
daleko od nas samych, kiedy my tkwimy w pułapce czasu,
czekając w kolejce na śmierć? Wydaje się, że nic nie przestawi
wzoru naszych dni, nie zmieni rymu
do słowa utrata, żeby współbrzmiało ze słowem łaska.
Ale przychodzi miłość, jak chmara ptaków

if I was dead,
and my heart
soft mulch
for a red, red rose;

or burned,
and my body
a fistful of grit, thrown
in the face of the wind;

if I was dead,
and my eyes,
blind at the roots of flowers,
wept into nothing,

I swear your love
would raise me
out of my grave,
in my flesh and blood,

like Lazarus;
hungry for this,
and this, and this,
your living kiss.

Rapture

Thought of by you all day, I think of you.
The birds sing in the shelter of a tree.
Above the prayer of rain, unacred blue,
not paradise, goes nowhere endlessly.
How does it happen that our lives can drift
far from our selves, while we stay trapped in time,
queuing for death? It seems nothing will shift
the pattern of our days, alter the rhyme
we make with loss to assonance with bliss.
Then love comes, like a sudden flight of birds

from earth to heaven after rain. Your kiss,
 recalled, unstrings, like pearls, this chain of words.
 Huge skies connect us, joining here to there.
 Desire and passion on the thinking air.

Elegy

Who'll know then, when they walk by the grave
 where your bones will be brittle things – this bone here
 that swoops away from your throat, and this,
 which perfectly fits the scoop of my palm, and these
 which I count with my lips, and your skull,
 which blooms on the pillow now, and your fingers,
 beautiful in their little rings - that love, which wanders history,
 singled you out in your time?

Love loved you best; lit you
 with a flame, like talent, under your skin; let you
 move through your days and nights, blessed in your flesh,
 blood, hair, as though they were lovely garments
 you wore to pleasure the air. Who'll guess, if they read
 you stone, or press their thumbs to the scars
 of your dates, that were I alive, I would lie on the grass
 above your bones till I mirrored your pose, your infinite grace?

Finding the words

I found the words at the back of a drawer,
 wrapped in black cloth, like three rings
 slipped from a dead woman's hand, cold,
 dull gold. I had held them before,

years ago, then put them away, forgetting whatever it was
 I could use them to say. I touched the first to my lips,
 like a pledge, like a kiss,

i mój oddech
ogrzał je, te słowa, których było trzeba, żeby to powiedzieć,
[takie drobne
i tylko dwa. Polerowałam je aż rozbłysły w mojej dłoni –
kocham cię, kocham cię, kocham cię,
jakby zupełnie nowe.

Niekochanie

Ucz się od drzew w zimie, patrz w jaki
sposób całują a potem odrzucają liście,
obejmują dłońmi swoje cierpiące twarze
i zamieniają się w lód;
lub od zegarów,
odwracających oczy, światła, które krótkich dni nie kocha
więc powoli milkną; od kościoła,
który tkwi jak statek widmo na falach zmierzchu.

Ucz się od kamienia, od jego kształtu serca bez znaczenia,
doskonałego w swoim bezlitosnym chłdzie; lub od księżycy
na niebie chudnącego nieuchronnie, albo od gwiazd,
martwych jak łacińskie czasowniki.

Ucz się od rzeki,
która zawsze płynie gdzie indziej, nawet jej imię
zmienia się, zmienia; ucz się od sznura
zwieszonego z gałęzi jak pętla, rzucającego klątwę kruka,

martwej czapli opłakiwanej przez kongregację much.

Ucz się od osłupiałego ogrodu, grobu lata,
gdzie nie rośnie już nic, nawet róża Bestii;
od podartego welonu pajęczyny;

Od naszego chleba powszedniego:
wieczystego deszczu, który tylko przypomina lzy, niemiłosnych chmur;
słów niekochających miłości; a w końcu od zatęchłego powietrza
niekochającego tych miejsc, w których byłaś kiedyś.

and my breath
 warmed them, the words I needed to utter this, small words,
 and few. I rubbed at them till they gleamed in my palm –
 I love you, I love you, I love you –
 as though they were new.

Unloving

Learn from the winter trees, the way
 they kiss and throw away their leaves,
 then hold their stricken faces in their hands
 and turn to ice;

or from the clocks,
 looking away, unloving light, the short days
 running out of things to say; a church
 a ghost ship on a sea of dusk.

Learn from a stone, its heart-shape meaningless,
 perfect with relentless cold; or from the bigger moon,
 implacably dissolving in the sky, or from the stars,
 lifeless as Latin verbs.

Learn from the river,
 flowing always somewhere else, even its name,
 change, change; learn from a rope
 hung from a branch like a noose, a crow cursing,

a dead heron mourned by a congregation of flies.
 Learn from the dumbstruck garden, summer's grave,
 where nothing grows, not a Beast's rose;
 from the torn veil of a web;

from our daily bread:
 perpetual rain, nothing like tears, unloving clouds;
 language unloving love; even this stale air
 unloving all the spaces where you were.

Carol Ann Duffy – jest poetką pochodzenia szkockiego, urodziła się 23 grudnia 1955 r. w Glasgow.

Wychowywała się w Staffordshire, studiowała na uniwersytecie w Liverpoolu, gdzie otrzymała dyplom z filozofii. Jest autorką około 30 książek: tomów wierszy, sztuk teatralnych i opowiadań. 1 maja 2009 roku przyznano jej stanowisko poety nadwornego, które w Wielkiej Brytanii ma długą tradycję, bo istnieje od 340 lat. Stanowisko, które jest wielkim zaszczytem, ale wiąże się z (niepisanym) obowiązkiem pisanie wierszy na rocznice, okazje i jubileusze i inne ważne wydarzenia, było piastowane między innymi przez Tennysona i Wordswortha, a także Teda Hughesa (świątynnego poetę, którego wiele osób zna jedynie jako męża Sylwii Plath).

Carol Ann Duffy to pierwsza kobieta i pierwsza Szkotka oraz pierwsza lesbijka, która nosi ten tytuł. To o tyle ważne, że ponoć kandydatką była już dziesięć lat wcześniej, ale wtedy przestraszano się jej zbyt otwartego jak na dość tradycyjną monarchię brytyjską homoseksualizmu, który dziesięć lat później najwyraźniej przestał monarchii przeszkadzać. Wspomnijmy jeszcze, że pensję roczną (5750 funtów oraz 600 butelek przedniego sherry) Carol Ann Duffy obiecała przekazywać na nagrodę poetycką dla najlepszego zbioru wierszy oraz że napisała między innymi wiersz o Davidzie Beckhamie pt. *Achilles*. Jednym z najbardziej znanych zbiorów wierszy Carol Ann Duffy jest *The World's Wife*, w którym opisuje ważne wydarzenia historyczne z punktu widzenia kobiet – często właśnie żon.

Przedstawiony tu wybór wierszy pochodzi z innego tomu: *Rapture* (*Uniesienie*). To tom poezji miłosnej. Krytycy zwracają uwagę na to, że wiersze Carol Ann Duffy nawiązują do najwspanialszych tradycji klasycznych – między innymi do sonetów Szekspira, natomiast poetka jako postać wybitnie niepokorna, nie kopiuje klasyków, lecz doskonale się tą tradycją bawi.

Przełożyła i notą opatrzyła Joanna Jagiełło

Przekład Krystyny Rodowskiej

Marcel Proust

W stronę Swanna¹

Część trzecia

(fragment)

Imiona krain; imię

Pośród pokoiów, których wspomnienie przywoływałem najczęściej w czasie moich bezsennych nocy, żaden nie przypominał mniej tych z Combray, zanurzonych w ziarnistej, przyprószonej pyłem aurze, jadalnej i zarazem nabożnej, niż Grand Hotel de la Plage w Balbec; jego mury pociągnięte olejną farbą, zawierały w sobie – niczym gładkie ściany basenu z błękitniejącą między nimi wodą – powietrze czyste, lazuruowe, przesycone solą. Urządzenia tego hotelu podjął się tapicer z Bawarii: zmienił wystrój wnętrza; w pokoju gdzie mieszkałem, ustawił wzdłuż ścian niskie, przeszklone szafki na książki, w których – w zależności od ich położenia i wskutek nieprzewidzianego przezeń efektu – odbijała się taka lub inna część zmiennego obrazu morza, roztaczając fryz jasnych widoków morskich, przerywanych jedynie listwami z mahoniu. Toteż cały pokój sprawiał wrażenie jednej z owych modelowych sypialni prezentowanych na wystawach mebli w stylu *modern*, wyposażonych w dzieła sztuki mające cieszyć oczy tego kto będzie tam odpoczywał, dostrojone przy tym do zewnętrznego otoczenia w którym znajduje się pomieszczenie.

Nic jednak nie przypominało mniej już nie tylko rzeczywistego Balbec, lecz owego Balbec, o którym marzyłem tak często w owe burzliwe dni, kiedy to wiatr był tak silny, że Franciszka, prowadząc mnie na Pola Elizejskie zalecała mi, abym nie szedł za blisko ścian, bo dachówka może mi spaść na głowę, i ciężko wzdychała, opowiadając o klęskach żywiołowych na lądzie i katastrofach na morzu, o których rozpisywały się gazety. Niczego

1 *W stronę Swanna* – pierwszy tom cyklu powieściowego Marcela Prousta *W poszukiwaniu utraconego czasu* w nowym przekładzie Krystyny Rodowskiej ukazał się w październiku 2018 r. nakładem łódzkiego wydawnictwa Officyna.

bardziej nie pragnąłem niż zobaczyć burzę na morzu, nie tyle jako piękne widowisko, co jako odsłoniętą chwilę autentycznego życia natury; inaczej mówiąc, za piękny spektakl uważałem widoki nie zaaranżowane w sposób sztuczny dla mojej przyjemności, lecz takie, które były konieczne, niedające się zamienić na żadne inne – piękno pejzażu lub wielkiej sztuki. Byłem ciekaw, łaknąłem poznania tylko tego, co uważałem za bardziej prawdziwe niż ja sam, co miało dla mnie tę wartość, że ukazywało mi coś z myśli wielkiego geniusza lub z siły czy uroku natury takiej, jaka się objawiała zdana na samą siebie, bez interwencji ludzi. Tak samo jak piękny dźwięk głosu matki, odtworzony bez związku z postacią, nie zdołałby nas pocieszyć po jej stracie, tak samo odgłosy burzy mechanicznie odtworzone pozostawiłyby mnie równie obojętnym co wodotryski świetlne na Wystawie. Pragnąłem także, aby burza była absolutnie prawdziwa, aby sam brzeg był brzegiem naturalnym a nie groblą, świeżo wzniesioną przez władze miejskie. A zresztą natura, poprzez te wszystkie doznania które budziła we mnie, wydawała mi się czymś absolutnie nie do pogodzenia z mechanicznymi wytworami rąk ludzkich. Im mniej była przez nie naznaczona, tym więcej przestrzeni pozostawiała dla porywów mojego serca. Toteż zapamiętałem wspomnianą przez Legrandina nazwę Balbec – plaży położonej całkiem blisko owych „złowrogich skał o ponurej sławie dzięki niezliczonym katastrofom morskim i które przez sześć miesięcy w roku spowija całun mgieł i rozbryzgi fal”.

„Czuje się jeszcze pod stopami – mówił – o wiele bardziej niż na samym Finistère (nawet pobudowane tutaj ostatnio hotele nie były w stanie naruszyć najdawniejszej struktury ziemi), czuje się, że tutaj jest ten prawdziwy kraniec francuskiej, europejskiej, starożytnej Ziemi. I to jest ostatnie obozowisko rybaków, podobnych wszystkim rybakom, jacy żyli tutaj od początku świata, naprzeciwko wiekiuistego królestwa morskiej mgły i cieni”. Pewnego dnia, gdy w Combray wspomniałem o plaży w Balbec w obecności pana Swanna, chcąc się dowiedzieć od niego, czy jest to najlepsze miejsce do oglądania burz na morzu, odpowiedział mi:

– Sądzę, że znam Balbec. XII- i XIII-wieczny kościół w Balbec, jeszcze na wpół romański, to być może najbardziej osobliwy przykład gotyku normandzkiego, tak przedziwny, że można by się w nim dopatrzyć cech sztuki perskiej.

I miejsca te, które dotąd wydawały mi się cząstką odwiecznej natury, współczesnej wielkim zjawiskom geologicznym, istniejące tak samo poza historią ludzi jak ocean czy Wielka Niedźwiedzica, wraz z tymi

nieokrzesanymi rybakami dla których, podobnie jak dla wielorybów, nie było czegoś takiego jak średniowiecze – zaczęły emanować w moich oczach niezwykłym urokiem, gdy zobaczyłem, że oto nagle, zanurzone jeszcze w epoce rzymskiej, weszły w ciągłość wieków, gdy dotarło do mnie, że gotyckie tryfolium w pewnym momencie dziejów unerwiło te dzikie skały, niczym owe wążle, lecz żywotne rośliny, które z nastaniem wiosny roziskrzają tu i ówdzie śniegi na biegunach. A jeżeli gotyk wnosił w owe miejsca i w tych ludzi pewną samoświadomość której im brakowało, one i oni także odpłacali mu się tym samym. Próbowałem wyobrazić sobie, jak też żyli dawniej owi rybacy, odtworzyć nieśmiały, niepodejrzewany dotąd zarys stosunków społecznych, w obrębie których usiłowali się odnaleźć w czasach średniowiecza, skupieni w jednym punkcie wybrzeży Piekieł, u stóp urwisk śmierci; i tak oderwany od miast, w których zawsze go sytuowałem, gotyk nabierał teraz w moich oczach życia, i w tym szczególnym przypadku, danym mi było ujrzeć, jak na tych dzikich skałach zakiełkował i wykwitł w kształcie smukłej dzwonnicy. Pokazano mi reprodukcje najśłynniejszych posągów z Balbec: płaskonosych i kędzierzawych apostołów, Najświętszej Panienci z kruchty kościoła i na myśl o tym, że mógłbym zobaczyć te wszystkie postacie odcinające się na tle wiekuiestej słonej mgły, ogarniała mnie tak ekstatyczna radość, że aż brakowało mi tchu. A wtedy, w owe burzliwe i łagodne wieczory lutowe, wiatr od którego serce dygotało mi jak kominek w pokoju, podpowiadając projekt podróży do Balbec – kolarzył we mnie żądę architektury gotyckiej z pragnieniem napawania się widokiem burzy na morzu.

Miałbym ochotę od razu, nazajutrz, wsiąść do pięknego, wspaniałego pociągu, odchodzącego o pierwszej dwadzieścia dwie minuty; nie mogłem nigdy bez wzruszenia czytać reklam Towarzystwa Kolei Żelaznej, obwieszczeń o podróżach drogą okrężną, w których kryła się ta godzina odjazdu – zdawało mi się bowiem, że trafia ona dokładnie w określony punkt popołudnia, naznaczając je smakowitym, tajemniczym nacięciem; poczynawszy od niego rozkojarzone godziny biegingyby jeszcze do wieczora, do jutrzejszego rana, lecz zamiast w Paryżu, widziałyoby się je w jednym z tych miast mijanych przez pociąg, spośród których pozwalałoby nam wybierać, bo zatrzymywał się w Bayeux, w Coutances, w Vitré w Questambert, Pontorson, w Balbec, Lannion, Lamballe, Benodet, Pont-Aven, w Quimperle i parł naprzód, przeciążony cudownie nazwami, które mi ofiarowywał, ja zaś nie potrafiłem wybrać spośród nich, gdyż nie byłem w stanie żadnej z nich poświęcić. Ale nawet nie czekając na pociąg, mógłbym, ubrawszy się

pośpiesznie, wyjechać tego samego wieczoru, gdyby rodzice mi na to pozwolili i dotrzeć do Balbec w chwili, gdy świt wstawałby właśnie nad rozścieszonym morzem, ja zaś pobiegłbym schronić się przed rozbryzganymi piany do kościoła w perskim stylu. Lecz wraz ze zbliżaniem się ferii wielkanocnych, kiedy rodzice obiecali mi, że chociaż raz będę mógł je spędzić je na północy Włoch, te wypełniające mnie bez reszty marzenia o burzy, o widoku fal nacierających zewsząd, wdzierających się coraz wyżej na najdziksze brzegi, tuż obok stromych i chropawych jak skały nadbrzeżne kościołów, w których wieżycach krzychało morskie plectwo, zdmuchnęło za jednym zamachem – odzierając je z wszelkiego uroku, rugując na zasadzie opozycji, osłabienia – krańcowo różne marzenie o wielobarwnej wiosnie – nie wiosnie z Combray, kłującej jeszcze dotkliwie wszystkimi igiełkami szronu, lecz wiosnie, okrywającej już liliami i anemonami pola Fiesole i olśniewającej we Florencji tłem złotym jak u Fra Angelico. Odtąd cenne wydawały mi się już tylko promienie, zapachy i barwy; podstawienie innych obrazów wprowadziło we mnie zmianę frontu moich pragnień, zupełną zmianę tonacji moich uczuć, nagłą, jak to się dzieje czasem w muzyce. A później, zwyczajne wahania atmosferyczne wystarczyły, by wywołać we mnie tę wewnętrzną modulację, tak że nie musiałem już wyczekiwać powrotu wiosny. Często bowiem w jednej porze roku natykamy się na dzień, który przybłąkał się z innej, i teraz, powołując do życia charakterystyczne dla niej przyjemności, każe nam ich pożądać, przerywa tok marzeń, które dopiero co snuliśmy, umieszczając wcześniej czy z opóźnieniem kartkę wyrwaną z innego rejestru w pełnym takich wtrętów kalendarzu Szczęścia. Wkrótce jednak, jako że nasza wygodą czy nasze zdrowie wynoszą z tych zjawisk naturalnych korzyść przypadkową i dość wątpliwą do chwili, gdy dostaną się we władztwo nauki, która zacznie je produkować do woli, oddając w nasze ręce możliwość ich wywoływania uwolnioną spod kurateli przypadku i pozbawioną jego uroków; tak samo kultywowanie marzeń o Atlantyku i o Italii przestało w końcu podlegać wyłącznie zmianom pór roku i klimatu. Chcąc wskrzesić te zjawiska, potrzebowiałem tylko nazwać je po imieniu: Balbec, Wenecja, Florencja, gdyż we wnętrzu tych nazw wzbierało pragnienie, jakie budziły we mnie miejsca przez nie oznaczone. Wystarczyło mi – nawet wiosną – natknąć się w jakiejś książce na nazwę Balbec i od razu budziło się we mnie pożądanie burzy i normandzkiego gotyku; podobnie w czasie burzowego dnia nazwa Florencji czy Wenecji wypełniała mnie pragnieniem słońca, widoku lilii, pałacu Dożów i katedry Santa Maria del Fiore.

Nawet jeśli te nazwy zespoliły się we mnie na zawsze z wyobrażeniem tych miast, dokonało się to w trakcie transformacji tych wyobrażeń; pojawiały się one na nowo we mnie, posłuszne swoim własnym prawom, w efekcie, obrazy tych miejsc piękniały, ale także różniły się od rzeczywistego wyglądu owych miast Normandii czy Toskanii i wyposażając w arbitralną radość moją wyobraźnię, pracowały na rzecz przyszłych rozczarowań w podróży. Nazwy rozdmuchiwały wyobrażenie, jakie stwarzałem sobie na temat pewnych miejsc na ziemi, nadając im charakter szczególny, a przez to bardziej rzeczywisty. Miasta, krajobrazy, pomniki nie jawiły mi się wówczas jako mniej lub bardziej przyjemne obrazy, wykrojone tu i ówdzie z tej samej materii, lecz w każdym z nich widziałem jakby kogoś nieznanego, całkowicie różnego od innych, kogo dusza moja łaknęła i mogła skorzystać na jego poznaniu. Jakże jeszcze przydawał im indywidualnych rysów fakt, że miały imiona, imiona tylko im właściwe, imiona, jakie noszą osoby! Słowa podstawiają nam jasny obraz rzeczy na użytek praktyczny, taki jak obrazki na ścianach szkoły, żeby dać dzieciom pojęcie, jak wygląda warsztat stolarski, ptak, mrowisko, rzeczy uchwycone w swoim podobieństwie do wszystkich tego samego rodzaju. Ale obdarzanie osób i miast imionami – dzięki czemu przypisujemy tym ostatnim charakter indywidualny, niepowtarzalny, jakby były osobami – stwarza w nas mglisty ich obraz, który z dźwięku imienia, pełnego blasku lub mrocznego, wyprowadza kolor malujący je jednostajnie, jak na tych afiszach, całkowicie niebieskich albo całkowicie czerwonych, gdzie z powodu ograniczeń technicznych czy kaprysu dekoratora, niebieskie lub czerwone są nie tylko niebo i morze, lecz także łodzie, kościół, przechodnie. Nazwa Parmy – jednego z miast, do których najbardziej pragnąłem się udać, odkąd przeczytałem *Pustelnię* – wydawała mi się zwarta, łagodna i fiołkowa; gdy napomykano mi o jakimś domu w Parmie, gdzie mógłbym zostać przyjęty, odczuwałem przyjemność na myśl, że mieszkałbym w domostwie gładkim, zwartym, łagodnym i fiołkowym, niemającym związku z domami w żadnym włoskim mieście, ponieważ wyobrażałem je sobie wyłącznie w oparciu o sylabę obciążoną nazwą Parmy, bez przepływu powietrza i o wszystko, co przelałem w nią ze Stendhalowskiej słodyczy i z połysku fiołków. A gdy myślałem o Florencji, to jakbym widział przed sobą miasto cudownie pachnące i podobne do korony kwiatu, bo nazywała się przecież miastem lilii, a jego katedra – Santa-Maria-del Fiore. Co do Balbec, było to jedno z tych imion, w których jak w wytworach dawnego normandzkiego garncearstwa przechowujących barwę ziemi, skąd je dobyto, maluje się odbicie jakiegoś

zapomnianego obyczaju, jakiegoś feudalnego prawa, gdzie zastygło dawne oblicze tych miejsc, staroświecka wymowa uchowana w dziwacznych sylabach; nie wątpię, że odnajdę je w ustach oberżysty, który zapewne poda mi kawę z mlekiem po przyjeździe, pokaże rozwścieczone morze przed kościołem, a ja będę mu przypisywał gadatliwe, namaszczone zachowanie postaci, wziętej żywcem ze średniowiecznego *fabliau*.

Gdyby moje zdrowie się poprawiło i rodzice wyraziliby zgodę, nie na tyle nawet żebym pojechał na dłużej do Balbec, co chociaż raz wsiadł do tego pociągu o pierwszej dwadzieścia dwie minuty, by zapoznać się z architekturą i krajobrazami Normandii lub Bretanii, pociągu, do którego tylekroć wsiadałem w wyobraźni – najchętniej chciałbym zatrzymywać się w najpiękniejszych miastach; na próżno jednak je porównywałem, bo jak tu dokonać wyboru spośród istot indywidualnych i nie do zastąpienia: między Bayeux, tak wyniosłym w swej szlachetnej, czerwonej koroncy, którego szczyt rozświetlało stare złoto ostatniej sylaby; Vitré, w którym akcent nad e oprawiał w czarne drewno starodawny witraż; Lamballe, słodkim w swej bieli, przechodzącej od żółtych odcieni skorupki jajka do perłowej szarości; Coutances z normandzką katedrą, którą finalny dyftong, tłusty i żółtawy wieńczy niby wieża z masła; Lannion, gdzie w ciszy wiejskiej rozbrzmiewa turkot kocza, a nad nim brzęczy mucha; Questambert i Pontorson, zabawne i naiwne – białe piórka i żółte dzióbki, rozproszone po drodze w tych miejscach owianych poezją i obfitujących w rzeki; Benodet – nazwa ledwie przycumowana, co jakby chciała wciągnąć rzekę w gąszcz wodorostów; Pont-Aven- różowo-biały wzlot skrzydła lekkiego czepca, którego odbicie drży w zielonkawej wodzie kanału; Quimperlé – od czasów średniowiecza osadzone między strumieniami, którymi szczebiocze i perli się, jak ujęte w siatkę pajęczyny zasnuwającej witraż promienie słońca, zmienione w przytępienie ostrza ściemniałego srebra.

Obrazy te były fałszywe z jeszcze jednego powodu; otóż siłą rzeczy były one mocno uproszczone; bez wątpienia wszystko do czego zmierzała moja wyobraźnia, a co moje zmysły odbierały w chwili obecnej cząstkowo i bez przyjemności, zamknąłem wcześniej w azylu imion, i bez wątpienia, ponieważ wyposażylem je w potencjał marzeń, przyciągały one teraz jak magnes moje pożądaniami; imiona jednak nie są zbyt obszerne, co najwyżej mogłem w nich zmieścić dwie lub trzy najważniejsze „osobliwości” miasta i one występowały obok siebie bez pośredników; i tak w nazwie Balbec – jak w szkle powiększającym owych osadek, które kupuje się w kąpieliskach morskich – dostrzegałem wzburzone fale, kłębiące się wokół kościoła w perskim

stylu. Być może nawet uproszczenie, zawarte w tych obrazach, było jedną z przyczyn ich władzy nade mną. Gdy jednego roku ojciec zdecydował, że pojedziemy na ferie wielkanocne do Florencji i Wenecji, nie znajdując miejsca, by do nazwy Florencji wprowadzić elementy, które zazwyczaj składają się na miasto, byłem zmuszony stworzyć sobie z zapłodnienia pewnymi zapachami wiosennymi tego, w czym dopatrywałem się istoty geniuszu Giotta – jakies miasto nadprzyrodzone. Co najwyżej – ponieważ nie sposób zmieścić w jednej nazwie więcej czasu niż przestrzeni – podobnie jak pewne obrazy Giotta ukazujące tę samą postać uchwyconą w dwóch różnych fazach ruchu, tu leżącą w łóżku, tam zaś dosiadającą rumaka – nazwa Florencji jawiła mi się podzielona na dwie części.

W jednej, pod sklepieniem jakiejś budowli wpatrywałem się we fresk, przesłonięty częściowo skośną firanką porannego słońca, zapyłonego, coraz mocniej przygrzewającego; w tej drugiej (nie myślałem bowiem o nazwach jak o jakimś niedostępnym ideale, lecz o rzeczywistej atmosferze, w której miałem się zanurzyć, w życiu jeszcze nieprzeżytym, w życiu nie-tniętym i czystym jakie w niej się zawierało, ono zaś nadawało właściwy obrazom prymitywistów urok najbardziej materialnym przyjemnościom i najzwyczajniejszym scenom) – przemierzałem szybko Ponte Vecchio, wypełniony masą żonkili, narcyzów i anemonów – by zdążyć na czekający mnie obiad z owocami i winem Chianti. Oto, co przed sobą widziałem (nie ruszając się z Paryża), a nie to, co działo się wokół mnie. Nawet ze zwyczajnego, realistycznego punktu widzenia, krainy, których pożądamy, zajmują w naszym prawdziwym życiu w każdej chwili więcej miejsca niż te, w których rzeczywiście przebywamy. Bez wątpienia, gdybym wówczas zwracał więcej uwagi na to, co działo się w moich myślach gdy wymawiałem słowa „jechać do Florencji, do Parmy, Pizy, do Wenecji”, uświadomiłbym sobie, że to, co widziałem, nie było żadnym konkretnym miastem, lecz czymś różnym od wszystkiego co znałem i rozkosznym, jak tylko mógł być rozkoszny dla ludzi, którym życie schodzi zawsze na zimowych wieczorach, ten niewyobrażalny cud: wiosenny poranek.

Nierealne, utrwalone we mnie obrazy, zawsze podobne, wypełniające moje noce i dni, wyodrębniały tę epokę mojego życia na tle tych, które ją poprzedzały (i które w oczach postronnego obserwatora, takiego co widzi rzeczy jedynie z zewnątrz, czyli nie widzi nic); to tak jak w operze, gdy pewien motyw melodyczny wprowadza nową jakość, niepodjęwaną przez kogoś, kto czytałby jedynie libretto, a tym bardziej gdyby stojąc poza teatrem, liczył tylko wpływające kwadransy. Co więcej, nawet z punktu

widzenia czysto ilościowego, dni naszego życia nie są równe. Natury dość nerwowe, jak moja, pędzą dni, dysponując – niczym samochody – różnymi „szybkościami”. Zdarzają się dni górzyste i męczące, gdy jazda pod górę wlecze się w nieskończoność i dni, z których zjeżdża się na dół śpiewająco. W ciągu tego miesiąca – kiedy to obracałem w wyobraźni jak melodię, której nie ma się dosyć, te obrazy Florencji, Wenecji i Pizy, pożądanie zaś, jakie wzbudzały one we mnie, miało w sobie coś tak głęboko indywidualnego, jakby chodziło o miłość, miłość do osoby – nie przestawałem wierzyć, że obrazy te odpowiadały rzeczywistości niezależnej ode mnie, dzięki nim poznałem także ową piękną nadzieję, jaką za ich sprawą żywili zapewne pierwsi chrześcijanie, widząc się już w przedśmionku do raj. Toteż nie zważając na sprzeczność między pragnieniem oglądania i dotykania za pośrednictwem zmysłów czegoś wypracowanego marzeniem i dla nich niedostępnego – i tym bardziej kuszącego, innego od wszystkiego co dotychczas poznały – to właśnie przypominało mi o realności owych obrazów, rozpałało najbardziej moje pragnienia, bo zdawało się obiecywać, że zostaną zaspokojone. I choć przedmiotem mojej egzaltacji było pragnienie doznań artystycznych, przewodniki turystyczne podsycaly je w jeszcze większym stopniu niż traktaty estetyczne, zaś najbardziej w tym skuteczne były kolejowe rozkłady jazdy. Czułem wzruszenie na myśl, że do tej Florencji, tak bliskiej a przecież nieosiągalnej – jeśli przestrzeń, dzieląca ją ode mnie, we mnie samym, była nie do pokonania – mogłem dotrzeć w wyobraźni na skróty, drogą okrężną, „lądową”. To prawda, gdy powtarzałem sobie – przydając w ten sposób jeszcze więcej walorów temu, co miałem zobaczyć – że Wenecja, to była „szkoła Giorgione’a”, siedziba Tycjana, najbardziej kompletne muzeum architektury domowej w średniowieczu, czułem się szczęśliwy. A szczęście moje jeszcze wzrosło, gdy wyszedłszy za jakimś sprawunkiem, idąc szybko z powodu pogody, która po kilku dniach przedwczesnej wiosny, znów zaczęła przypominać zimę (jaką zwykle odnajdywaliśmy w Combray, podczas Wielkiego Tygodnia), i widząc, jak kasztanowce na bulwarach, zanurzone w powietrzu płynnym jak lodowata woda, zaczynały mimo wszystko – niczym zaproszeni goście, już w strojach wizytowych, niezrażeni okolicznościami – rzeźbić w zmarzniętej masie i puszyć nieodparte moce zieleni zmagającej się z kastrującą potęgą chłodu, która jednak nie była w stanie powstrzymać jej stopniowej ekspansji- myślałem, że Ponte Vecchio już było usiane hiacyntami i anemonami i że wiosenne słońce już zabarwiało wody Wielkiego Kanału tak głębokim lazurem i tak

szlachetnym odcieniem szmaragdu, że rozpryskując się u stóp obrazów Tycjana, mogły z nimi rywalizować bogactwem kolorytu.

Nie potrafiłem opanować wybuchu radości, gdy ojciec, konsultując się przez cały czas z barometrem i ubolewając nad panującym zimnem, zaczął się zastanawiać nad wyborem najlepszych pociągów, i kiedy zrozumiałem, że gdy się wtargnęło po obiedzie do zakopconego laboratorium, do tego magicznego przybytku, w którym wszystko wokół podlegało przeobrażeniu, można było obudzić się nazajutrz w mieście marmuru i złota „strojnym jaspisem i brukowanym szmaragdami”. I tak Wenecja i miasto lilii nie były już tylko fikcyjnymi obrazami przywoływanymi przez siłę wyobraźni, lecz istniały w pewnej odległości od Paryża, którą należało absolutnie pokonać jeśli chciało się je zobaczyć, w pewnym określonym miejscu na ziemi, w tym i żadnym innym, jednym słowem były jak najbardziej rzeczywiste. A stały się dla mnie jeszcze bardziej realne, gdy ojciec mówił: „Moglibyście, w sumie, zostać w Wenecji od 20 kwietnia do 29 i przyjechać do Florencji już w poranek Wielkanocny” – wydobył oba miasta nie tylko z abstrakcyjnej Przestrzeni lecz z tego Czasu wyobraźni, w którym lokujemy już bez nadmiaru emocji nie tę jedną podróż, lecz także inne, równoczesne, i przecież możliwe; Czas ten reprodukuje się tak skutecznie, że można go spędzić kolejno w jednym i drugim mieście, ojciec zaś, dedykując obu określone dni, wydał obu świadectwo autentyczności, albowiem te dni, niepowtarzalne, zużywają się w użyciu, by nigdy nie powrócić; nie można przeżyć ich tutaj, kiedy przeżyło się je gdzie indziej; i gdzieś w tygodniu, który rozpoczynał się w poniedziałek, kiedy to praczka powinna była dostarczyć białą kamizelkę poplamioną przeze mnie atramentem, poczułem, że te dwa królewskie miasta, co to na zasadzie wzruszającej geometrii już miały wpisać swe kopuły i wieże w plan mojego własnego życia, zmierzały właśnie w tę stronę, opuszczając ów czas idealny, w którym jeszcze tak naprawdę nie istniały, by stopić się z dniami konkretnego tygodnia. Ale byłem dopiero w drodze do osiągnięcia szczytu euforii; doświadczyłem jej wreszcie, gdy usłyszałem słowa ojca (objawiło mi się właśnie, że po chlupoczących pod stopami ulicach, czerwonych od refleksu fresków Giorgiona, nie będą przechadzać się w przyszłym tygodniu, w przeddzień świąt Wielkanocy – jak to sobie, mimo rozlicznych ostrzeżeń, wciąż imaginowałem – ludzie „majestatyczni i przerażający jak morze, kryjący brązowy połysk pancerza w fałdach krwawego płaszcza”, lecz mógłbym ja sam być ową malutką postacią w melniku przed portalem, przedstawioną przez ilustratora na pożyczonej mi, wielkiej fotografii kościoła Świętego Marka): „Na Canal Grande musi być

jeszcze zimno, na wszelki wypadek powinieneś spakować do walizki zimowoy płaszcz i ciepłą marynarkę”. Na dźwięk tych słów, ogarnęło mnie coś na kształt ekstazy: poczułem, że to, co uważałem dotąd za niemożliwe, wnikało teraz naprawdę między te „skały z ametystu, podobne do raf na Morzu Indyjskim”; jakimś gestem nadludzkim, ponad moje siły, wydostałem się, jak z uciążliwej skorupy, z otaczającej mnie atmosfery mojego pokoju, zastępując ją odpowiednią dawką aury wenecjańskiej, przesyconej zapachem morza, niewysłowionej i osobliwej jak w marzeniach sennych, którą zawarłem w nazwie Wenecja, i poczułem, jak dokonuje się we mnie jakieś cudowne odcieleśnienie, spotęgowane natychmiast nieokreślonym uczuciem nudności, jakiego się doznaje przy silnym bólu gardła – po czym położono mnie do łóżka z gorączką tak uporczywą, że doktor oświadczył, iż trzeba będzie zrezygnować nie tylko z wyjazdu teraz do Florencji i Wenecji, lecz nawet gdy już całkiem wyzdrowieję, będę musiał odłożyć, co najmniej o rok, wszelkie plany wyjazdowe i unikać powodów do silnych wzruszeń.

I niestety, zabronił mi także absolutnie chodzenia do teatru na spektakle Bermy, artystki nadzwyczajnej, której grę Bergotte uważał za genialną i która, pozwalając mi zaznać czegoś równie wielkiej wagi i piękna, pocieszyłaby mnie po niespełnionej podróży do Florencji i Wenecji i po tym, że nie pojechałem do Balbec. Musiano poprzestać na posyłaniu mnie codziennie na Pola Elizejskie, pod kuratelą osoby, która nie pozwoliłaby mi się zmęczyć; osobą tą była Franciszka, na służbie u nas po śmierci ciotki Leonii. Nie znosiłem tych wypraw na Pola Elizejskie. Gdyby chociaż Bergotte opisał je był w jednej ze swoich książek, z pewnością chciałbym je poznać, jak wszystkie te rzeczy, w „dublety”, których wyposażono uprzednio moją wyobraźnię. To ona je ogrzewała, dawała im życie, osobowość, a ja chciałem odnaleźć je w rzeczywistości; w tym ogrodzie publicznym jednak nic nie wiązało się z moimi marzeniami.

Przełożyła Krystyna Rodowska

Konrad Sutarski

Sándor Kányádi (1929–2018)

Nie żyje Sándor Kányádi, jeden z największych poetów węgierskich. Urodzony w siedmiogrodzkiej wsi Nagygalambfalva w 1929 roku, zmarł w Budapeszcie 20 czerwca roku bieżącego. Za życia otrzymał tytuł artysty narodowego, państwową nagrodę Kossutha, nagrodę Prima Primissima, międzynarodową nagrodę Herdera. Był członkiem Węgierskiej Akademii Sztuki.

Ukończył hungarystykę na Uniwersytecie Bolyai w Kolozsvárze i mógł uczyć w szkole literatury węgierskiej, nauczycielem jednak nigdy nie został. Życie poświęcił poezji i dziennikarstwu. Jego zdolności poetyckie zostały dostrzeżone w 1950 roku, a debiut książkowy nastąpił pięć lat później. Węgierskie wybory wierszy *Jövendőmondás* (Proroctwa, 2008) oraz *Előhang* (Przedmowa, 2012) ukazały się jednak dopiero po przeniesieniu się poety do Budapesztu.

Kányádi całe życie walczył słowem poetyckim o równouprawnienie narodowości węgierskiej w Rumunii. Jak wielu Węgom, także jemu trudno było pogodzić się z rozbiorem ojczyzny po obu wojnach światowych, z faktem, iż Siemiogród – tereny większe od dzisiejszych Węgier – został przyłączony do Rumunii. Mieszkające tam trzy miliony Węgrów musiały rozpocząć walkę, by nie stać się w nowym dla siebie kraju obywatelami drugiej kategorii. (Obecnie bezskutecznie starają się na forum Unii Europejskiej o uzyskanie autonomii terytorialnej).

W 1987 roku Kányádi otrzymał zaproszenie od organizatorów Międzynarodowego Spotkania Poetyckiego w Rotterdamie, nie uzyskał jednak zgody władz rumuńskich na wyjazd, w rezultacie wystąpił z Rumuńskiego Związku Pisarzy. Dopiero po przeniesieniu się na stałe na Węgry, do Budapesztu, pojechał do tego miasta. I tam spotkał się ze Zbigniewem Herbertem. Ci dwaj wybitni poeci przyciągali się wzajemnie jak magnesy – świadczy o tym choćby wiersz Kányádiego przełożony przez Jerzego Snopka („Akcent” 2007/2). Moje dwa przekłady jego wierszy można znaleźć w antologii europejskiej poezji poświęconej idei powszechnej zgody *Zieleni się drzewo pokoju* (red. A. Sołtysiak, K. Sutarski, Sulechów-Zielona Góra, 2016) oraz w węgierskiej antologii *Jak blisko* (wybór K. Sutarski, Budapeszt, 2007).

Sándor Kányádi

Przedmowa (Elóhang)

istnieją krainy piękne
miejsca gdzie i gorycz mięknie
w ustach się w słodycz przemienia
są takie głębie istnienia
słowa tam na skałach rosną
kwieciami będąc mi i troską
słowa tam zakorzenione
we krwi mojej zanurzone
są jak potok w sercu moim
w zimie schronem w lód zmrożonym
i pod bieli tej osłoną
głos sciszony jest jej bronią
który wiosną aż po jesień
stare dzieje głosi niesie
krain takich jest niewiele
co jak skóra na mym ciele
one i w kajdanach piękne
że aż gorycz przy nich mięknie
w ustach się w słodycz przemienia
są takie głębie istnienia

Przełożył Konrad Sutarski

Śpiew schodów w Kufstein (A kufsteini grádicsok éneke)

*Do twierdzy dwieście pięćdziesiąt dwa gradusy wiodą,
jeśli je Szulyovszky należycie zliczył*

Ferenc Kazinczy: *Więzienny dziennik*¹

Kajdany w język wpiły mu się, nie w skórę,
Krwawiło i piekło słabe ciało, może
upadł kilkakroć, nim na szczyt doszedł, może
o czystą chustkę poprosił, by zroszone
czoło delikatnie, jak atrament na
zapełnionej karcie, osuszyć, lecz
jego oko – wielkopański podróżny, któremu
nic to, gdy pęknie obręcz koła,
bądź koń padnie na wyboistej drodze –
dostrzegało zakręty z rzeczową
dokładnością kamery – nawet żyłę
w jałowym szybie! – „Pochodnię!”
I przy wysoko trzymanym świetle
czytał na głos, przed bawarską
przemocą bronił baszty pewien
tyrolski oficer wraz z paru druhami
„Dzielny” powiedział i ruszył dalej
– Niechaj Szulyovski liczy sobie gradusy. –
„Dzielny. Niczym nasz Dobó”. Wspiąwszy się
na czterysta pięćdziesiąty drugi,
przystanął i objął spojrzeniem
mroczniejsze góry i zamczysko.
Resztę już sam w dzienniku opisuje:
„Wer von ihnen ist Kazinczy”; Wezwano
go pierwszego. Kwaterę otrzymał
w numero dwa – gdzie ojczyznę była mu
przywieziona z domu cebula. – Łożu
przekazał umęczone ciało.
O brzasku gdy podniósł się i stanął tam
– w otwartym oknie celi – powstało też zdanie:
„Cudne to miejsce, ale dla wolnego”.

Przełożył Konrad Sutarski

¹ Ferenc Kazinczy (1759-1831), węgierski pisarz, odnowiciel języka. Skazany na karę więzienia w twierdzy Kufstein za spisek antyhabsburski.

Spotkanie (Találkozás)

z cyklu *Heretyckie telegramy*

Pamięci Zbigniewa Herberta

Z panem Cogito w Rotterdamie
siedząc w najdalszym rzędzie
amfiteatru-azylu oglądaliśmy
słuchaliśmy i oczywiście oklaskiwaliśmy
nowohebrajskich poetów
potem niemal jednocześnie
w przerwie między dwoma wierszami
pochyliliśmy się ku sobie
odnowiliśmy sobie piękny język
piękny dla was
naprawdę piękny
choć to właściwie (mówiliśmy
wykorzystując następną pauzę)
wiersz daję językowi
piękno
i odwrotnie powiedział
albo powiedziałem po kolejnym
żydowskim wierszu prawda że wiersz
jest pomnikiem języka
i budzicielem
naszego ciągłego poczucia braku
tego poczucia
które mogło dręczyć Najwyższego
w siódmym dniu gdy uświadomił sobie
zauważalną gdzieniegdzie w jego dziele
niedoskonałość
aber wielce szanowny panie Cogito
próbowałem snuć dalej
zapętłającą się nic rozmowy
für Sich dla pana Pismo Świąte
w pańskim języku ojczystym po polsku
zostało onego czasu napisane

podobnie dla pana Transylwańczyka
w jego języku ojczystym
po węgiersku spisano je onego czasu
 Bóg funkcjonuje cudownie
przez swego Ducha Świętego każdemu narodowi
objawia się w jego języku
 bo każdy naród człowieczy
tylko we własnym języku może się wykształcić
 Duch Święty jest najdawniejszym Comeniusem
 Duch Święty jest pradawnym
wcześniejszym od Comeniusa pedagogiem
i muśnięci-wzruszeni jakimś powiewem
unieśliśmy szklanki ale
uczyniliśmy to już po wieczorze kiedy
oparci o barowy bufet
jako goście stocznioowego barona
z Rotterdamu o poetyckiej duszy
kosztowaliśmy wykwinne porto

Kolożwar, luty 2000
Przełożył Jerzy Snopek

BIESIADY LITERACKIE

W KAŻDY OSTATNI WTOREK MIESIĄCA O GODZ. 18.30

Prowadzą:

Wacław Holewiński
Piotr Müldner-Nieckowski
Małgorzata Karolina Piekarska

Goście, z którymi rozmawiamy:

pisarze, wydawcy, redaktorzy, reżyserzy, językoznawcy
muzycy, plastycy, historycy – twórcy i krzewiciele kultury

Stały felieton:

Piotr Wojciechowski

Zawsze rekomendacje trzech ważnych książek. Też: trzy ważne wiersze ważnego poety

DOM LITERATURY

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

Wejście obok schodów ruchomych przy Placu Zamkowym. Piętro I

STAJNIA LITERACKA

Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w ramach Warszawskiej Szkoły Pisania zaprasza wszystkich poetów, prozaików, dramatopisarzy, którzy zaczynają swoją przygodę z literaturą, a przede wszystkim członków **Stajni Literackiej**, na

comiesięczne, wtorkowe spotkania warsztatowe.

Godzina 16.

Członkiem Stajni Literackiej SPP może zostać każdy, kto przyjdzie na spotkanie, zgłosi akces i poda swoje dane personalne wraz z adresem e-mail.

Opiekun Stajni: *Piotr Müldner-Nieckowski*
www.spp.warszawa.pl, stajnia@spp.warszawa.pl



Co jest pisane.
Druga antologia
Stajni Literackiej SPP.
Oddział Warszawski SPP,
Warszawa 2016
W planach: *Antologia 2018*



Przenikanie. Mal. Katarzyna Boruń-Jagodzińska